

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-86000



2

(30) 2002

Dramat wojny – lista duchownych ofiar II wojny ♦ Dramat pokoju – rugowanie polskości ♦ Ormianie apelują ♦ Rozmowa z prof. Kolendą ♦ O krakowsko-lwowskim organiście ♦ Wiersze ks. Heintscha ♦ Obrazki z Kazachstanu ♦ Słownik ♦ Książki ♦ Wydarzenia ♦ Listy

DOKUMENTOWAĆ HISTORIĘ

W poprzednim numerze nawoływaliśmy: notujmy w naszych pismach wszystko to, co czyni się i mówi w Polsce – dobrego i złego – w naszych sprawach. Eksponujmy postawy godne i mądre, piętnujmy ignorancję i nieżyczliwość. Nie odrywajmy się od rzeczywistości i nie pozostawajmy obojętni na to, co dzieje się wokoło nas. Nasi rodacy i nasi potomni muszą znać nasz punkt widzenia, który wynika z doświadczeń i przemyśleń. Muszą znać nasze dystansowanie się od skrajności, ale zarazem nasze wyczucie polsko-kresowej godności, wiedzę o historii i naszych korzeniach oraz dumę z niezwykłego dorobku polskiej nauki, kultury i cywilizacji, powstałych na całych Ziemiach Wschodnich.

Wiedza o historii... Co kryje się w tym pojęciu? Czy o historii Lwowa i Małopolski Wschodniej nie napisano już mnóstwa książek, artykułów, wspomnień, prac naukowych?

Tak, napisano. I nadal się pisze, ale czy akurat o tym, o co chodzi najbardziej? W *Słowie od Redakcji* w CL 4/01 już o tym mówiliśmy: o każdym mieście polskim z tej strony jałtańskiej granicy, większym i mniejszym, o każdym regionie czy okolicy pisze się nieustannie, a w dodatku – co ważne – centralne i zachodnie strony Polski nie przeżyły niemal półwiekowej *przerwy w życiorysie*. Trzeba więc pamiętać o dwóch rzeczach: po pierwsze przychodzą coraz to nowe pokolenia, coraz mniej zorientowane, które powinny otrzymać swoją porcję informacji (choćby starszym znanych). Po drugie: badanie (i opisywanie) dziejów tamtej, odciętej części musi być nadrobione, bo zatrzymało się przed połową XX wieku. Niestety ogromna ilość źródeł zginęła lub rozproszyła się, przepadło wiele zabytków i dzieł sztuki, a ponadto istnieją rewiry, do których nasi uczeni dostępu nie mają (przykładem archeologia). Historycy paru pokoleń – z konieczności – przenieśli się na inne tematy, ciągle się urwała. Co więcej: w ciągu tego półwiecza powstała (nie tylko w czasach ZSRR) cała masa tendencyjnej, zakłamaney literatury, z której merytorycznym i ideowym balastem trudno się dziś uporać. Spotykamy niewiedzę, wybiórczo dobierane fakty, błędne (mówiąc delikatnie) interpretacje. A więc?

Nad dzisiejszą nauką polską (w interesującej nas dziedzinie) zaciążyło więc kilka kompleksów. Lata zależności od Związku Radzieckiego i traktowanie spraw kresowych jako *tabu* – jeżeli nie powtarzano poglądów *nauki radzieckiej* – stworzyły lukę w zasobach ludzkiej wiedzy. Lata, które po tamtych nastąpiły, oraz polityczne tendencje do popierania (za wszelką cenę, do granic absurdu) nowo powstałych państw na zachodnim obrzeżu upadłego *Sojuza*, powstrzymały (i dotąd powstrzymują) od przypominania niewygodnej dla nich prawdy.

I wcale nie chodzi tu tylko o reagowanie na jawne przypadki zawłaszczania tych postaci naszej historii i kultury, które jakąś częścią swoich korzeni – bardzo odległych przeważnie – tkwiły w naciach ruskich (podobnie jak, w innych epokach – austrowęgierskich i paru innych). I nawet nie chodzi o pokrętne negowanie polskości historycznych osiągnięć cywilizacji i kultury na ziemiach wschodnich – na podstawie narodowości części mieszczanstwa, a przede wszystkim pewnej grupy pracujących u nas architektów i artystów, rodem z Niemiec, Włoch czy Holandii. Ukrywa się, że prawo magdeburskie było prawem przyjętym w całym Królestwie Polskim, że twórcy dzieł architektury i sztuki przybywali z zagranicy na zaproszenie polskich magnatów, miast lub hierarchów Kościoła (tak było przecież w całej Polsce; wszak dziedzińca wawelskiego ani kaplicy Zygmuntowskiej też nie stworzyli Polacy z urodzenia).

To jednak jest *małe piwo*, bo mądrzy ludzie i tak wiedzą, że owe „poprawki” to dzieci-nada. Są jednak sprawy, które domagają się wyraźnego stawiania prawdy, ponieważ *przekręty* żerują na ludzkiej niewiedzy, także wśród Polaków. Także wśród naszej młodzieży *historycznej* – przyznał to kiedyś szczerze na podstawie własnych doświadczeń studentek dzisiejszy profesor historii S.S. Nicieja.

Czy jest na to jakaś rada? O tym w następnym numerze.

FELIETON

W KOLORZE ZIELENI

Wiosna. Spod ziemi zaczynają wysuwać swoje macki ledwo dostrzegalne kielki roślin. Wyglądają nieśmiało na świat, w każdej chwili gotowe zastygnąć nieruchomo przy najłżejszym podmuchu zimna czy spadającym płatku śniegu. Ale oto nic złego się nie zdarza i z kwiatka powstaje listek, potem pączek kwiatu i nagle, zanim się człowiek obejrzy, okazuje się, że w miejscu gdzie dotychczas nic nie było prócz zważonej mrozem trawy, szaleje bujna zieleń przetykana kolorowym kwieciem. A my przecież wypatrywaliśmy tej wiosny przez ciągnące się niemiłosiernie długie jesienne i zimowe miesiące. Czekaliśmy na ptaki – zwiastuny wiosny i okryte zielonym listowiem bure konary drzew.

Wiosna i zieleń – obie stanowiące nadzieję na nowe życie. Bo czyż nadzieja nie wzrasta tak jak kielki zielonych roślin? Nieśmiało wygląda na świat, szukając w nim jakiejś zapowiedzi szczęśliwej odmiany życia. I jak przed podmuchem mrozu chowa się w głębi serca, nie wierzy w sprzyjające okoliczności, by znowu już śmieiej spojrzeć na otaczającą rzeczywistość, odnaleźć w niej to, co wiedzie ku odmianie niedobrego losu. I nagle okazuje się, że te nikłe zalążki nadziei wzrastają niespodziewanie jak zieleń wiosenna. Bo tak jak zieleń zamiera bez wiosny, tak i człowiek nie może żyć bez nadziei. Jak drzewo bez liści – człowiek bez nadziei staje się martwym konarem niegdysiejszego drzewa.

* * *

Napisałam o nadziei. O nadziei, która jest tak chwiejna i niepewna jak wzrastający z wiosną pęd rośliny. I otóż życie dopisało mi niezwyklej epilog nadziei, która zdawałoby się odeszła na zawsze.

Kiedy to piszę, jest maj, tak jak wtedy, sześćdziesiąt dwa lata temu, gdy opuszczałam Jazłowiec wraz z moją przyjaciółką Leną, z którą zdawało mi się, rozstałyśmy się na zawsze i której przez długie lata bezskutecznie poszukiwałam. I właśnie teraz, w maju, w miesiącu nadziei, dostałam od niej niespodziewanie list. Ona też straciła nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek się ze mną spotka, ale nagle zobaczyła gdzieś moje nazwisko i pomyślała – a może jednak... Napisała: może to właśnie Pani okaże się tą właśnie Basią Czalczyńską sprzed lat? I oto jestem. I wstydzę się mojej wygastej nadziei, której, jak się okazuje, nie należy nigdy porzucać.

A w chwili zwątpienia pomyśleć: a może jednak...

Barbara Czalczyńska

Rzym i Lwów – to dwa imiona,
po Bogu i Matce Najświętszej, mnie najdroższe na tej ziemi.
Rzym przypomina mi bowiem imię Matki – Kościół święty katolicki;
Lwów przywodzi na pamięć oblubienicę, którą Bóg dał sercu mojemu,
Archidiecezję moją, gdzie są dzieci duszy mojej.

Abp Józef Bilczewski, *Listy*, t. 1, s. 254

Marta Walczewska

ZAKOŃCZENIE I POCZĄTEK

Zebrani 13 marca w krakowskim kościele oo. Kapucynów świeccy i duchowni, lwowianie, krakowianie i przybyli z Wilamowic, przeżyli niezwykle wzruszającą uroczystość, której szczególna wymowa zawiera się w słowach użytych w tytule: zakończenie i początek.

Na prośbę krakowskiego oddziału TMLiKPW ks. kardynał Franciszek Macharski odprawił uroczystą mszę św., będącą wyrażeniem wdzięczności Bogu za beatyfikację dwóch lwowskich kapłanów: arcybiskupa Józefa Bilczewskiego i księdza Zygmunta Gorazdowskiego. Do dziękczynnej modlitwy włączona została nowa intencja – prośba o wyniesienie na ołtarze Ojca Serafina Kaszuby, kapucyna, urodzonego i zmarłego we Lwowie. W koncelebrze uczestniczyli ojcowie Kapucyni z o. Prowicjałem i o. Wikarym na czele (o. Gwardian był niestety nieobecny w Krakowie). Modliły się też z nami siostry św. Józefa – ze zgromadzenia zakonnego założonego przez ks. Z. Gorazdowskiego – z Matką Przełożoną Generalną na czele. Byli przedstawiciele rodziny Bilczewskich (z Krakowa, Wilamowic i Kęt) i ks. Gorazdowskiego, członkowie TMLiKPW, Sybiracy, AK-owcy i liczni krakowianie. Kościół był przepiękny.

Przed ołtarzem ustawiono portrety Błogosławionych oraz Sługi Bożego Serafina Kaszuby. Siostry Józefitki udekorowały ołtarz i portrety kwiatami w kolorach papieskich. Ks. Kardynał wygłosił homilię, przybliżając nam postacie wszystkich trzech Kapłanów. Ojcowie Kapucyni ofiarowali nam egzemplarze książki pt. *Strzepy*, zawierającej zapiski SB Serafina Kaszuby z Jego pracy kapłańskiej na Wołyniu, w Kazachstanie i na Syberii.

Opisana uroczystość – gdy chodzi o SB Józefa Bilczewskiego – była uwieńczeniem spotkań modlitewnych, rozpoczętych przed ośmiu laty, kiedy to 9 czerwca 1995 r. ks. kard. Macharski na prośbę TMLiKPW odprawił mszę św. w intencji beatyfikacji



W podzięko Panu Najwyższemu
za łaskę wyniesienia na ołtarze przez Ojca Świętego Jana Pawła II
we Lwowie, w dniu 25 czerwca 2001 r.

bl. JÓZEFA BILCZEWSKIEGO

1860-1923
arcybiskupa lwowskiego obrz. tryum. kat. w latach 1900-1923

bl. ZYGMUNTA GORAZDOWSKIEGO

1845-1920
zaświadczenia ss. „Józefitek” w r. 1864 we Lwowie,
„Jasędza dziadów”

oraz w intencji rychłej beatyfikacji

Sługi Bożego SERAFINA KASZUBY

z zakonu oo. Kapucynów,

urodzonego w 1910 r. we Lwowie i zmarłego tamże w 1977 r.
męczennika sowieckiego terroru, który wbrew prześladowaniom
pełnił swoje posłannictwo na Wołyniu, w Kazachstanie i na Syberii
oraz we Lwowie.

uroczystą Mszę św. odprawił
J. Em. ks. Kardynał FRANCISZEK MACHARSKI

w dniu 13 marca 2002 r. o godz. 17.30
w kościele oo. Kapucynów przy ul. Loretańskiej w Krakowie.

Do udziału we wspólnej modlitwie zaprasza

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
w Krakowie.



Ks. kard. F. Macharski, główny celebrans. W tle portrety obu Błogosławionych

SB Józefa. Zaapelował wtedy: *Będziemy się modlić do skutku*. Na tę pierwszą mszę wybrano kościół św. Anny, pełniący od wieków rolę świątyni akademickiej w Krakowie. Znajduje się tam grób św. Jana Kantego, patrona polskich uczonych (zwróćmy uwagę, że Wilamowice leżą tuż koło Kęt). W następnych latach msze św. były odprawiane w krakowskich świątyniach, w których są przechowywane pamiątki z kościołów Lwowa i Ziemi Południowo-Wschodnich. I tak w 1996 r. modliliśmy się w kościele oo. Misjonarzy na Kleparzu przed cudownym wizerunkiem Chrystusa z Milatyna, w 1997 gościli nas oo. Bernardyni, w których kościele pod Wawelem znalazła schronienie Matka Boska Sokalska. W 1998 r. u oo. Karmelitów „na Piasku” klęczeliśmy przed obrazem Chrystusa Ukrzyżowanego z lwowskiego sanktuarium karmelickiego. W 1999 r. modliliśmy się po raz piąty – pod przewodnictwem ks. biskupa Jana Szukonia w świątyni oo. Dominikanów, których klasztor od lat gościnnie przyjmuje lwowiaków na comiesięcznych spotkaniach w goetyckim kapitularku. W r. 2000, po uroczystej koncelebrowanej mszy św., której przewodniczył ks. biskup Kazimierz Nycz w kościele oo. Misjonarzy na Stradomiu, spotkaliśmy się w budynku tamtejszego Seminarium Duchownego w sali im. abp. J. Bilczewskiego na sesji referatowej poświęconej osobie Arcybiskupa (relację z tego wydarzenia przedstawiliśmy w CL 3/2000). Ostatnia Msza św. błagalna była w kościele oo. Franciszkanów w 2001 r.

* * *

Równolegle modlono się o rychłą beatyfikację SB Zygmunta Gorazdowskiego. Miejscem wielokrotnie odprawianych mszy św. w Jego intencji był nowy kościół Miłosierdzia Bożego na Osiedlu Oficerskim w Krakowie. Spotykaliśmy się tam na wspólnej modlitwie z duchowymi córkami ks. Zygmunta – Siostrami Józefitkami.

13 kwietnia 2002 r. przeżyliśmy tam kolejną uroczystość – była to druga msza św. dziękczynna za beatyfikację Zygmunta Gorazdowskiego, odprawiona tym razem staraniem Sióstr. Uroczystej Eucharystii w koncelebrze z ok. dwudziestoma kapłanami przewodniczył ks. kardynał F. Macharski. Przed mszą ss. Józefitki w pięknym programie artystycznym przedstawiły duchowość ich Błogosławionego Założyciela. Wierni szczerze wypełnili kościół. Ks. Kardynał wygłosił homilię nawiązującą do Ewangelii wg św. Łukasza (Łk. 24,13–35) o uczniach Chrystusa zmierzających do Emaus.

Bi. ZYGMUNT GORAZDOWSKI urodził się w Sanoku w 1845 roku jako syn (z siedmiorga dzieci) Aleksandry i Feliksa Prawdzic Gorazdowskich. Ojciec – poseł na Sejm Galicyjski – *nie dla siebie, lecz wszystko dla dobra ogółu poświęcał*. Mały Zygmunt, ukryty przez nianką pod kołem młyńskim w czasie „rzezi galicyjskiej”, nabawił się gruźlicy i do końca życia borykał się z tą chorobą. W 1863 r., gdy wybuchło Powstanie Styczniowe, uciekł z domu, by dołączyć do oddziałów powstańczych. Klęska powstania była dla niego bolesnym doświadczeniem.

W 1864 r. rozpoczął Z. Gorazdowski studia na wydziale prawa Uniwersytetu Lwowskiego; porzucił je jednak po roku i wstąpił do lwowskiego Seminarium Duchownego. Uważał, że jako kapłan będzie mógł więcej zrobić dla bliźnich. Cierpienie pozwoliło mu odnaleźć swoje powołanie – służbę najbiedniejszym. Choroba powodowała przerwy w studiach, a nawet wstrzymanie święceń na dwa lata. Otrzymał je w 1871 r. w Katedrze Lwowskiej.

Ks. Zygmunt pracował jako wikary na terenie ówczesnej Galicji – w Tartakowie, Wojniłowie, Bukaczowcach, Gródku Jagiellońskim i Żydaczowie. Już wtedy ujawnił się jego wyjątkowy charyzmat – łączenie pracy duszpasterskiej i charytatywnej. Zajmując się katechizacją, opracował katechizm, który wydany w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy rozszedł się po Galicji, Śląsku i Ameryce. Inicjował liczne dzieła chrześcijańskiego miłosierdzia. Podczas epidemii cholery w Wojniłowie śpieszył z pomocą chorym. Był opiekunem ubogich, nigdy nie odmówił potrzebującym.

Od 1877 r. rozpoczął działalność kapłańską we Lwowie w kościołach św. Marcina i Matki Boskiej Śnieżnej, a przez 40 lat u św. Mikołaja, gdzie był proboszczem. W owym czasie wydał kilka edycji swego katechizmu, pisał wiele artykułów z dziedziny duszpasterskiej. Dla kapłanów założył Towarzystwo „Bonus Pastor”, był redaktorem pisma tego Towarzystwa. Ówczesny metropolita lwowski abp Józef Bilczewski przysłał mu dekret pochwalny w uznaniu jego zasług.

Ks. Zygmunt był sekretarzem *Institutu Ubogich Chrześcijań*. Ufundował we Lwowie szereg dzieł miłosierdzia: w 1882 r. *Dom Pracy Dobrowolnej* dla żebraków i *Tanią Kuchnię Ludową*. *Zakład dla Nieuleczalnie Chorych i Rekonwalescentów* był rodzajem hospicjum. W 1886 r. wraz ze swym ojcem utworzył *Interнат św. Jozafata* dla ubogich studentów seminarium nauczycielskiego. *Zakład Dzieciątka*

Jezus dla samotnych matek i porzuconych niemowląt w latach 1892–1916 uratował około 3000 nowo narodzonych. Ks. Gorazdowski sprowadził do Lwowa *Braciszków Chrześcijańskich*, którzy w polsko-niemieckiej szkole św. Józefa objęli opieką niemieckojęzyczną młodzież katolicką mieszkającą we Lwowie. Wcześniej dla takiej młodzieży istniała tylko szkoła protestacka, co odciągało ją od katolicyzmu.

W 1884 r. nasz Błogosławiony powołał zakonne *Zgromadzenie Sióstr św. Józefa*. Był jego sercem i duszą. Siostry były mu pomocne w realizacji jego licznych działań, które powierzał Opatrzności Bożej. Kochał Boga i potrzebujących pomocy bliźnich. Łączył modlitwę i pracę. Umarł we Lwowie 1 stycznia 1920 r. i został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim.

O ks. Zygmuncie Gorazdowskim pisaliśmy w CL 2/99 (prof. Jacek Walczewski), 3/2000 (s. Dolores Siuta), 3/01 (rozmowa o Obu Błogosławionych).

OJCIEC SERAFIN – ALOJZY KASZUBA urodził się w 1910 r. we Lwowie w rodzinie robotniczej. Oboje rodzice należeli do Trzeciego Zakonu św. Franciszka, żyli wiarą i apostołstwem. Byli związani współpracą z powstającą nową parafią św. Franciszka z Asyżu na Zamarstynowie. Mieli czworo dzieci.

Młody Alojzy Kaszuba kochał franciszkańską drogę Ewangelii. Złożył śluby w zakonie oo. Kapucynów. W 1933 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Ukończył studia filozoficzno-teologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wybuch wojny w 1939 r. zastał Go we Lwowie.

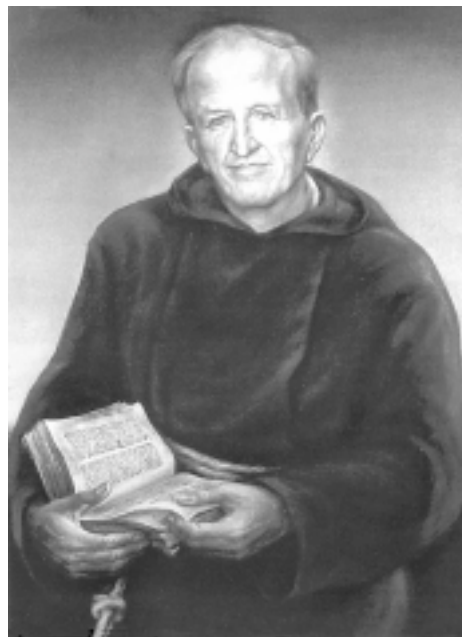
W 1940 r. udał się na ociekający krwią Wołyń, by nieść posługę duszpasterską cierpiącym. Kiedy w 1958 r. władze sowieckie zabroniły Mu pełnić funkcje kapłańskie, rozpoczął nielegalną pracę duszpasterską. Był ścigany przez władze, szkalowany. Jesienią 1963 r. udał się do Kazachstanu i na Syberię. Był tropiony przez NKWD, aresztowany, skazany na wygnanie, zamknięty w więzieniu. Zmarł we Lwowie 20 września 1977 r. Został pochowany na Cmentarzu Janowskim, blisko grobu błogosławionego abpa Józefa Bilczewskiego.

Był człowiekiem ośmiu błogosławieństw. Życie Ojca Serafina streszczają słowa św. Pawła Apostoła, wypisane na Jego grobie: *Stałem się wszystkim dla wszystkich*.

W CL S/2000 omawialiśmy książkę o SB Serafinie Kaszubie pióra o. Hieronima Warachima.

Przedstawił ks. Zygmunta jako jednego z uczniów, którzy poznali Chrystusa przy łamaniu chleba. Mówił o tajemnicy Boga, bogatego w miłosierdzie. Nie dość było męki i śmierci Chrystusa – zostawił On swoją i k o n ę – chleb, aby człowiek żywił się tą postacią chleba, w której Jezus się objawił i ukrył. Jezus kiedyś przywołał człowieka imieniem Zygmunt i przygarnął go tak blisko, że dał mu moc w sakramencie kapłaństwa, aby ten, spełniając swe posłannictwo, pozwolił, żeby wszystko, co miał i kim był, zostało poświęcone jego misji. Budził w ludziach to, co wzbudził w nim Chrystus – misję miłosierdzia. Wskazaniem dla Kościoła lwowskiego i krakowskiego jest trafić na dobrą drogę – drogę miłosierdzia. Przyjął drogę księdza Zygmunta.

Po mszy św. kilkaset osób spotkało się z Ks. Kardynałem, księżmi i siostrami Józefitkami na *agapie* w nowej wspaniałej sali parafialnej. Spotkanie, najpierw modlitewne, potem towarzyskie było uwieńczeniem różnych wspólnych, wiele lat trwających usilnych prób do Najwyższego o wyniesienie do chwały ołtarzy, a przez to pokazanie wiernym wspaniałego, miłosiernego Człowieka i jakże nam w teraz w trudnych czasach potrzebnego Orędownika.



Sługa Boży O. Serafin Kaszuba (1910–1977)



Wspólne zdjęcie z ks. Kardynałem po mszy św. u oo. Kapucynów. Od lewej: M. Mróz, A. Kostecki, Sadowy, E. Czawa, E. Zychowicz, M. Berek, M. Walczewska, Matka Przełożona ss. Józefitek, E. Adles, K. Grzegocka, U. Kogut, J. Gieślak, R. Żuk, K. Strzelecka (z Bilczewskich), Ojciec Prowincjał. Fot. A. Chłipański.

Naszym zdaniem

NA ZAMÓWIENIE ?

W społeczeństwach na pewnym poziomie kultury istnieje coś takiego jak *autocenzura*, która polega na powstrzymaniu się od przekazywania wiadomości, opinii, wypowiedzi, które – nawet jeśli prawdziwe lub w części prawdziwe – nie powinny być z różnych powodów rozpowszechniane. Pierwszy z tych powodów to brak absolutnej pewności co do prawdy; drugi – to kwestia godności inkryminowanej osoby, społeczności, narodu, państwa. Autocenzura mieści się w kategoriach etyki zawodowej, honoru i solidarności narodowej, a przede wszystkim odpowiedzialności ludzi, którym dano szansę wykorzystywania mediów.

Etyka i odpowiedzialność zawiodły w przypadku dwóch artykułów, jakie ukazały się w rzeszowskich „Nowinach” i ich „Magazynie” na przełomie stycznia i lutego, stawiając tę gazetę w rzędzie brukowców. Skandal powiększa fakt, iż chodzi o człowieka, który żyje dziś poza granicami RP, w społeczeństwie – jak wiemy – w pewnej (dobrze ustawionej) części niezbyt przyjaźnie nastawionej do Polaków i Polski. O człowieku, który od wielu lat niezwykle dużo i dobrze czynił w sprawach

nam bliskich, choć może czasem zbyt ostentacyjnie demonstruje swoją postawę (ale to sprawa charakterologiczna, bez związku z meritum).

Nie znamy kolei dawniejszych losów Eugeniusza Cydzika, znamy jego dokonania z ostatnich kilkunastu lat w dziele odbudowy Cmentarza Orłąt. Podobnie więc potraktowanie go przez rzeszowskiego pisarza Władysława Borowca, wspomaganego przez niejakiego Jana Łaptaszyńskiego z Trójmiasta (a może nawet przezeń *napuszczonego*, co sądząc po dawnych doświadczeniach wcale nie wykluczone) – jest karygodne. Karygodne jest wydrukowanie takiego tekstu w gazecie strefy przygranicznej, na pierwszych stronach i z tytułami kilkucentymetrowej wysokości.

Swoistego *smaczku* tej aferze dodaje fakt, iż ów materiał ukazał się w okresie, gdy toczy się dość *cienka* sprawa zakończenia robót i otwarcia Cmentarza Orłąt. Jakże oprzeć się podejrzeniu, że tekst powstał na konkretne zamówienie?

Wszystko to dyskwalifikuje naczelnego redaktora, któremu obce jest pojęcie autocenzury.

Stanisław Sochaniewicz

Ks. Marian Skowrya (Lwów)

ŚWIADKOWIE WIARY ARCHIDIECEZJI LWOWSKIEJ OB. ŁACIŃSKIEGO 1939–1945

Poniższą listę przedstawiamy (ze skrótami w zakresie mniej istotnych danych personalnych) za zgodą autora – ks. Mariana Skowry. Lista była wcześniej w całości publikowana w „Gazecie Lwowskiej” nr 17/paźdz. '01). Wymienia osoby duchowne, które zginęły zarówno w trakcie działań wojennych (bombardowania, walki frontowe), jak i – w przeważającej liczbie – zostały zamordowane. Wśród tych ostatnich pewna liczba stała się ofiarami władz lub żołdactwa okupantów hitlerowskich i sowieckich, jednak niekwestionowana większość zginęła z rąk nacjonalistycznych band ukraińskich.

Trzeba zwrócić uwagę, że prezentowana lista nie obejmuje duchownych z terenu diecezji przemyskiej i wołyńskiej, a jedynie z archidiecezji lwowskiej.

Lista została poprzedzona przez autora wstępem, który pomijamy. Ks. M. Skowrya powołuje się tam m.in. na słowa ks. kardynała Mariana Jaworskiego, który mówi między innymi, że „wylania się wielka potrzeba aby gromadzić świadectwa męczenników XX wieku, nazwanym przez Papieża w i e k i e m m ę c z e ń s t w a. Był to wiek, w którym ludzka nienawiść wobec Boga i Kościoła Katolickiego, czy też innych obrządków chrześcijańskich, osiągnęła punkt kulminacyjny”. Z naszej strony pragnęlibyśmy zwrócić uwagę, iż bezprzykładna hekatomba Polaków – rzymskich katolików na terenach południowo-wschodnich II RP miała podłoże raczej nacjonalistyczne niż antyreligijne. Wielka liczba ofiar wśród duchowieństwa jest tylko częścią wymordowanej w niebywale okrutny sposób rzeszy polskiej ludności cywilnej, wraz z dziećmi i starcami. Literatura na ten temat jest już dość bogata.

(Red.)

Lp. – nazwisko, imię – rok ur. – funkcja, miejscowość – data śmierci – okoliczności śmierci

DUCHOWIEŃSTWO DIECEZJALNE

1. Bieńkowski Franciszek (ur. 1881). Proboszcz, Żulin. 5–6.IV.44. Zamordowany.
2. Bieńko Piotr (1881). Proboszcz, Kowalówka. 15.XII.43. Więzienie w Czortkowie.
3. Biliński Władysław (1910). Wikary, Brzeżany. 15.XII.43. Zamordowany.
4. Bogucki Karol (1868). Ksiądz, generał WP, zam. Brody. Data śmierci? Więzienie w Brodach.
5. Bojarczak Jan (1905). Adm. par. Nowosiółki Biskupie. 1941. Zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach.
6. Bosak Marian (1889). Proboszcz, Mariampol. 23.VIII.41. Zamordowany w lesie pod Mariampolem.
7. Charczuk Bazyle (1913). Neoprezbiter. Aresztowany, zaginał w niewyjaśn. okoliczn.
8. Chłopecki Romuald (1875). Emeryt, Kołomyja. 26.II.43. Zamordowany w obozie konc. Majdanek.
9. Chwastyk Michał (1896). Katecheta gim. Tarnopol. Areszt. III.1944. Zaginał.
10. Ciecierski Kazimierz (1907). Kapelan szpit. na Woli, Warszawa. 5.VIII.44. Zamordowany w szpitalu Wolskim w powst. warszaw.
11. Czuba Błażej (1889). Adm. par. Dołha Wojniłowska. 6.IV.44. Zamordowany.
12. Czwaczka Antoni (1903). Katech. gim. Lwów. 1939 lub 9.IX.40. Zginął na froncie lub zmarł.
13. Drzyzga Adam (1906). Wikary, Nadwórna. 23.XI.44. Zamordowany.
14. Duszeńko Michał (1888). Adm. par. Hallerczyn. Areszt. IX.43. Zamordowany.
15. Dymitrowski Jakub (1886). Proboszcz, Bełz. IX.41. Zamordowany.
16. Działarski Marian (1900). Adm. par. Nowosiółki-Bekerów. 2.III.45. Zamordowany.
17. Dziuban Jan (1875). Proboszcz, Barysz. 13.IV.44. Ranny w walkach front.

18. Dziwok Wincenty (1892). Adm. par. Ludwikówka. Data śm.? Zmarł w więzieniu.
19. Faranowski Antoni (1889). Prob. Podwysokie. 29.I.43 lub 30.I.44. Zamordowany.
20. Ferens Mikołaj (1894). Adm. par. Markowa. 5.I.44. Zamordowany.
21. Frankl Stanisław (1903). Rektor Semin. Duchow. Lwów. 26.VI.44. Ukrywał się w klasztorze Reformatów we Lwowie, tam zmarł.
22. Gach Jan (1893). Adm. par. Kotów. 19.IV.44. Zamordowany.
23. Gajdek Tadeusz (1909). Adm. par. Kociubińce. 1944. Zginął po aresztowaniu.
24. Gąsiorek Stefan (1894). Katecheta, Nadwórna. Zginął pod Monte Cassino.
25. Gromadowski Adam (1912). Wikary, Waręż. Zaginął.
26. Gryźlak Antoni (1909). Katecheta, Rohatyn. 4.III.45. Ob. konc. Gross-Rosen.
27. Grzesiowski Jan (1891). [brak danych] 24.VII.43. Zamordowany.
28. Gustkowicz Stanisław (1916). Wikary, Lubaczów. Areszt. 1943. Uwieszony w Rawie Ruskiej, zaginął.
29. Jaglarz Jerzy (1909). Katecheta III Lic., Stanisławów. Zmarł w więzieniu, Stryj.
30. Janiszewski Józef (1880). Proboszcz, Chliboka. 17.VIII.40. Obóz konc. Gusen.
31. Jurasz Szczepan (1879). Proboszcz, Czerwonogród. II.45. Zamordowany.
32. Kaczorowski Józef (1906). Adm. par. Wołków. 9.II.44. Zamordow. w okrutny sposób.
33. Kaściński Leopold (1873). Proboszcz, Śniatyn. 23.III.43. Zginął w ob. konc. Majdanek.
34. Klakla Władysław (1912). Wikary, Wojniłów. 14.IX.43. Zamordowany.
35. Kluz Józef (1873). Katecheta szkół zawod. Kołomyja. Zaginął.
36. Kłonowski Marian (1905). Adm. par. Chlebowice Wielkie. 25.VIII.44. Zamordowany.
37. Komornicki Władysław (1911). Docent UJK. 2 lub 4.VII.41. Rozstrzelany.
38. Kośmider Wojciech (1885). Katecheta, Kołomyja. 12.IV.44. Ob. konc. Gross-Rosen.
39. Kraśnicki Andrzej (1895). Proboszcz, Jazłowiec. 8.XII.43. Zamordowany w Jazłowcu.
40. Kraska Władysław (1910). Wikary, Dunajów. 1941. Zginął przejechany (auto wojsk.).
41. Krzak Wilhelm (1904). Proboszcz, Michalcze (w czasie wojny wikary, Wróblówka, archidiec. krak.). 10.VIII.42. Zginął w transporcie.
42. Kucab Michał (1899). Adm. par. Bednarów. 9.II.44. Zamordowany.
43. Kuszyński Jan (1915). Wikary, Toporów. 14.II.44. Zamordowany.
44. Kwiatkowski Stanisław (1880). Proboszcz, Świrz. 13.II.44. Zamordowany w drodze z pogrzebu innego księdza.
45. Majka Bronisław (1913). Wikary, Tłuste. 13.IX.43. Zamordowany.
46. Mołdoch Adam (1890). Katecheta, Lwów. Zaginął.
47. Mróz Bronisław (1912). Wikary, Malechów. 15.III.44. Prawdopodob. zginął w więzieniu, Lwów.
48. Peciak Ludwik (1889). Proboszcz, Kołomyja. 16.IV.43. Obóz konc.
49. Perenc Stanisław (1889). Proboszcz, Otnia. 1944–45. Zmarł w więzieniu.
50. Perucki Leon (1912). Wikary, Kowalówka. 17.I.44. Rozstrzelany.
51. Pikota Józef (1912). Adm. par. Pieniaki. 27.II.44. Zamordowany.
52. Procyk Karol (1878). Proboszcz, Baworów. 2.XI.43. Zamordowany.
53. Puchała Walenty (1874). Emer. katecheta, Trembowla. VII–VIII.44. Zamordowany.
54. Rogowski Wojciech (1894). Katecheta gim. Żółkiew. 27.I.45. Zamordowany.
55. Rупnicki Józef (1910). Neoprezbiter. 1940. Zginął przy przekracz. granicy węgier.
56. Rysiowski Stanisław (1900). Proboszcz, Wojniłów. Zaginął.
57. Sarna Władysław (1907). Adm. par. Malechów. 15.III.44. Rozstrzelany pod Lwowem wraz z ss. Służebniczkami Starowiejskimi.
58. Schiller Jan (1914). Sekretarz arcybiskupa. (Data śm.?) 1941 areszt. przez NKWD, deportowany na Syberię.
59. Siekierski Włodzimierz (1911). Wikary, Koszlaki. 5.XI.44. Zamordowany.
60. Skrabalak Jan (1902). Proboszcz, Budki Nieznanowskie. 24.V.44. Zmarł w szpitalu w Sanoku po napadzie nacjonalistów.
61. Smaczniak Józef (1896). Proboszcz, Nadwórna. 1942–43. Zginął w więzieniu, Stanisławów.
62. Sorys Franciszek (1886). Proboszcz, Koropiec. 25.IX.42. Zmarł w więzieniu.
63. Stokłosa Józef (1909). Katecheta, Rawa Ruska. Areszt. 1940. Zaginął.
64. Stroński Tadeusz (1899). Adm. par. Cieszanów. 12.X.43. Zamordowany po zwolnieniu z więzienia.
65. Stuglik Stefan (1906). Prof. Seminarium, Lwów. 17.XII.43. Zmarł w ob. konc. Dachau.
66. Suszyński Józef (1909). Adm. par. Babulice. 3.III.44. Zamordowany.
67. Szady Józef (1914). Neoprezbiter. VI.41. Zamordowany.
68. Szarzewicz Franciszek (1895). Proboszcz, Stojanów. 16.VII.44. Zamordowany.
69. Szczepankiewicz Stanisław (1906). Adm. par. Ihrowica. 24.XII.44. Zamordowany.
70. Szczur Bolesław (1913). Neoprezbiter. 1945. Zmarł w więzieniu.

71. Szewczyk Jan (1908). Katecheta, Tartaków. 26.VIII.41. Zamordowany.
72. Szklarczyk Wiktor (1879). Adm. par. Sarniki Dolne. 10.II.44. Zamordowany.
73. Szkodziński Stanisław (1886). Proboszcz, Tłuste. 15.IX.43. Zamordowany.
74. Szwed Bronisław (1895). Katecheta, Stanisławów. Areszt.1939–40. Zaginął.
75. Tabaczkowski Edward (1872). Proboszcz, Tłumacz. 1941–43? Zmarł w więzieniu, Stanisławów.
76. Teliga Tadeusz (1880). Adm. par. Werbka. Okoliczności areszt. i śmierci nieznane.
77. Tokarski Lucjan (1887). Katecheta gim. Stanisławów. 1941. Zamordow. w więzieniu.
78. Walniczek Jan (1879). [brak danych] 7.II.45. Zamordowany.
79. Węgrzyniak Lzydor (1887). Proboszcz, Cieszanów. 11.VI.42. Zginął w transporcie, Linz.
80. Wieczorek Józef (1899). Adm. par. Pieniaki. 26.VI.41. Zamordowany.
81. Wierzbowski Antoni (1905). Adm. par. Bybło. 12.X.43. Zamordowany.
82. Wilkoń Stanisław (1877). Katecheta, Podwołoczyska. 23.X.41. Zamordowany.
83. Wiszniowski Jan (1912). Wikary, Stare Sioło. 28.II.44. Zamordowany.
84. Witek Jan (1887). Proboszcz, Szczurowice. 25.III.44. Zamordowany w więzieniu, Lwów.
85. Władka Stanisław (1880). Proboszcz, Opryłowice. 1941. Zamordowany.
86. Wojtuś Franciszek (1892). Proboszcz, Pieniaki. 8.VII.42. Areszt.1939, zmarł po zwolnieniu, Oleszyce.
87. Żak Franciszek (1901). Adm. par. Ponikwa. Uwężony w Stanisławowie, zaginął.
88. Żygiel Władysław (1905). Adm. par. Bieniawa. 13.II.44. Zamordowany.

KLERYCY

1. Janas Józef (1919). 1939. Zamordowany.

DUCHOWIEŃSTWO ZAKONNE MĘSKIE

JEZUICI

1. Konopka Kazimierz (1879). Lwów. 26.VI.41. Zabity w czasie walk, Lwów.
2. Wnęk Stanisław (1859). Lwów. 27.IV.44. Zginął w Domu Rekolekcyjnym podczas nalotu, Lwów.

KARME LIC I BOSI

1. Gleczman Józef *Kamil od św. Sylwestra* (1909). Wiśniowiec. 6.II.44. Zamordowany.
2. Lasoń Jan *Cyprian od św. Michała* (1879). Brat zakonny, Wiśniowiec. 6.II.44. Jw.

BERNARDYNI

1. Biegus Wiktor (1893). Lwów, wikary par. św. Andrzeja. 14.IX.39. Zginął podczas nalotu, Lwów.
2. Mucha Mieczysław *Stanisław* (1917). Sokal. 1945. Zamordowany, Drohiczyn.
3. Gałek Jan *Franciszek* (1915). Lwów. 14.II.40 lub 27.VI.41. Zamordowany.

FRANCISZKANIE KONWENTUALNI

1. Haczeła Jan *Peregryn* (1865). Gwardian, Halicz. 27.VII.42. Rozstrzelany, Stanisławów.
2. Wójcik Antoni *Remigiusz* (1899). Proboszcz, Halicz. 27.VII.42. Jw.
3. Kotowski Wiesław (1921). Kleryk, student filozofii, Lwów. 1945. Zginął przy przeprawie przez Wisłę.
4. Kosiorek Franciszek (1909). Brat zakonny, furtian, mechanik, Lwów. 26.VII.42. Rozstrzelany, Stanisławów.

KARME LIC I

1. Czosnek Piotr *Bartłomiej* (1911). Wikary, Bolszowce. 13.III.44. Zamordowany.
2. Huczynski Augustyn *Bolesław* (1904). Przeor, Rozdół. 8.V.44. Zmarł z ran pod Monte Cassino.
3. Kostuś Józef *Rafał* (1907). Brat zak. Lwów. 20.VI.44. Zabity podczas nalotu, Lwów.

DOMINIKANIE

1. Kaniak Czesław (1892). Lwów. 1941. Zamordowany w więzieniu.
2. Longawa Franciszek *Hieronim* (1872). Czortków. 2.VII.41. Zamordowany.
3. Masiuta Stanisław *Jacek* (1909). Proboszcz, Czortków. 2.VII.41. Rozstrzelany, ciało spalono.
4. Spyrlak Jan *Justyn* (1895). Superior, Czortków. 2.VII.41. Rozstrzelany, jw.
5. Znamirovski Adam *Anatol* (1910). Wikary, Czortków. 2.VII.41. Rozstrzelany, jw.
6. Bojakowski Stanisław *Andrzej* (1897). Brat zak., Czortków. 2.VII.41. Rozstrzelany, jw.
7. Czerwonka Marcin *Reginald* (1857). Brat zak., Czortków. 2.VII.41. Rozstrzelany, jw.
8. Iwaniszczów Karol *Metody* (1910). Brat zak., Czortków. 2.VII.41. Rozstrzelany, jw.

SALETYNI

1. Schleis Klemens (1900). Katecheta, Lwów. 17.IX.39. Zginął podczas nalotu, Lwów.
2. Wołek Ludwik (1900). Adm. par. Zniesienie, Lwów. 17.IX.39. Zginął jw.
3. Zajchowski Stanisław (1898). Proboszcz, Kobylanka. 17.IX.39. Zginął jw.

ZMARTWYCHWSTAŃCY

1. Sztukowski Ignacy (1914). Kleryk, student III r., Lwów. 1940. Zmarł w Niemczech.
2. Korman Józef (1901). Brat zak., Skole. 30.VI.41. Zamordowany, Stryj.

ZGROMADZENIA ZAKONNE ŻEŃSKIE

SAKRAMENTKI

1. Rajzer Maria *Romana* (1901). Oblatka zewn. Lwów. 14.IX.39. Zginęła podczas nalotu, Lwów.

URSZULANKI

1. Barg Leontyna (1898). Stanisławów. Areszt.1943, zaginęła w Stanisławowie.

SALWATORIANKI

1. Falkuś Agnieszka *Stanisława* (1901). Mikułów. 27.I.45. Zamordowana, Mikułów.
2. Ludwig Gertruda *Leopolda* (1901). Mikułów. 17.I.45. Zamordowana jw.

MARIANKI (FRM)

1. Sitarska Helena (1919). Lwów, ul. Piekarska. 14.IX.39. Zginęła podczas nalotu, Lwów.
2. Trudzińska Ludwika (1903). Ceperów k. Lwowa. 3.XI.44. Zamordowana w Ceperowie.

SZARYTKI

1. Bronikowska Henryka (1875). Czerwonogród. 2.II.45. Zamordowana przez żołnierzy w zakrystii.
2. Linowska Klara (1875). Czerwonogród. 2.II.45. Zamordowana jw.
3. Dul Maria (1905). Malechów. 1942. Zastrzelona.
4. Sama Genowefa (1903). Malechów. 1942. Zginęła w więzieniu.
5. Dybiżbańska Antonina (1874). Drohobycz. 20.VII.44. Zginęła w Drohobyczu w czasie działań wojennych.
6. Górska Marianna (1877). Drohobycz. 20.VII.44. Zginęła jw.
7. Kaźnica Monika (1895). Lwów. 26.VI.41. Zamordowana w więzieniu.
8. Piskozub Julia (1911). Lwów. 26.VI.41. Zamordowana jw.
9. Puszkarski Józefa (1902). Lwów. 20.XII.42. Zmarła w drodze na Syberię.
10. Meliger Weronika (1880). Derżów. 8.V.44. Zamordowana.
11. Misiak Wiktoria (1879). Derżów. 8.V.44. Zamordowana.
12. Płoszczyńska Bronisława (1889). Tarnopol. 1.VII.41. Zginęła podczas nalotu, Tarnopol.
13. Rębacz Maria (?). Tarnopol. 3.VII.41. Zginęła podczas nalotu, Tarnopol.
14. Poniecka Agnieszka (?). Rozdół. 8.V.44. Zamordowana.

NIEPOKALANKI

1. Kosierowska Franciszka (ok.1890–95). Niżniów. 7.III.45. Spalona żywcem przez nacjonalistów, Niżniów.
2. Ustyanowicz Stefania *Zofia* (1875). Niżniów. 23.VIII.44. Przecięta piłą.
3. Szembek Maria *Laetitia* (1909). Jazłowiec. 23.VIII.44. Zamordowana przez nacjonalistów, Rusiów k. Jazłowca.

JÓZEFITKI

1. Kulpa Zofia *Leokadia* (1883). Niżniów. 7.III.45. Spalona żywcem.
2. Skalecka Anna *Teresa* (1871). Niżniów. 7.III.45. Zastrzelona.
3. Pawłowicz Adela *Augustyna* (1906). Dolina. 20.XII.44. Zastrzelona podczas powrotu z dyżuru od chorych.
4. Stieber Antonina *Czesława* (1881). Rypne. 25.IV.44. Zastrzelona.

SERCANKI

1. Jędrasik Damiana (1898). Brody. 14.IX.39. Zginęła podczas nalotu.
2. Kasprzycka Balbina (1898). Brody. 14.IX.39. Zginęła jw.

SŁUŻEBNICZKI DĘBICKIE

1. Kogut Beata (1887). Petlikowce Stare. 16.IV lub IX.44. Zginęła w czasie pracy w zakrystii.

SŁUŻEBNICZKI STAROWIEJSKIE

1. Bartosz Anastazja *Izmaela* (1878). Połowce. 17.I.44. Zamordowana w Połowcach.
2. Borkowska Amelia *Witolda* (1903). Połowce. 17.I.44. Zamordowana.
3. Trudzińska Wanda Janina *Longina* (1911). Turkowiec. 6.V.44. Zamordowana.
4. Żarkowska Anna (1882). Zbaraż. 1944. Zamordowana w Hnilicach k. Zbaraża.
5. Żarkowska Helena (1893). Zbaraż. 1944. Zamordowana jw.

FELICJANKI

1. Zielska Zuzanna (1877). Uhnów. 1939. Zginęła podczas nalotu.

SIOSTRY SZKOLNE DE NOTRE DAME

1. Dziurdzia M. Sabina (1898). Mikuliczyn. 18.XII.42. Aresztowana, po zwolnieniu zmarła na tyfus nabyty w więzieniu.
2. Kratochwil Antonina (1882). Przełożona, Mikuliczyn. 1.X.42. Zmarła jw.
3. Łapa M. Hieronima (1898). Mikuliczyn. 9.X.42. Zmarła jw.

RAZEM 155 osób, w tym kapłanów diecezjalnych (i kleryków) 89, z zakonów męskich 27, z zakonów żeńskich 39.

Na koniec autor zwraca się z prośbą o przesyłanie relacji naocznych świadków męczeństwa, osób bezpośrednio lub pośrednio znających pomordowanych w obozach, więzieniach lub w jakiegokolwiek innej sytuacji. Do istotnych materiałów historycznych należy zaliczyć także zdjęcia duchowieństwa, które być może gdzieś zostały przechowane. Wszelkie informacje, materiały źródłowe, zdjęcia należy kierować do Lwowskiej Kurii Metropolitalnej we Lwowie-Brzuchowicach (adres poniżej). Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób odpowiedzą na niniejszy apel, autor składa serdeczne „Bóg zapłać”. Do tej prośby dołącza się nasza Redakcja.

**Kuria Metropolitalna we Lwowie, ks. Marian Skowrya
ul. Lwowska 62, 19491 Lwów-Brzuchowice, Ukraina**

*Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o przedwczesnym odejściu*

śp. dr med. Danuty Krupskiej

*prezesa Oddziału Kołomyja-Pokucie w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-
Wschodnich we Wrocławiu, b. wiceprezesa Zarządu Głównego TMLiKPW.*

*Była aktywną działaczką Towarzystwa, organizatorką wielu przedsięwzięć na rzecz naszej
utraconej Ziemi Rodzinnej i swojej Małej Ojczyzny, na rzecz Polaków tam żyjących
i wygnańców. Cześć Jej pamięci!*

*Serdeczne wyrazy współczucia Mężowi i Córce – Pani Bożenie, redaktorce pisma
Gdzie Szum Prutu..., a także całej społeczności polskiej Kołomyi i Pokucia, składa*

Oddział Krakowski TMLiKPW oraz Redakcja „Cracovia-Leopolis”

APEL POLSKICH ORMIAN

W imieniu organizacji ormiańskich w Polsce zwracamy się z apelem w sprawie bolesnego dla nas problemu, którym jest brak godnego miejsca wiecznego spoczynku dla arcybiskupa ormiańskokatolickiego Józefa Teodorowicza, wielkiego męża stanu, duszpasterza, działacza społecznego i parlamentarzysty.

W święto Ofiarowania Pańskiego minęła 100. rocznica konsekracji Józefa Teodorowicza, który sakrę biskupią w katedrze ormiańskiej we Lwowie otrzymał z rąk trzech wybitnych duszpasterzy: biskupa krakowskiego kard. Jana Puzyny, arcybiskupa lwowskiego obrządku greckokatolickiego Andrzeja Szepetyckiego oraz arcybiskupa lwowskiego obrządku rzymskokatolickiego Józefa Bilczewskiego, którego rok temu Ojciec Święty Jan Paweł II ogłosił błogosławionym.

Arcybiskup Józef Teodorowicz to jedna z najwybitniejszych postaci Polski w XX wieku. Szczególnie należy wspomnieć jego zasługi dla parlamentaryzmu polskiego. W latach 1902–1918 zasiadał on w Izbie Panów w Wiedniu i w Sejmie Krajowym we Lwowie, gdzie bronił spraw polskich. Natomiast w latach 1919–1922 zasiadał w polskim Sejmie Konstytucyjnym, a w latach 1922–23 w Senacie RP. Do historii polskiego parlamentaryzmu przeszło jego słynne kazanie wygłoszone w 1919 r. w katedrze św. Jana w Warszawie, na rozpoczęcie obrad polskiego Sejmu Konstytucyjnego oraz działania podejmowane dla dobra ojczyzny.

Arcybiskup Józef Teodorowicz był też wielkim społecznikiem. Po I wojnie światowej był zaangażowany w sprawę przywrócenia Śląska do Macierzy. Był też delegatem wyznaniowym w Radzie Szkolnej Krajowej. Otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Lwowskiego oraz obywatelstwo honorowe kilku miast. Zmarł 4 grudnia 1938 r. we Lwowie. Za zasługi dla ojczyzny pochowano go na Cmentarzu Orła Lwowskich na Łyczakowie. Jednak podczas okupacji sowieckiej jego ciało przeniesiono po kryjomu do grobowca jednej z rodzin lwowskich, gdzie znajduje się do dziś.

To, co nas, Ormian i Polaków ormiańskiego pochodzenia, boli najbardziej, to fakt, że ten wielki patriota od dziesiątków lat nie ma godnego miejsca spoczynku, a jego doczesne szczątki są nadal pochowane w cudzym

grobowcu i pod obcym nazwiskiem, przez co jego zasługi zacierają się w ludzkiej pamięci. Od 1991 r. różne środowiska czynią starania w sprawie godnego pochówku arcybiskupa, ale przez ostatnie 11 lat sprawa ta nie może znaleźć swojego szczęśliwego finału.

Zwracamy się więc do wszystkich ludzi dobrej woli o pomoc w tej sprawie. W imieniu naszych środowisk deklarujemy gotowość wszechstronnej współpracy.

MONIKA AGOPSOWICZ, delegat Federacji Organizacji Ormiańskich w Warszawie,

JAN ABGAROWICZ, wiceprezes Koła Ormiańskiego w Warszawie,

IRMA DĄBROWSKA-ANTKOWIAK, prezes Koła Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego w Gdańsku,

MACIEJ BOHOSIEWICZ, prezes Koła Ormiańskiego w Warszawie,

ADAM TERLECKI, prezes Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w Krakowie,

WOJCIECH ZACHARIASIEWICZ, prezes Koła Ormiańskiego w Gdańsku,

ks. kan. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI, duszpasterz Ormian w Krakowie.

Pod powyższym apelem, ogłoszonym w prasie, a także za pośrednictwem internetu podpisujemy się z pełnym przekonaniem i aprobatą. Arcybiskup Józef Teodorowicz był bowiem wybitną postacią naszej wspólnej historii – postacią, której wielkość uznają Ormianie, Polacy i Rusini.

Tymczasem co się okazuje? Ukraińska administracja uznała abpa Teodorowicza za „polskiego nacjonalistę” i zapewne z tego tytułu sprzeciwia się powrotowi Jego szczątków na dawne godne miejsce. Ta sama administracja, która pozwala swoim obywatelom włamywać się i zawłaszczać cudze grobowce, pozbawiać je pierwotnych tablic z nazwiskami pochowanych, niszczy ich zabytkową formę.

Wypada więc zaapelować do ludzi kultury żyjących obecnie we Lwowie, do hierarchów Kościołów obrządków wschodnich, pełniących dziś tam swoją misję – aby sprzeciwili się kulturowi i wybrykom ze strony urzędników i działaczy, których postępowanie wynika z niskich pobudek politycznych, nie liczących z miejscem, w którym Lwów się znajduje – z Europą.

SPRAWY JĘZYKA CIĄG DALSZY

Czytelnicy pamiętają zapewne nasze pretensje kierowane do ks.bpa Stanisława Padewskiego, sufragana lwowskiego, który wykazywał dotąd szczególną aktywność w kwestii eliminowania języka polskiego z liturgii i paraliturgii Kościoła rzymskokatolickiego za wschodnią granicą. Na naszą szczególnie ostrą notatkę w CL 3/01 odpowiedział listem, który lojalnie drukujemy w rubryce „Listy” w tym numerze.

Ks. Biskup nadesłał nam zarazem odbitkę dobrej wypowiedzi prezesa Związku Polaków na Ukrainie Stanisława Kosteckiego, wygłoszonej na II Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy w Warszawie w maju 2001 r., zamieszczonej w „Myśli Polskiej” 5/01, oraz swoją replikę, której celem było „rozgromienie” Kosteckiego, a której „Myśl Polska” do publikacji nie przyjęła. Ks. Biskup wobec tego zażyczył sobie, by nasze pismo obie wypowiedzi wydrukowało.

Mieliśmy zamiar to uczynić, ale w ostatnich dniach (początek maja '02) zaszły nowe wydarzenia: ks. bp Padewski odchodzi ze Lwowa. Na jego miejsce przyjdzie dwóch nowych biskupów pomocniczych, których witamy z nadzieją! W takiej sytuacji nie chcemy naszej polemiki z bpem Padewskim przeciągać – staje się ona bezprzedmiotowa. Z publikacji obu wymienionych tekstów rezygnujemy.

Księdzu Biskupowi Stanisławowi życzymy wszelkich Łask Bożych na nowej placówce w nowo utworzonej diecezji charkowsko-zaporoskiej. Trzeba oczywiście pamiętać, że i tam rzymski katolicyzm został wniesiony w dużej mierze przez Polaków, a żyjący tam dziś Polacy chcieliby nadal zachować swoją tożsamość (czego dowodem liczne polskie towarzystwa w miastach zachodniej Ukrainy). Szczęść Boże!

Do powyższych tekstów dodaliśmy jeszcze dwa inne, które dopełniają obrazu sytuacji Polaków w Kościele rzymskokatolickim na terenie metropolii lwowskiej. Z tych nie rezygnujemy, bo problem pozostaje nadal aktualny.

Pierwszy z tych dokumentów to fragmenty wypowiedzi ks. Romana Dzwonkowskiego, profesora KUL, wygłoszonej na tym samym Zjeździe w Warszawie, a opublikowanej w „Dzienniku Kijowskim” 13/01.

POLACY W KOŚCIELE KATOLICKIM NA WSCHODZIE

[...] Zdarza się, że dzieci znające dobrze katechizm i pacierz w języku polskim nie są np. na Ukrainie przyjmowane do Pierwszej Komunii Świętej lub Bierzmowania, dopóki nie nauczą się tych samych rzeczy w języku ukraińskim. Ponieważ dzieje się to zwykle wbrew życzeniom rodziny, katecheza staje się w takich wypadkach źródłem niepokoju i głębokiego żalu rodzin polskich. Ze względu na wielki autorytet duszpasterzy i onieśmienie wobec nich rzadko jest on jednak ujawniany. Nasuwa się trudne do uniknięcia pytanie: jak na duchową więź religijną w rodzinie będzie rzutował fakt różnych języków w modlitwie dzieci, rodziców i dziadków, którzy nie będą już w stanie przekazać całej tradycji religijnej, uczuć i przeżyć.

[...] Rodzice odpowiadają, że od zawsze nauczanie katechizmu odbywało się w języku polskim, choć dzieci go w pełni nie rozumiały.

Z czasem jednak dochodziły do jego zrozumienia i wiara przekazywana w ten sposób w rodzinie trwała pomimo najcięższych prób. Potwierdzają to przykłady heroicznej wierności Kościołowi i wierze w czasach przesładowań, dziś coraz lepiej znane. [...]

Na Białorusi i na Ukrainie można spotkać sugestie ogólnego wprowadzenia do kościołów tzw. języka państwowego, padają one także niekiedy i ze strony duszpasterzy, czasem z powołaniem się na rzekome polecenie Ojca Świętego, które ma jakoby brzmieć następująco: *Każdy naród powinien w swoim języku modlić się* (domyślnie wszyscy zostali zaliczeni do narodu ukraińskiego) lub *W jakim państwie mieszkacie, w takim języku powinniście się modlić*. Argumenty te są zapewne swoistym wykorzystaniem sformułowań Konstytucji o Liturgii Soboru Watykańskiego II, która mówi o możliwości wprowadzania języków ojczystych (nr 36, 54). Nie mówi ona jednak, gdyż jest to nie do pomyślenia, o wprowadzaniu języków państwowych. Przypisywanie tego rodzaju poleceń

Ojcu Świętemu jest rażącym nadużyciem Jego autorytetu. Przekreśla jednak w odczuciach ludzi przyjmujących z absolutnym posłuszeństwem wszystkie polecenia kapłanów możliwość i chęć upomnienia się o język polski. W innych wypadkach uzasadnienie brzmi ogólnie: *takie są odgórne zalecenia*.

Niemal 10 lat temu Związek Polaków na Białorusi sformułował zasady dotyczące języka polskiego w kościołach, które nie straciły na znaczeniu. Brzmiały one następująco: – *Na Białorusi są Polacy. – Mają oni prawo modlić się do Boga w języku ojczystym. – Takie samo prawo mają do języka białoruskiego Białorusini. – Prawo wyboru języka należy wyłącznie do wiernych, a nie do osób z zewnątrz*. Powyższe zasady powinny być respektowane przez Kościół i państwo, zainteresowane osoby i instytucje. Zasady te należy odnieść również do Polaków na Ukrainie. Stuszne jest retoryczne pytanie jednej z Polek na Ukrainie: *Czy Kościół nie może rosnąć nie niszcząc tego, co przetrwało wieki?*

[...] Wobec braku jakichkolwiek instytucji mogących stanowić pomoc w zachowaniu tożsamości narodowej Kościół Katolicki obrządku łacińskiego przez sam fakt używania języka polskiego w nabożeństwach był dla Polaków w Rosji carskiej i w ZSRR jedynym oparciem w zachowaniu przez nich polskiej świadomości narodowej. Podobnie bywało w wypadku Niemców, Litwinów, Łotyszy i innych nacji. Tego rodzaju funkcja Kościoła nie jest jego celem i zadaniem, lecz w sposób nieunikniony wynika z faktu zwracania się duszpasterzy do wiernych w ich języku.

Na omawianych tu terenach można bardzo często obecnie usłyszeć opinię, że zadaniem Kościoła nie jest podtrzymywanie świadomości narodowej Polaków, gdyż powołane są do tego odpowiednie organizacje polskie. To jest tylko częściowo prawda i należy natychmiast dodać, że zadaniem Kościoła nie jest też zmienianie tej świadomości na inną świadomość narodową. Tymczasem w tym właśnie kierunku zdecydowanie prowadzi obecnie, w sposób bardzo skuteczny, zmiany w dziedzinie języka liturgii na Białorusi i Ukrainie, tam, gdzie wierni narodowości polskiej, pragnący mieć język polski w kościele, nie mają alternatywy.

[...] Uważa się, że język modlitwy jest jednym z najważniejszych wyznaczników

przynależności narodowej. Historia Polaków na Wschodzie pokazuje, że kluczem do ich tożsamości narodowej i przetrwania jako mniejszości narodowej był język polski w kościele, modlitwie i katechezie dzieci. Jego nieobecność w kościołach, pomimo oczekiwań i potrzeb wiernych, oznacza w zależności od kraju białorusizację, ukrainizację czy rusyfikację Polaków. Wybór przynależności narodowej jest sprawą osobistą człowieka i Kościół nie może w to ani bezpośrednio ani pośrednio ingerować. [...] Ingerować w tej dziedzinie nie mogą także władze państwowe.

Przykładem poszanowania praw wiernych w tym względzie jest np. sytuacja mniejszości węgierskiej w Rumunii, niemieckiej, litewskiej, ukraińskiej i białoruskiej w Polsce, gdzie mniejszości te mają całkowitą swobodę używania w życiu religijnym, katechezie i duszpasterstwie własnych języków narodowych.

[...] badania na Ukrainie ukazują też argumentację stosowaną przez wielu duszpasterzy w odpowiedziach na pytania wiernych o przyczyny zmiany języka w liturgii. Warto przytoczyć jej przykłady w dosłownym brzmieniu, zapamiętanym przez wiernych. Oto niektóre z nich:

- *na Ukrainie powinno być po ukraińsku;*
- *język liturgii powinien być zgodny z językiem państwowym kraju;*
- *nie jesteście Polakami, lecz tylko katolikami;*
- *jesteście spolonizowanymi w przeszłości Ukraińcami;*
- *nie umiecie mówić po polsku;*
- *dzieci nie rozumiejąc języka polskiego nie będą chodzić do kościoła;*
- *trzeba się poświęcić dla dzieci;*
- *trzeba się poświęcić dla Ukraińców, którzy przychodzą albo mogą przyjść do kościoła;*
- *Bóg jest jeden i język nie ma żadnego znaczenia;*
- *mieszkacie na Ukrainie i powinniście modlić się po ukraińsku;*
- *to nie od nas zależy;*
- *tak jest na całej Ukrainie, a nie tylko w naszej parafii itp.*

Są przypadki przekonywania wiernych przez duszpasterzy, że nie są Polakami, lecz katolikami-Ukraińcami. Autorytet duszpasterski służy wówczas działaniom mającym

na celu zmianę dotychczasowej świadomości narodowej wiernych, wbrew słusznie głoszonej jednocześnie zasadzie, że celem Kościoła nie jest służenie podtrzymywaniu. Zasada ta jednak w tym wypadku dotyczy wyłącznie Polaków. Zdarzające się próby pewnego sprzeciwu parafian wobec wyłączności językowej w liturgii są w ostry sposób tłumione. Dlatego w zdecydowanej większości parafii np. na Ukrainie temat języka stał się tematem tabu. Niekiedy dochodzi do podziału parafian na tle języka w kościele, rezygnacji z uczęszczania w miejscowej świątyni i dalekich wyjazdów do innych kościołów na mszę św. w języku polskim. Dotychczas Polacy nigdy nie musieli obawiać się okazywania w nim przywiązania do języka polskiego. Obecnie nierzadko ma to już miejsce. Paradoks polega na tym, że dzieje się to po odzyskaniu wolności przez Kościół. [...]

* * *

I drugi dokument: list parafian z Drohobycza, skierowany do ks. kardynała M. Jaworskiego (z 15 X 2001), udostępniony nam we Lwowie. Przedstawiamy go z niewielkimi, nieistotnymi merytorycznie skrótami.

Zwracamy się do Waszej Eminencji. Jest nam bardzo przykro, że musimy pisać o naszym Ojcu Proboszczu Piotrze Wiśniewskim. Dla nas to najbardziej bolesny temat, który zaistniał na Ziemi Drohobyckiej. Prawie dwa lata Ojciec Proboszcz [...] prowadzi niezrozumiałą politykę w naszej parafii. Od pierwszych dni pobytu wprowadza się ukraińską kościoła. Po pierwszym spotkaniu z Ojcem Proboszczem z ambony kościoła podczas niedzielnej sumy było powiedziane: *Komu się nie podoba, co ja wprowadzam, proszę pakować walizy i wyjeżdżać do Polski lub jeździć do Sambora i Stryja, jak jeździliście, ale Ojciec zapomniał, że my tutaj mieszkamy od dziada i pradziada i że my walczyliśmy o odzyskanie naszego kościoła w czasach komunizmu i wywalczyliśmy. Podobna ignorancja wywołuje wielki żal i niezrozumienie podobnych postępowań Ojca. [...]*

Na początku 2000 roku w kościele były rozprowadzane odpłatnie przez Ojca Proboszcza kalendarze katolickie w języku ukraińskim. Po zwróceniu uwagi Ojciec Proboszcz agresywnie zareagował, odmawiając prawa

wiernym do kalendarza w ojczystym języku motywując, że mieszkamy na terenie Ukrainy i musimy żyć wg reguł ukraińskich. [...]

Wspólny opłatek organizowany przez parafian w Drohobyczu jest nagminnie już od dwóch lat ignorowany przez Ojca Proboszcza. [...]

Szczególny temat, który wymaga omówienia w tym piśmie, jest prowadzenie katechezy w języku ukraińskim dla dzieci. Rodzice 11 z 14 dzieci uczęszczających na katechezę zwrócili się do Ojca Proboszcza z prośbą o prowadzenie katechezy w języku ojczystym – polskim. Ojciec Proboszcz nadal obstawał za językiem ukraińskim, motywując swoją decyzję tym, że dzieci nie rozumieją swego języka ojczystego (!), co jest absolutnym nonsensem. Podobne zachowanie tylko potwierdza całkowitą ignorancję potrzeb prostych parafian ze strony Ojca Proboszcza.

Wygłaszane z ambony dziwne wypowiedzi wywołują u nas uczucie żalu. Tak podczas rozmowy w Borystawiu Ojciec Proboszcz powiedział, że dopóki nie umrze starsze pokolenie (czyt. Polaków), wtedy będzie można zrobić porządek w parafii (!). Nie można ominąć nagminnie stosowaną przez Ojca Proboszcza praktykę wygłaszania pomówień z ambony w celu zastraszenia parafian. Ojciec Proboszcz z ambony wygłaszał oszczerstwa w stosunku do parafian. [...]

Zarząd TKPZL w Drohobyczu w styczniu 2000 r. zaprosił Ojca Proboszcza na posiedzenie, gdzie był omawiany temat wspólnych działań oraz zostały postawione problemy nurtujące prostych parafian w Drohobyczu. Po wysłuchaniu przedstawionych tematów, wśród których m.in. było wprowadzenie dwóch mszy niedzielnych, nie doszło do żadnego skutku. Poprzedni Ojcowie Proboszczowie podchodzili ze zrozumieniem do potrzeb parafian, lecz tylko obecny Ojciec Proboszcz zignorował istniejący od 10 lat porządek mszy, czym uniemożliwił uczestnictwo dla niektórych parafian w niedzielnej mszy. W rodzinach, gdzie są małe dzieci albo osoby wymagające stałej opieki, tylko jeden z rodziców albo opiekunów może uczęszczać do kościoła. Podczas tego posiedzenia Ojcu Proboszczowi była przedstawiona propozycja zaprowadzenia dwóch mszy w języku polskim oraz w języku ukraińskim, a nie prowadzić mszy mieszanej językowo. Podobna praktyka jest stosowana



Portal 600-letniego kościoła św. Bartolomieja w Drohobyczu, jednej z najbardziej czcigodnych historycznych świątyń polskich. Nad gotyckim obramieniem Orzeł Polski i herb miasta. Po bokach wyobrażenie dwóch Mieczów Grunwaldzkich, które rycerz Jan Mężyk, późniejszy pierwszy wójt drohobycki, odebrał po bitwie z rąk Krzyżaków i przekazał królowi Władysławowi Jagielle.

w innych parafiach na Wschodniej Ukrainie, gdzie nie istnieją kościoły greckokatolickie [to jest ważna informacja: *gdzie nie istnieją kościoły greckokatolickie* – przyp. red.]. W Drohobyczu większość parafian pochodzi z polskich rodzin albo z rodzin mieszanych, w których język polski jest używany na co dzień. Jeżeli w Drohobyczu jest 14 cerkwi greckokatolickich, dlaczego zaistniało zapotrzebowanie wprowadzenia języka ukraińskiego w kościele? Można zaprowadzić oddzielną mszę w tym języku. [...] Jak było boleśnie parafianom w Drohobyczu 24 grudnia ub.r. przy rozpoczęciu pasterki [usłyszeć] zamiast kolędy *Wśród nocnej ciszy*, która od zawsze tradycyjnie rozpoczyna tę uroczystość, usłyszeć ukraińską kolędę *Nova radiś stała*. Wielki żal zamiast radosnego nastroju zagościł w drohobyckim kościele podczas Świąt Bożego Narodzenia. Adekwatną reakcją ludzi były nieliczne zaproszenia duszpasterzy na kolędę do domów parafian.

W ciągu dwóch lat trwania kadencji obecnego Ojca Proboszcza nie prowadzi się żadnych prac renowacyjnych przy kościele w Drohobyczu. Nasz kościół, który ma już ponad 600 lat, potrzebuje terminowych prac remontowych, lecz tylko obecny Ojciec Proboszcz nie chce organizować żadnych prac przy kościele [...]. W niedzielę podczas kazania Ojciec Proboszcz powiedział, że nie będzie nikogo informował o swoich działaniach związanych z utrzymaniem świątyni i będzie robić wszystko co zechce. [Cóż dziwnego, skoro ma dobre przykłady z góry!]. Jednocześnie Ojciec Proboszcz zachęca o po-

moc w pracach przy kościele w tak arogancki sposób, iż to spowodowało, że większość ludzi nie przychodzi do prac przy kościele.

Parafianie w Drohobyczu wystąpili w obronie Ojca Ryszarda Niziołka, który był bardzo szanowany wśród wszystkich parafian i uwielbiany przez młodzież. Z inicjatywy Ojca Proboszcza Ojciec Ryszard Niziołek został odwołany jako osoba niepodporządkowująca się dziwnej polityce Ojca Proboszcza Piotra Wiśniewskiego. Parafianie wystosowali list do Ojca Prowincjała z prośbą o pozostawienie Ojca Ryszarda w parafii drohobyckiej. Z przykrością trzeba zaznaczyć, iż ta prośba nie została uwzględniona. [Sprawa wypisz-wymaluj przypomina casus ks. Andrzeja Ramsa w Strzelczyskach].

Zwracamy się do Waszej Eminencji o wyrozumiałość oraz wszelką możliwą pomoc w rozwiązaniu tego konfliktu.

Każdy z niżej podpisanych może potwierdzić fakty podane w niniejszym piśmie, jak również dodać wiele informacji [...] Nie jest naszym zamiarem uczynić jakąś krzywdę Ojcu Proboszczowi. Chodzi jedynie o to, że Ojciec Proboszcz jest przede wszystkim osobą duchowną i odpowiedzialną za ludzi, za ich problemy. Każdy proboszcz powinien wysłuchać ludzi i przystać na ich zapotrzebowania wewnętrzne, a nie stwarzać napięcia i potępiać życzenia i prośby parafian. Konflikt, który zaistniał, nie jest przez parafian, tylko przez Ojca Proboszcza spowodowany. Dlatego bardzo prosimy pomóc znaleźć wyjście z tej skomplikowanej sytuacji, która na przykrość nas wszystkich złożyła się.

Następuje 25 podpisów. List został skierowany także do wiadomości O. Prowincjała Redemptorystów w Warszawie, Prezesa „Wspólnoty Polskiej” w Warszawie, Konsula Generalnego we Lwowie i in.

Wszystko to nasuwa bolesne refleksje. Jak stwierdził sam bp. Padewski, podobnych wypowiedzi jest wiele, ale okazuje się, że wszystkie spotykają się z całkowitym brakiem zrozumienia i życzliwości. Tak niestety wygląda stosunek niektórych hierarchów i księży (a także siostrzyczek) do Ludu Bożego, do jego pragnień, życzeń, woli. Tak w praktyce traktuje się laikat. O innych aspektach tej niepięknej postawy nawet nie warto wspominać.

Czy można się dziwić, że tak wiele ludzi ucieka od tego?

MUZYK UTALENTOWANY

Arcymistrz gry na organach

Michał Woźny to postać odpowiadająca sensu *stricto* tytułowi naszego kwartalnika. Jego życie, praca zawodowa i osiągnięcia twórcze przebiegły we Lwowie i Krakowie, choć – jak dla większości nas ekspatriantów – okres krakowski kilkakrotnie przebił w czasie tamten pod Wysokim Zamkiem. W tym roku mija stu-lecie urodzin znakomitego mistrza lwowskich i krakowskich organów.

Pochodził z Krakowskiego: urodził się w 1902 roku w Spytkowicach pod Wadowicami jako syn tamtejszego organisty, który kilkanaście lat później objął obowiązki organisty u Dominikanów w Krakowie. To właśnie od ojca przejął Michał początki i zamiłowanie do gry na organach. Swoje umiejętności gruntownie pogłębił w krakowskim Konserwatorium, gdzie jednym z profesorów był o. Bernardino Rizzi, Włoch, franciszkanin i kompozytor, który wywierał wielki wpływ na swoich uczniów, także na Woźnego. Po studiach przez dwa lata grał na organach u krakowskich Misjonarzy, a w 1926 r. wygrał konkurs na posadę organisty kościoła św. Elżbiety we Lwowie. Tam spędził 20 lat, dochodząc w tym czasie do szczytu swojego mistrzostwa warsztatowego i twórczych osiągnięć.

W 1946 r. zmuszony do opuszczenia Lwowa, znalazł się znów w Krakowie. Tu, wobec wakansu dla organisty w Katedrze Wawelskiej, skorzystał z propozycji proboszcza, by przejąć tę funkcję. Na tej zaszczytnej placówce pozostał przez kolejne lat kilkadziesiąt, zyskując sobie zasłużone uznanie i tworząc – podobnie jak we Lwowie – wiele znakomych kompozycji muzyki religijnej. Łącznie pozostawił ich ponad sto. Zmarł w 1990 roku.

O Michale Woźnym opowiadają: lwowianin Tadeusz Machl, kompozytor, em. profesor krakowskiej Akademii Muzycznej – o okresie lwowskim, oraz krakowianin, em. docent dr hab. Akademii Rolniczej Jan Pociąg – o okresie krakowskim, widzianym

z perspektywy prowadzonego przez Woźnego na Wawelu chóru Rorantystów. Jeszcze inne informacje zaczerpnęliśmy z pracy magisterskiej Renaty Czai, opracowanej w 1996 r. pod kierunkiem prof. Machla w AM.

Tadeusz Machl

WIELE MU ZAWDZIĘCZAM

Początek mojej wieloletniej – pomimo dużej różnicy wieku – przyjaźni i współpracy z prof. Michałem Woźnym był niemal przypadkowy. Kiedyś, na początku wojny, natknąłem się na Niego wchodząc do kościoła św. Elżbiety. Przywołał mnie ruchem ręki, a kiedy się do niego zbliżyłem, zaproponował bym przyszedł na chór.

Takie było moje z nim poznanie. Skądś mnie znał, ale skąd mógł wtedy wiedzieć, że gram na organach i potrafię akompaniować chórowi? Może opowiadali Mu soliści – Andrzej Hiolski lub Marian Kolasiński, którzy mnie znali z mszy akademickich w Katedrze Ormiańskiej, gdzie grywałem przez dwa ostatnie przedwojenne lata?

Potrzebował pomocnika. Za ciężko było Mu zarazem grać na organach i dyrygować chórem. Kiedy mnie tam ściągnął, miano właśnie wykonać *Mszę Piotrowińską* Moniuszki. Posadził mnie przy klawiaturze i – bez przygotowania i prób – wyszło! Od tego czasu byłem Jego stałym organistą. Pamiętam, że innym razem – już z przygotowaniem – graliśmy *Stabat Mater* Rossiniego. Partie solowe śpiewali tenor Franciszek Bydlewski, jego żona – sopran, alt p. Inasińska oraz bas Romuald Cyganik.

Jaki był Michał Woźny? Był z natury utalentowany. Jako muzyka cechowały Go trzy ważne zdolności: wykonawcza, improwizatorska oraz kompozytorska. Grywał trudny repertuar organowy. Był świetnym akompaniatorem. Wspaniale aranżował pieśni – we Lwowie na chór mieszany, w Krakowie – czysto męski (Rorantystów). W latach lwow-



skich zaprzyjaźniliśmy się. Bardzo wiele mu zawdzięczam.

Jako człowiek był opanowany, nic Go nie potrafiło zdenerwować. Był powściągliwy, nie wylewny, nie z każdym się spoufałał. W tamtych czasach najbliższy był Mu śpiewający w naszym chórze poeta Aleksander Baumgardten (1908–80), później także pisarz, osiadły po wojnie w Katowicach.

Woźny dawał czasem koncerty organowe we Lwowie, ale nie w swoim kościele – najchętniej w kościele ewangelickim przy ul. Zielonej. A dlaczego nie u św. Elżbiety? Mankamentem była tam zła jakość instrumentu. Dostarczyła go (jeszcze przed przyjazdem Woźnego do Lwowa) nie najlepsza firma Biernackich z Włocławka. Miał 73 głośy i trzy manuały, ale pneumatyczna traktura powodowała ogromne opóźnienia. Szkoda, bo na wykonanie organów w kościele św. Elżbiety był przetarg. Stawał do niego także lwowski organmistrz Hase. Myślę, że jego instrument byłby o wiele lepszy. Warto dodać, że mieliśmy niedaleko konkurencję: w kościele św. Marii Magdaleny przy tej samej ulicy Leona Sapiety (wymienione kościoły stały na dwóch jej krańcach). Tamtejszy proboszcz, ks. Gerard Szmyd, zakupując nowe organy do swego kościoła, wybrał lepszą firmę: Riegera z Niemiec. Wysoka jakość tego instrumentu spowodowała, że Sowietci zamienili kościół MM na salę koncertową (którą jest nadal, mimo iż organy są dziś zdezelowane: *fernwerk* przy głównym ołtarzu jest od lat zepsuty!).

Michał Woźny działał we Lwowie przez lat dwadzieścia. Wyjechał ze Lwowa jako ekspatriant w 1946 r. Zwolnione po nim miejsce przy organach u św. Elżbiety ja zająłem – na półtora roku. Także mieszkanie po nim odziedziczyłem, ponieważ właśnie wtedy się ożeniłem. Ówczesny wspomniały proboszcz ks. kanonik Załuczkowski przekazał mi opróżnione przez Woźnego dwupokojowe mieszkanie w domu parafialnym na pl. Bilczewskiego (przedtem mieszkałem z rodzicami przy ul. Grunwaldzkiej).

Warto wspomnieć przy okazji postać Romana Mackiewicza, który był członkiem chóru Michała Woźnego we Lwowie, a zawodowo prowadził chór w szkole Sabiny Kasperek* (w której ja kiedyś zaczynałem naukę). Po śmierci Woźnego Mackiewicz objął Chór Rorantystów Katedry Wawelskiej.

* We Lwowie działało kilka szkół muzycznych, a z tych najważniejsze były trzy: Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego, Konserwatorium im. Szymanowskiego oraz szkoła Sabiny Kasperek.

Wiadomość ze Lwowa: organy w kościele św. Elżbiety, zabranym na cerkiew prawosławną, zostały doszczętnie rozebrane, nie ma po nich śladu. Jeszcze gorsza wiadomość nadeszła na temat zabytkowego instrumentu w lwowskim kościele Dominikańców, ale brak dokładnych informacji. Po ich zebraniu powiadomimy Czytelników.

Jan Pocięj

PROFESOR WO•NY, JAKIM GO ZAPAMIĘTAŁEM

Po II wojnie światowej Katedra Wawelska została dopiero otwarta na Wielkanoc 1946 roku. Tego dnia w czasie sumy śpiewał chór „Echo” pod dyrekcją prof. Adama Kopycińskiego, a na organach grał Michał Woźny.

Zaraz po inauguracji prof. Woźny rozpoczął organizowanie własnego wawelskiego chóru, do którego obowiązków miało należeć uczestniczenie na sumie we wszystkie niedziele i święta, a także w innych, szczególnie uroczystościach w Katedrze. Profesor udał się więc tam, gdzie był najliczniejszy



chór dobrze przygotowanych śpiewaków – do Filharmonii Krakowskiej. W wyborze kandydatów pomagał Mu korepetytor tego chóru Zbigniew Soja. To on właśnie wskazał Woźnemu mnie jako ewentualnego kandydata do barytonów w chórze męskim. Propozycję przyjąłem naturalnie z ogromną radością. I tak zaczęło się moje – już 56-letnie – uczestnictwo w tym chórze, zwanym Chórem Rorantystów na Wawelu.

Już od pierwszego spotkania przyłączyłem się do Profesora i do grupy przez Niego skompletowanej. Promieniował życzliwością, pogodą ducha, otwartością, delikatnością, ogromną skromnością i wielkim poczuciem humoru. Takim był jako człowiek. A jako muzyk? Był fenomenalny w grze na organach. Od naszych lwowiaków wiedziałem, że konkurs na organistę w kościele św. Elżbiety we Lwowie wygrał m.in. wręcz zdumiewającą grą na pedałach, biegłością i lekkością, *spacerowaniem* na organach. Wszystkie te jego cechy powodowały, że był przez nas uwielbiany.

Wkrótce po wejściu do Chóru zorientowałem się, że w tej naszej małej wspólnotce trzon stanowili lwowiacy, którzy wraz z Profesorem śpiewali już wtedy, gdy był organistą u św. Elżbiety. Tylko że we Lwowie był to chór mieszany, liczący ponad 100 osób! Oto nazwiska tych lwowiaków, którzy należeli do Chóru Wawelskiego: Bajoński (imienia nie pamiętam, pisał dla nas nuty), Władysław Choma, Tadeusz Dzieszkiński, Stanisław Danilewicz, Jerzy Habela, Ryszard Hawrysz, Jan Korecki, Władysław Kotschy, Roman Mackiewicz, Janusz Roszczyniański, Stanisław Turowicz, Mieczysław Zachara.

Niektórzy z nich, jak prof. Zachara, bardzo rzadko pojawiali się w naszym zespole. Mieszkał on i pracował we Wrocławiu, ale gdy tylko mógł, wpadał do nas i śpiewał solówki, odświeżając kontakt z profesorem Woźnym. W barytonach śpiewał prof. Jan Korecki z Politechniki Krakowskiej (teoria maszyn), w basach prof. Jerzy Habela – teoretyk muzyki; on i Ryś Hawrysz byli filarami w basach.

Dr St. Turowicz był wicedyrektorem w Instytucie Budownictwa. Początkowo śpiewał jako II tenor, a później był długoletnim dyrygentem-amatorem, ułatwiając prof. Woźnemu wykonywanie utworów. Jego zasługą było poważne odmłodzenie chóru, gdy wraz z jego synem Markiem zjawili się kilku rówieśników tegoż. Mgr inż. T. Dzieszkiński wniósł ze sobą cały szereg utworów śpiewanych we Lwowie. Był krótko, bo wkrótce złaźniała Go choroba.

Profesorowi brakowało jednego: cierpliwości w prowadzeniu prób. Rozdawał nuty, podawał ton i – śpiewamy! To prawda, że dobierał sobie śpiewaków niemal zawodowych i chciał, abyśmy wszyscy tak biegle czytali nuty jak On sam. Prób więc prawie w ogóle nie organizował, a jeśli, to tylko w czasie... kazania; brał nas do przedsiönka chóru (przy miechach) i tam raz czy dwa prześpiewywaliśmy dość trudne utwory (polifoniczne, z tekstem łacińskim). Oczywiście, że rzadko, ale trafiało się załamanie w jakimś głosie, a wówczas Profesor potrafił z *kapelusza* (tak się mówi w gwarze śpiewaczej) podać właściwy ton. Dla nas graniczyło to często z cudem. Najważniejsze było to, że On nigdy się na nas nie „wściekał”.

Prof. Woźny, będąc organistą w Katedrze, był na „czarnej liście” u władz komunistycznych – nigdy nie dostał zezwolenia na wyjazd za granicę z koncertem. Raz Go tylko słyszałem – chyba w roku 1948 – kiedy wystąpił w kościele Mariackim w Krakowie jako koncertmistrz. Jedyne na co Mu zezwolono, to nauczanie w średniej szkole muzycznej.

Był fantastyczny – wręcz jakby Go coś opętało – gdy zaczynał improwizować, a raczej przechodził po zakończeniu nabożeństwa na wariacje z wplecionym w nie tematem pieśni, np. *Mędracy świata*, albo (po nabożeństwie za Marszałka J. Piłsudskiego) – *Pierwszej Brygady*. Cóż to była za uciecha dla nas w tamtych stalinowskich czy

peerelowskich czasach. Tego się nie da opowiedzieć – to trzeba było przeżyć.

Wśród wielu utworów skomponowanych przez Profesora mnie najgłębiej przypadły do serca cztery: *Z banderą Krzyża na masztach...* (nagrodzona w konkursie misyjnym), *Zmartwychwstał Pan...*, z kolęd *Kołysanka kolędowa* oraz *Improperia*, śpiewane przez nas w Wielki Piątek. Gdy byliśmy z pielgrzymką w Rzymie na spotkaniu z Ojcem Świętym, ten ostatni utwór został przez Papieża specjalnie podkreślony.

Na zakończenie wspomnę, że kiedy zaprosił nas do siebie, do swego skromnego mieszkania na Wawelu, zobaczyłem tam na ścianach wiele obrazów namalowanych przez Profesora. Podejrzewam, że było to Jego ciche hobby.

16 III 2002

Z wymienionej pracy magisterskiej R. Czaj wypisujemy fragmenty kilku ustępów o Prof. Michale Woźnym.

W kościele św. Elżbiety, szczególnie bliskim sercu lwowiaków, Michał Woźny pełnił obowiązki organisty oraz kierownika i dyrygenta stuosobowego chóru. Był to bodziec do komponowania szeregu pieśni dla tego właśnie zespołu. Udało mu się stworzyć coś w rodzaju centrum muzyki kościelnej, nie tylko dla tej robotniczo-kolejarskiej dzielnicy, ale i dla słuchaczy z pobliskich i dalszych parafii. Sam stał się jedną ze znaczących postaci lwowskiego życia muzycznego. Świadectwem tego są recitale organowe w kościele św. Elżbiety, w czasie których M. Woźny wykonywał kompozycje znanych kompozytorów, a które były transmitowane przez Radio Lwów. Dawał też recitale w kościele ewangelickim.

Michał Woźny, będąc chórmistrzem w parafii lwowskiego kościoła i w Katedrze Wawelskiej, napisał dla potrzeb swoich zespołów wiele utworów wokalnych z towarzyszeniem organów. Niektóre z nich zostały opublikowane przez G. Seyfartha we Lwowie i PWM w Krakowie.

Twórczość M. Woźnego była dość specyficzna, a złożyło się na to kilka przyczyn. Swoją pierwszą funkcję organisty pełnił w lwowskiej parafii robotników-kolejarzy. Niski poziom wykształcenia muzycznego parafian kościoła św. Elżbiety determinował poziom muzyki w kościele, dlatego większość kompozycji wokalnych napisanych w tym

czasie dostosowanych było do stopnia ich percepcji. Nie obniżało to jednak wartości muzycznych tych utworów, ale siłą faktu stały się one czymś w rodzaju pieśni *masowych*. To z kolei wyraźnie zaważyło na niskiej ocenie twórczości M. Woźnego przez fachowców.

Styl ten, do którego zmuszała kompozytora dana sytuacja, zaciążył niewątpliwie na charakterze pozostałych jego kompozycji, noszących cechy stylu hymnowego. Przykładem może być pieśń *Z banderą Krzyża na masztach*. Hymn ten mógłby konkurować z pieśnią *My chcemy Boga* lub *Warszawianką*.

Organista kościoła św. Elżbiety nie rezygnował z bardziej ambitnych ekspozycji muzyki poważnej, co odzwierciedlało się w wykonaniu klasyki organowej, we wspaniałych improwizacjach, w których dawał upust swojemu talentowi, czy w pracy z chórem, w której starał się podać słuchaczom wielkie dzieła literatury muzycznej, polskiej i zagranicznej. Nadmienić należy, że Woźny w swej pracy musiał się liczyć z możliwościami chóru, który niemal w całości składał się z amatorów, dla których nuty partii poszczególnych głosów służyły tylko do odczytywania tekstu i kierunku linii melodycznych.

Wielkim atutem twórczości i gry M. Woźnego było znakomite harmonizowanie pieśni. W okresie gdy kompozytor pracował w kościele św. Elżbiety i na Wawelu, wielu organistów do harmonizacji pieśni śpiewanych przez lud używało jedynie trzech podstawowe funkcji T.S.D. Natomiast Woźny nie tylko ubarwiał swoją harmonizację funkcjami pobocznymi, jak dominanty nawiasowe, ale i świetnie używanymi opóźnieniami czy antycypacjami.

Michał Woźny posiadał wielki dar prowadzenia śpiewów kościelnych. W zależności od potrzeb potrafił swym akompaniamentem zwiększyć lub zmniejszyć tempo śpiewania pieśni.

Wszystkie te cechy Michał Woźny zachował do końca życia. Pozwoliły mu one być dobrym organistą, jak również wspaniałym kompozytorem dla zwykłych, prostych ludzi.

Michał Woźny był artystą obdarowanym niezwykłym talentem wirtuozowskim, improwizatorskim i kompozytorskim. Wybitne zalety tej postaci stawiały ją na czele organistów lwowskich i krakowskich. Posiadał niezwykłą łatwość techniczną w grze, a także wiedzę dotyczącą konstrukcji organów. Instrument kościoła św. Elżbiety poznał doskonale. W grze starał się ukazać jego zalety, a zatuszować wady.

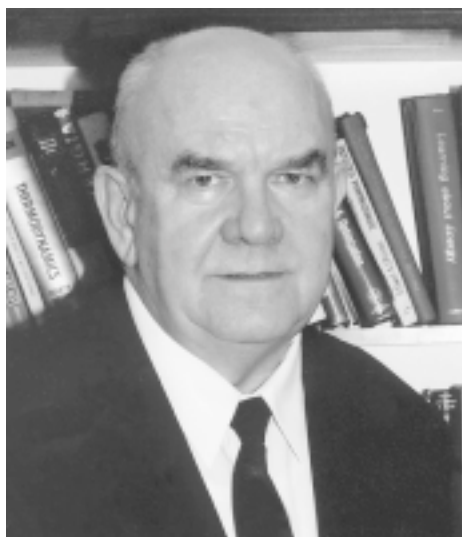
(ciąg dalszy na str. 24)

Z Prezesem Oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Krakowie

ZYGMUNTEM KOLENDĄ

rozmawia

Janusz M. Paluch



Panie profesorze, jest Pan inicjatorem akcji charytatywnej na rzecz Polaków we Lwowie i okolicy na niespotykaną dotychczas skalę. Tego, co Pan dokonał, próbowało wiele osób i instytucji, nikomu jednak się nie powiodło. Skąd pomysł i jak Pan to zrobił?

To była zupełnie przypadkowa sytuacja. Przed kilku laty uczestniczyłem w Festiwalu Kultury Polskiej we Lwowie. Tuż przed wyjazdem na parking przy autobusie usłyszałem rozmowę. Starszy pan opowiadał aktorom Teatru Śląskiego z Katowic o bardzo ciężkich warunkach życia Polaków, szczególnie dotkliwych dla starych, samotnych i obłożnie chorych ludzi, którzy leżą w domu w koszmarnych warunkach, zdani właściwie na łaskę i niełaskę sąsiadów. Po

powrocie do Krakowa zwróciłem się do Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej o bliższe informacje na temat warunków życia Polaków we Lwowie. W odpowiedzi przysłano mi ankiety na temat Polaków, ale prawdę mówiąc, niewiele z nich wynikało. Wiedzieliśmy przecież, że trudno jest tam żyć za 10 dolarów miesięcznie, bo tak w przeliczeniu wyglądała renta czy emerytura. Postanowiłem te informacje osobiście sprawdzić. W kilka osób pojechaliśmy do Lwowa i według tych ankiet zaczęliśmy ludzi odwiedzać. Dopiero wtedy przekonałem się, że to, co nam opowiadano, to jest nic w porównaniu z rzeczywistością! To, co zobaczyliśmy, przekroczyło wszelkie wyobrażenia! Jak ci ludzie żyją w zimie bez ogrzewania, bez elektryczności, często bez wody, nierzadko jedząc zaledwie kawałki chleba gotowanego na wodzie... Potworność! I wtedy zaczęła się ta akcja. Do Lwowa pojechała ekipa krakowskiej telewizji, która nakręciła film pokazywany później na antenie telewizji publicznej, i lawinowo zaczęły napływać pieniądze z całej Polski. Spontaniczność i hojność ludzi też przekroczyła nasze wyobrażenie!

Ogromowi pracy wykonywanej przez zespół charytatywny pod Pana kierownictwem, nie podobały często etatowy aparat osób zatrudnionych w różnych fundacjach. Jak to się Panu udało?

Do tej pory nie mogę uwierzyć, że coś takiego mogło się udać. W naszym przypadku można dostrzec olbrzymią siłę, jaką tkwi w wolontariacie. Wolontariusze mają jedną ważną cechę. Kiedy się angażują, to rzeczywiście całym sercem i z przekonania. Ja myślę, że w każdym z nas gdzieś tam głęboko tkwi świadomość, że należy bezinteresownie pomagać ludziom. Zdaję sobie też sprawę, że nie każdego byłoby stać na to, by tak bez reszty oddać się tej pracy, którą w naszym zespole charytatywnym wykonuje jakieś dziesięć osób. A praca jest nieprawdopodobnie angażująca, bo trzeba opracowywać cały czas ankiety, przygotowywać wyjazdy i w końcu jechać, często w trudnych warunkach, i to nie tylko pogodowych. Przyjęliśmy też zasadę, że osobiście odwiedzamy ludzi, którym pomagamy. Przychodzimy do ich domów. To daje nam obraz i utwierdza o konieczności pomagania, a tym

ludziom z kolei daje przeświadczenie, że ktoś o nich myśli i troszczy się. Tego nie mają w zwyczaju fundacje czy inne instytucje niosące pomoc. Poza tym nas od innych fundacji różni to, że my w całości przekazujemy pozyskane pieniądze. Wszelkie koszty, na razie, jesteśmy w stanie pokrywać z funduszy Oddziału Krakowskiego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Są to zresztą wydatki minimalne. Tak więc śmiało mogę stwierdzić, że sprawność naszego działania jest stuprocentowa! W przypadku różnych fundacji jest to nieosiągalne, bo one – tak przynajmniej podają media – na pokrycie s w o i c h kosztów zużywają do 80% pozyskiwanych środków. W takich przypadkach jakkolwiek ich działalność mija się z celem. Nasza skuteczność wiąże się także z faktem, że w działalność naszej grupy charytatywnej zaangażowali się ludzie emocjonalnie związani ze Lwowem i Kresami. Ludzie doskonale znający i czujący tamten teren.

Oni mają już pewne doświadczenie w organizowaniu pomocy, oczywiście w innej skali. Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich od dawna stara się pomagać Polakom na Kresach.

Oczywiście korzystamy z doświadczenia tych ludzi. Bez ich pomocy nie wyobrażam sobie pracy naszej grupy.

Czy może powiedzieć Pan o jakiej ilości wpłat mówimy?

To też jest charakterystyczne, bo przychodzą do nas ludzie starsi, w podeszłym wieku, i wpłacają często po 10 czy 20 złotych. Ta ofiarność jest niesamowita! Liczba darczyńców przekroczyła już 5000 przez okres ponad trzech lat naszej działalności. Nasza gospodarka finansowa prowadzona jest bardzo profesjonalnie. Jesteśmy skrupulatnie i precyzyjnie rozliczani przez wydział finansowy naszego oddziału. Dla mnie jednak najważniejszy jest fakt, iż udaje się nam zachować ciągłość niesionej pomocy, pomimo że wpłaty na pomoc nie są jednorodnie wnoszone. Utrzymaliśmy stały kapitał bankowy, z którego na pomoc przeznaczamy obecnie odsetki i wpływy bieżące. Łatwo byłoby wszystkie te zebrane pieniądze w krótkim czasie rozdać i cała akcja pewnie by się skończyła. Dzięki tej racjonal-

nej gospodarce już przez trzy lata wspomagamy prawie 700 najbardziej potrzebujących osób. Otrzymują pomoc w wysokości ich emerytury. Odwiedzamy ich co kwartał. 250 osób wspomagamy we Lwowie, a na Kresach, w różnych małych miejscowościach, 450 osób. To jest nieprawdopodobne – kilka osób z komisji charytatywnej potrafi obsłużyć 700 osób!

Opowiada Pan o wolontariuszach w Krakowie. Z tego, co wiem, dzięki działalności tej grupy ukształtowała się również grupa wolontariacka we Lwowie i innych miastach objętych przez was opieką.

Z wolontariatem na Kresach jest znacznie gorzej. W Polsce nie poddaliśmy się sowietyzacji. W polskim społeczeństwie bezinteresowna działalność na rzecz drugiego człowieka – czyli wolontariat – zakorzeniona jest przede wszystkim przez Kościół. W każdej parafii taka pomoc była i jest udzielana. U nas wolontariat jest więc czymś zupełnie naturalnym. Na Ukrainie sowietyzacja poszła tak głęboko w każdej dziedzinie, że o czystym wolontariacie trudno tam mówić. Między innymi celem naszego działania jest właśnie wzbudzenie w tych ludziach umiejętności postrzegania słabszych i poczucia potrzeby niesienia bezinteresownej pomocy. Rzeczywiście, po części już się nam to udało. W naszej pracy znajdujemy bowiem oparcie w grupie osób, pozostającej w stałym kontakcie z ludźmi, którym nie siemy pomoc. Poza tym utrzymujemy kontakty z parafią św. Antoniego we Lwowie, gdzie pracują oo. Franciszkanie z Krakowa. Tam, przy klasztorze, pewne formy wolontariatu też przez lata pracy duszpasterskiej się wykształciły. Przekazujemy tam przede wszystkim dary w postaci lekarstw...

Dzięki inicjatywie Pana Profesora powstała przy tej parafii, być może pierwsza na Kresach, polska apteka darów.

Ale to zasługa głównie ojca Lizuna, który podchwycił pomysł i go zrealizował. W ostatnim czasie przekazywanie leków stało się kłopotliwe. Jechaliśmy kiedyś z transportem leków i ukraińskie służby graniczne nas nie przepuściły. W takiej sytuacji często wolimy zapłacić za lekarstwa na miejscu. Dla nas jest to łatwiejsze i tańsze. I bez kłopotów na granicy.

Budynek katechetyczny przy kościele św. Antoniego we Lwowie – dziś już ukończony, w którym mieści się apteka darów. Na zdjęciu, od prawej: o. Władysław Lizun, prof. Z. Kolenka, o. Krzysztof Kozioł, p. Alicja Sarabacha (opiekunka podopiecznych), A. Chłupalski



Wasza pomoc skierowana jest do ludzi starszych. Mieszka jednak na Kresach cała rzesza Polaków, ludzi młodych, którzy pozostają bez pracy. Oni też potrzebują pomocy. Czy istnieje jakiś program, którego celem byłoby wzmaganie aktywności produkcyjnej tych ludzi, wzmaganie ich przedsiębiorczości? Każda pomoc, tym bardziej stała, działa w sposób demobilizujący.

Nie jesteśmy zaangażowani w takie programy jako Oddział Krakowski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. W sposób świadomy adresujemy naszą pomoc do ludzi schorowanych i w podeszłym wieku. Warunki udzielenia pomocy jest ukończony 70 rok życia. Są to ludzie, którzy nie dają sobie już rady. Przecież nikt w tym wieku nie znajdzie sobie pracy. Mieliśmy pod opieką staruszkę w wieku 95 lat! Oczywiście nie jestem zwolennikiem dawania pieniędzy ludziom, którzy są w stanie je zarobić. Czasy nie są najlepsze, ale zawsze taki człowiek ma większe szanse niż ten schorowany i wypracowany. W najbliższym czasie ma się rozpocząć akcja pomocy rolnikom na Ukrainie poprzez zachęcanie ich do przyjmowania – a nawet kupowania – w trakcie reprivatyzacji ziemi. U nas jest to nie do pojęcia, ale tam ludzie nie chcą ziemi, którą mogą otrzymać za darmo. Są przyzwyczajeni do kolchozu i sami chyba nie wierzą, że będą potrafili na tej ziemi gospodarować. Następny etap to będą kursy rolnicze oraz pomoc w zakupie maszyn rolniczych. Podobna akcja była organizowana na Litwie, ale jak pan wie, nie można tu stosować żadnych analogii.

Jakie zatem priorytety stawia przed sobą Oddział Krakowski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, którego jest Pan prezesem?

Jeśli pozwolą nam fundusze, bez wątpienia chcielibyśmy włączyć się w działania wzmagające przedsiębiorczość wśród Polaków na Ukrainie. Jednak nasze priorytetowe działania wynikają z tego, że jesteśmy w Krakowie, mieście uniwersyteckim. Zatem nasze główne propozycje to letnie szkoły językowe i kultury polskiej. Organizujemy też specjalne kursy dla Polaków z Kazachstanu, którzy kiedyś będą repatriować się do Ojczyzny.

Niedawno odwiedził Pan Polskę w Kanadzie, gdzie kwestował Pan na rzecz Polaków we Lwowie. Wiemy, że są to ludzie od nas zamożniejsi i w biedzie można na nich liczyć. Proszę jednak powiedzieć, czego oni – tam za Oceanem – oczekują od swojej Ojczyzny?

Nie są to wygórowane oczekiwania. To są ludzie, którzy z reguły mają ustabilizowane życie. Nie cierpią biedy. Warunki życia w większości mają bardzo dobre. Mają pracę, nie nęka ich bezrobocie. To jest zupełnie inny świat! Oni łakną kultury polskiej. Do kraju – ze względu na odległości i koszty – przyjeżdżają najwyżej raz w roku. Oczekują zatem na wizyty teatrów, chórów, zespołów muzycznych czy kabaretów. Dla nich spotkanie z kulturą polską to święto! Są natomiast bardzo zaangażowani w pomoc Polakom w kraju. Przeprowadziłem tam cały szereg rozmów, uświadamiając tamtejszym działaczom polonijnym, że coraz bardziej poszerza się konieczność niesienia pomocy Polakom w Kazachstanie, na Ukrainie, Białorusi, Litwie – generalnie mówiąc na obszarze państw powstałych na bazie dawnego Związku Radzieckiego, ale i w Polsce, gdzie po repatriacji osiadają. W wyniku tych rozmów może dojść do tego, że pomoc płynąca ze świata zachodniego zostanie skoordynowana, a to dlatego, że dotąd dociera w nierównomierny sposób. Mówiliśmy już o tym w maju 2001 roku na Światowym Zjeździe Polaków w Warszawie. Spotykamy się z takimi przypadkami, że dana osoba otrzymuje pomoc z kilku źródeł, a ktoś inny, mniej zaradny, mniej przebojowy, nie dostaje żadnej pomocy.

I choć każda organizacja bronić się będzie przed jakąkolwiek ingerencją z zewnątrz, to jednak dochodzi się do wniosku, że trzeba to wszystko skoordynować. Wniosek z mojej wizyty w Kanadzie jest taki, że Polacy na Ukrainie mogą liczyć na rodaków zza Oceanu.

Polacy żyjący poza Ojczyzną są odmiennie traktowani przez prawodawstwo III Rzeczypospolitej. Weźmy przykładowo dwóch Janów. Jeden mieszka w Irkucku, drugi w Chicago. Jednego wojna rzuciła za Ocean, drugiego Stalin na „białe niedźwiedzie”. Obaj są Polakami i pragną otrzymać polski paszport. Ten z Chicago załatwi to w kilka tygodni. Jan z Irkucka... być może w ciągu kilku lat – jakąś iluzoryczną Kartę Polaka, choć niekoniecznie. Nasze państwo waży polskość tych Janów zawartością portfela. Czy to jest sprawiedliwe?

Muszę się panu przyznać, że ja całej tej koncepcji nie rozumiem. Rzeczywiście jest tak, jak pan mówi. Ten Polak i ten Polak, i na miły Bóg, jak nie wiadomo, o co chodzi, to wiadomo, że o pieniądze! Ten z Kazachstanu czy Ukrainy z czym przyjedzie? Zazwyczaj jest bez grosza... Natomiast ten zza Oceanu – czy przyjedzie, czy nie przyjedzie, to nas mniej interesuje, paszport dostanie. On niczego w zasadzie od Polski nie żąda. Jestem przekonany, że w chwili obecnej Karta Polaka dla rodaków – żyjących w Kazachstanie i innych regionach dawnego ZSRR – byłaby niesamowitą szansą i pomocą. Ale na jej realizację zaangażować trzeba bardzo duże finanse publiczne w budżecie państwa. Zgodnie z projektem Karty Polaka ten, kto z nią do Polski przyjedzie, ma zapewnione takie same prawa jak obywatel polski, czyli bezpłatną opiekę zdrowotną, prawo do bezpłatnego szkolnictwa – również wyższego, prawo do pracy. Krótko mówiąc – sprawa nie została załatwiona do tej pory, bo nie ma na to pieniędzy. Tak się usprawiedliwiają decydenci. Ale z drugiej strony... Po 1956 roku przyjechało do Polski ponad 250 tys. Polaków, a przecież nie byliśmy wówczas bogatszym państwem. W ostatnich latach w ramach repatriacji wróciło do kraju zaledwie 3 tys. Polaków. Liczby nieporównywalne, a my dmuchamy na zimne!

To są obawy na wyrost. Niewiele ponad 10 lat temu nam również obawiano się dać paszporty na własność, bo jak mawiano, ostatni miał gasić światło... Paszporty mamy, chętnych do gaszenia światła brak, ulice się nie wyludniły. Jeśli ktoś będzie chciał do nas przyjechać, to czy to Polak, czy innej nacji, przyjedzie, znajdzie zatrudnienie „na czarno”, pomału zalegalizuje pobyt i ściągnie rodzinę. Znam przynajmniej kilka takich przypadków Rosjan, Ukraińców... Odnoszę wrażenie, że w naszym państwie nie ma woli do tego, by ten problem załatwić.

Ja byłem w Kazachstanie. Rozmawiałem z naszymi rodakami w ich domach. Z tych rozmów wcale nie wynikało, że nastąpi jakiś exodus, że Polska się zawali, bo nagle zjadą dziesiątki tysięcy Polaków z Kazachstanu. Nie, takiej sytuacji nie ma i raczej nie będzie. Tam jest wiele rodzin z polskimi korzeniami, to już trzecie pokolenie! Oni by chętnie wystali dzieci do Polski np. na studia. Nie wierzę w to, by masowo rzucali domostwa, dorobek życia, i przyjeżdżali do Polski. Z naszej strony jest to kolejny błąd w rozumowaniu i rzeczywiście brak dobrej woli. No a jakby przyjechało jeszcze 10 tysięcy ludzi, to co? Polska się zawali? Nie przesadzajmy! W Kazachstanie są dwie sprawy, które można załatwić i po części bardzo dobrze rozładować cały nabrzmiały problem. Rozmawiałem o tym podczas spo-



Jedna z podopiecznych we Lwowie

tkania z premierem Buzkiem. Pierwsza sprawa wynikała podczas oficjalnej wizyty sejmowo-senackiej, w której uczestniczyłem. Z rozmów wynikało, że w Kazachstanie żyje jeszcze 600–700 Polaków, którzy sami zostali wysiedleni z Ukrainy do Kazachstanu przez Stalina w 1936 roku. Wówczas powstała myśl: dajmy im specjalne emerytury rzędu 25 dolarów miesięcznie. To nie są duże pieniądze. Gdy powiedziałem o tym premierowi, zareagował żywiłowo, mówiąc, że pomysł mu się podoba. Od spotkania minęły dwa lata. Jak się pan domyśla, efektu żadnego. Druga sprawa, o jakiej mówiłem, to stypendia dla młodych ludzi polskiego pochodzenia, którzy chcą podjąć studia, ale tam, w Kazachstanie. Byłaby to kwestia 20–30 dolarów miesięcznie. W Polsce angażujemy kwoty o wiele większe. Ci ludzie do Polski mogliby przyjeżdżać na drugi etap specjalistycznych studiów doktoranckich. Pozwoliłoby to na rozszerzenie pomocy i znaczne jej zintensyfikowanie. Jest to też kapitalny sposób na repatriację. Do Polski przyjeżdża już wyedukowany młody człowiek, który świadomie podejmuje decyzję

o tym, gdzie będzie żył i pracował. Jeśli będzie chciał osiąść w Polsce, sam sprowadzi rodzinę. Nie będą potrzebne wtedy środki publiczne tego rządu co dzisiaj. Na razie pozostało to również tylko w sferze pomysłów. Z przykrością muszę stwierdzić, że żaden rząd III Rzeczypospolitej nie zabrał się za ten piekący problem konstruktywnie. Wygląda to tak, jakby nikt w jego rozwiązaniu nie był zainteresowany. Oglądam te sprawy z bliska i bardzo się denerwuję, bo sam nic nie mogę zrobić, a przy dobrej woli urzędników byłyby to problemy do rozwiązania. Mieliśmy na to ponad 10 lat. Mierzą mnie te polityczne, urzędnicze przepychanki. Macham na to jednak ręką i zacieram się każdego dnia do pracy.

Serdecznie dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.

Od Redakcji: o r o b o c z e j realizacji akcji charytatywnej krakowskiej „Wspólnoty Polskiej” i udziale w niej członków TMLiKPW w Krakowie pisała w CL 4/01 dr Romana Machowska.

MUZYK UTALENTOWANY

(dokończenie ze str. 19)

Od 1932 r. Polskie Radio – Rozgłośnia Lwowska rozpoczęła nadawanie Cyklu Koncertów Organowych z kościoła św. Elżbiety. Recitale te były urozmaicone występami chóru parafialnego pod jego kierownictwem. Udokumentowane są daty ośmiu koncertów z lat 1932–37. Oprócz transmitowanych koncertów M. Woźny organizował i uczestniczył w wielu uroczystościach parafialnych, w tym: wieczory kolęd i pastorałek, gdzie wspaniale improwizował na ich temat, uroczystość z okazji złotych godów kapłańskich ks. Adolfa Sigmunda, proboszcza parafii św. Elżbiety, rocznice Obrony Lwowa 1918 r., akademie ku czci G.G. Gorczyckiego itd.

Michał Woźny podczas swego 20-letniego pobytu we Lwowie założył i prowadził przy kościele św. Elżbiety duży 100-osobowy chór mieszany, składający się głównie z amatorów. Naład pracy, jaki musiał włożyć w podniesienie poziomu zespołu, był ogromny, lecz w niedługim czasie chór swym warsztatem wykonawczym

mógł konkurować z renomowanym chórem lwowskiej Katedry łacińskiej „Lutnia”. W 1944 r. po wyjeździe Michała Woźnego do Krakowa chór kościoła św. Elżbiety zawiesił swoją działalność. Swoją nową zespół – Chór Rorantystów powołał w Krakowie przy Katedrze Wawelskiej. Prowadził go przez dalsze kilkadziesiąt lat.

TADEUSZ MACHL, ur. 1922 we Lwowie. Profesor, kompozytor. Naukę muzyki rozpoczął we Lwowie w 10 roku życia w szkole muzycznej Saby Kasperek, a w czasie II wojny uczył się do średniej szkoły muzycznej. Studia po II wojnie w Państw. Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie. Od 1952 pracownik naukowy Akademii Muzycznej w Krakowie. Jego twórczość obejmuje muzykę instrumentalną i wokalną, a także ilustracje muzyczne dla teatru i filmu. Obecnie na emeryturze.

JAN POCIEJ, ur. 1916 w Opatowcu n. Wisłą. Dr hab., docent Akademii Rolniczej w Krakowie. Prócz studiów i pracy naukowo-badawczej od najmłodszych lat śpiewał w chórach amatorskich. Od 1946 do dziś jest członkiem Chóru Rorantystów Katedry Wawelskiej w grupie barytonów.

WIERSZE

ks. Paweł Heintsch



Rodzinnemu miastu

O, moja szalona tęsknoto!
Złotymi falami przybywaj.
Jam burzy twej żar przyjąć gotów,
śpiew wspomnień nam będzie przygrywał.

O, słowa serdeczne i proste!
O, moje kasztany rodzinne!
Swym szumem utulcie mnie do snu,
swym szumem pogodnym i płynnym.

Dalekie Twoje ulice
ukaż mi, Miasto najświętsze.
Pod Twoim najczulszym z księżyców
niech w wieże mistyczne się spiętrzę.

Niech moje wzniesione ramiona
w obłoki białe się przedrą
i niechaj światu zabłysną,
jak złote krzyże katedrom.

Przez gwarną Akademicką,
przez cichszą Zyblikiewicza,
pójdę do Parku Stryjskiego
i będę ze szczęścia krzyczał.

Wesołe lwy pod ratuszem
będę całować w pyski
i w żarze najśodszych wzruszeń
jak braciom będę im bliski.

Drogi moje są długie;
długie, kamiennie i mroczne.
Marzenia owiały mi głowę,
bezbronnie i niewidoczne.

* * *

kanoldy chałwa Kawuras
marony precle alaski
owinięte w Ferdka i Merdka
kastany z Wysokiego Zamku
na manewry
kamienie z Cytadeli na wojnę
film kowbojski przy Pasażu Mikolascha
w kinie Uciecha
w Stryjskim Parku bratki ciemnogrnatowe
i zielone fordy u wylotu Mikołaja
przy Zyblikiewicza
u Lewickiego po drodze do katedry
figuryнки misterne z brązu
barwnie malowane
ale kilimy w domu ładniejsze
niż te na wystawie
na Paryżu ciastka po dziesięć groszy
lepsze niż po dwadzieścia pięć u Zaleskiego
na korso wzdłuż Akademickiej
przyjaciele i wrogowie
nie można dać się potraćić
lepsza już granda i podbite oko
jedyneką z Łyczakowa na dworzec
przez aleję Focha łatwiej jest odejść
ale trudniej wrócić
trzeba było kilka kostek brukowych
z Mariackiego Placu
do rozbijania granic
i majcher gródeckiego baciara
do rozcinania fałszywych traktatów
zabrać ze sobą

Tylko dla lwowiaków

PAWEŁ HEINTSCH, ur. 1924 we Lwowie. Ksiądz, poeta. W latach okupacji podchorąży w ZWZ-AK. Po wojnie studia medyczne w Gdańsku i filologii polskiej na KUL. Od 1950 w Seminarium Duchownym w Warszawie, święcenia kapłańskie 1955. Pracował jako wikariusz, a od 1971 jako proboszcz kolejno na 12 placówkach archidiecezji warszawskiej. Obecnie na emeryturze. Jako poeta debiutował 1938 na łamach IKC. Między 1959–99 opublikował tomiki poetyckie: *Niepowrotne godziny*, *Gruzy Panteonu*, *Dwustronne widzenie*, *Na tropie Jonasza*, *Szukanie nieba*, *Wszystkim samotnym*, *Światła więcej*, *Skansen ptaków*, *Złowione Atlantydy*, *Rodzinnemu miastu*, *Sto wierszy*.

Anna Mączyńska-Bezrąkowa

WSPOMNIENIA Z KAZACHSTANU

Mojej córce, by wiedziała i pamiętała.

KIZIAK

Lato jest okresem przygotowania opału, czyli *kiziaku*.

Cały gnój bydlęcy razem ze skapą podściółką, zebrany w ciągu zimy, rozprowadza się na klepisku około trzydziestocentymetrową warstwą. Taki *placek* obficie polewa się wodą i miesi kopytami końskimi, aż do uzyskania jednolitej masy. Potem masę tę wtlacza się w formy, podobne do form na cegły, tylko cztery razy większe, po czym wyrzuca się je z tych form na ziemię, gdzie schną aż do stwardnienia. Następnie układa się je w przewiewne piramidy do dalszego suszenia. Do zimy *kiziak* jest suchy, gotów do spalania.

Najlepszym, najbardziej kalorycznym gatunkiem jest *kiziak barani*.

Na wiosnę, gdy owce wypędza się już na trawę, kroi się łopatomy gnój, udeptywany przez całą zimę przez owce w stajni, na kostki około 40×40 cm i grubości 15 do 20 cm. Kostki te o kolorze tytoniu i konsystencji twardego francuskiego ciasta schną przez całe lato w przewiewnie układanych piramidach.

Zarówno jeden jak i drugi *kiziak* można było otrzymać w kolchozie jako zapłatę za pracę na tzw. *trudodni* (jednostki rozliczeniowe przy wycenie zarobków). Oczywiście *kiziak barani* otrzymywali pracownicy należący do kierownictwa kolchozu i osoby wyżej postawione na drabinie społecznej. Niezależnie od *kiziaku kolchozowego*, kolchoźnicy, którym wolno było utrzymywać po jednej własnej krowie, robili – każdy na swoim podwórku – *kiziak* z łajna swojej krowy, mieszając go własnymi nogami.

Staszek Suchodolski, mąż Hani Jaruzelskiej, jechał pewnej zimy saniami z zaprzyjaźnionym Kazachem. Rozmowa zesłała na paczki przysyłane do Kazachstanu przez rodziny deportowanych.

Kazach: – *Wy ciągle dostajecie paczki, a dlaczego wy niczego im nie wyślecie?*

Staszek Suchodolski: – *A cóż ja mogę stąd wysłać?*

Kazach po chwili namysłu: – *Wyślij im kawałek kiziaku.*

Rozmowa taka rzeczywiście miała miejsce. Niestety Staszek już nie żyje, ale może to poświadczyć jego żona mieszkająca w Sopocie.

BURAN

Specjalnością klimatyczną tego regionu są zimowe burany, stanowiące odpowiednik naszego wiatru halnego.

Zaczynało się to zwykle wieczorem naszym ociepleniem do około minus 10 stopni (temperatura zimowa wahała się od –20 do –40 stopni). Z początku wiatr podrzucał jedynie śnieg z ziemi, po której zaczynały sunać chmurki śniegowe z coraz większą prędkością. Potem śnieg zaczął krażyć coraz wyżej, coraz prędzej, z coraz większą siłą. W połączeniu ze śniegiem padającym z góry stwarzało to jakąś dezorientującą potęgę.

Kto się znalazł w polu w czasie buranu, prawdopodobnie do domu nigdy już nie wrócił. Któregoś wieczoru moja siostra poszła po mleko do kolchozowej stajni, znajdującej się na końcu zabudowań, o jakieś 200 m od naszej *kwartiry*, czyli mieszkania. W czasie gdy czekała na udój, buran rozhułał się na dobre. Idąc po omacku, na szczęście w kierunku wioski, a nie stepu, z wyciągniętymi przed siebie rękami, natrafiła na ścianę jakiegoś domu. Nie odrywając rąk od ściany, obeszła chatę dookoła, a natrafiwszy na drzwi, zaczęła mocno walić, aby wycie buranu nie zagłuszyło jej stukania. Otworzono jej szparkę, bojąc się, by śnieg nie zasypał wnętrza chaty. Przepchnęła się do środka, a gospodarze widząc ją w stanie takiego przerażenia, pozwolili jej przenocować. My tymczasem z moją matką (a może i ojciec jeszcze żył) spędziłyśmy noc na modlitwie, sądząc, że Maruszka wyszedłszy ze stajni zgubiła drogę i zamarzła w stepie. Wczesnym rankiem gdy buran trochę przycichł, Maruszka zjawiła się i opowiedziała nam o swoich przeżyciach.

Buran to straszna siła, której boją się wszyscy. Doświadczony chłop, którego buran zastał z koniem i saniami w połowie drogi między fermą owczą a wioską, wołał drepnąć w miejscu, odmrażając ręce i nogi, niż jechać na oślep, narażając się na pewną śmierć, mimo że do domu miał tylko parę kilometrów.

Buran to oślepiająca wata śnieżna, która okręca się wokół człowieka, uderza ze wszystkich kierunków i pcha we wszystkich kierunkach.

Buran trwa przeważnie od wieczora do rana, ale bywają też i trzydniowe burany. Wtedy całe życie zamiera, ludzie nie wychodzą z domów nawet do karmienia bydła. Po buranie cała wioska przedstawia

O ile w kolchozie Czkałowa byli wyłącznie Rosjanie karnie przesiedleni do Kazachstanu, tylko za to, że byli „kułakami”, to w „Razcwicie” było towarzystwo mieszane: *griaznyje chachły*, czyli brudni Ukraińcy, jak ich nazywali *czkałowcy*, oraz Kazachowie.

Po długich domowych naradach przeniósł się więc do „Razcwitu”. Natomiast moja siostra zaczęła pracować w wielobranżowym zakładzie o nazwie „Artiel Nowyj Byt”. Podjęła się tam wyrobu lalek i innych zabawek z kawałków skóry, które stanowiły odpady z zakładu szewskiego. Do dziś mam skórzaną rybkę, która służy mi jako poduszeczka do szpilek. W tym *artielu* oraz w tzw. „Promkombinacie” wiele Polek było zatrudnionych przy wyrobie na



Obrazek z Kazachstanu. Rys. Anna Suchodolska

białą, pofalowaną równinę, z której sterczą tylko kominy. Wszystkie drzwi wejściowe otwierają się do wewnątrz, gdyż inaczej mieszkańcy byliby na całą zimę zamurowani. Po ustaniu buranu kopie się w śniegu tunele i schodki, by móc wyjść. Tunele te i schodki trwają aż do wiosny.

KOŁCHOZ „RAZCWIT”

Tak się jakoś dziwnie złożyło, że prawie wszyscy Polacy pracowali w kolchozie „Razcwit”, co po polsku oznacza rozkwit, a nie – jakby się mogło wydawać – jutrzenkę poranną. Namawiano mnie więc, żeby się przenieść z kolchozu im. Czkałowa do „Razcwitu”, gdzie nastał nowy przewodniczący, o nazwisku Jaw-siejew, rzekomo życzliwy Polakom.

drutach ażurowych chust z koziej wełny, a także przy wyrobie swetrów, skarpet i rękawic (też na drutach) dla *Krasnej Armii*. Z nazwisk pamiętam Jankę Pagacz, która potrafiła wyrabiać misterne ażury, czytając równocześnie książkę. Była tam też Stasia Podłowska, siostrzenica p. Hegedúsa, właściciela dużego sklepu z wyrobami regionalnymi przy ul. Kopernika we Lwowie (żona Stanisława Podłowskiego, który nie pamiętam gdzie był zatrudniony). Także pracowała tam Wanda Wilkówna, która jako jedna z pierwszych wstąpiła do armii gen. Andersa i do Polski wróciła *via* Londyn, a obecnie mieszka we Wrocławiu i przechowuje w swoim archiwum wiele akwarelek z okresu pobytu w Georgijewce. Pracowała

tam też Elżunia Kryzar (po mężu Niedźwiecka), która również mieszka we Wrocławiu, a także Janka Kluger, Ala Jermałowicz, Lusja Dubińska (obecnie Rybkowa) i pani Pistłowa.

W „Razwiciu” wszystkie prace polowe były daleko, na tzw. *toczce* (w dosłownym tłumaczeniu punkt) o około 20 km od Gieorgijewki. Była tam długa szopa, w której pokotem spało się na słomie w dowolnym sąsiedztwie, najczęściej płci mieszanej. Pobudka była jeszcze po ciemku i – po wypiciu gotowanej wody z kawałkiem chleba – każdy nakładał jarzmo na swoje woły, po czym szliśmy w pole, gdzie pługi czekały w miejscu, w którym poprzedniego dnia zakończono orkę. Pracę zaczynało się o świcie, a kończyło o pełnym mroku. Wskutek tak małej ilości snu i niskokalorycznego pożywienia, bez przerwy chciało mi się spać. Wkrótce doszłam do takiej wprawy, że spałam z otwartymi oczami, chodząc za pługiem. Było to coś w rodzaju pełnego wyłączenia mózgu. Dopiero wobec konieczności jakiegoś działania wracałam do stanu, który by można nazwać „na jawie”.

Menu było takie samo jak w „Czkałowie”: rano *kipiatok*, na obiad *szczy* (kapuśniak) zagęszczony kaszą jaglaną, w którym gotowało się mięso, przeważnie solone. Mięso to po ugotowaniu dzielono na porcje i dawano każdemu do miski. Największym przysmakiem była zupa grochowa, a także *łapsza* (kluski) na mleku. Na kolację był znów *kipiatok*, oczywiście gotowany w tym samym kotle co zupa. Któregoś wieczoru, późną jesienią, pieczono na *toczce* chleb dla robotników i na ciepło ważono. I ja dostałam swoją porcję: 80 deka świeżutkiego, a tym samym o wiele cięższego chleba. W izbie było ciepło, zmęczenie zaczęło ze mnie parować i wpatrzona w płomień, bezmyślnie skubałam swój chleb. Wydawał mi się smaczniejszy niż wszystko co dotychczas jadłam. W pewnej chwili zorientowałam się, że zjadłam więcej niż połowę jutrzejszej porcji i z rozżalenia nad samą sobą rozplakałam się.

Najtrudniejsze były okresy wiosennych prac polowych. Pierwszy był siew na ubiegłorocznym ściernisku. Siało się przeważnie pszenicę jarą, gdyż ozimina nie przetrzymałaby zimowych mrozów.

Teoretycznie miało być wysiane 200 kg ziarna na 1 hektar, ale ponieważ *kurmasz*, czyli prażona pszenica był przysmakiem Kazachów (a i reszta doceniała to jedzenie), więc w chwilach odpoczynku prażyło się to ziarno nad ogniem na kawałku blachy lub łopacie i długo żuło. Tym samym ilość pszenicy do siewu poważnie się zmniejszała. Jako niedościgły pułap plonów określano 7q z hektara, w praktyce zaś było to około 5q. Nic dziwnego, skoro uprawa była tak uproszczona. Nie stosowano żadnych nawozów, cały gnój szedł na wyrób kiziaaku, a pracownicy zjadali część ziarna przeznaczonego do siewu.

O ile sobie przypominam, po zasianiu robiło się płytką podorywkę i to był koniec zabiegów agrotechnicznych.

Każdy kołchoz miał narzucony plan zagospodarowania ugorów. Orano je trzema parami wołów. Z przodu zaprzęgano parę najbardziej doświadczoną, w środku młode, a najbliżej pługa – średnie. Woły miały być karmione w nocy przez specjalnego nocnego pastucha. Miał on pilnować by woły się pasły, a nie spały. Ponieważ trawy wczesną wiosną było mało, woły zmęczone, a pastuch prawdopodobnie wolał w nocy spać, niż zajmować się zwierzętami – w rezultacie przystępowały one do rannej pracy głodne. Kładły się więc na ziemi i nie było siły, by je zmusić do powstania i ciągnięcia pługa. Normalnie poganiano je długim biczem o krótkim, około 30-centymetrowym biczysku. Bicz taki sięgał od osoby idącej za pługiem aż do przedniej pary wołów. Odpowiednie uderzenie i okrzyk *cob* w lewo i *cobe* w prawo, kierowały woły w odpowiednim kierunku, tak by pług trzymał się bruzdy.

Sytuacja zmieniała się, gdy przy jednym z pługów woły się kładły. Wtedy szereg pługów, które były w tyle, musiał się zatrzymać i – biedny wół ! Najpierw bito go wieloma biczami (woły miały już pozbawione sierści i poranione od bicia pośladki). Potem wykręcano mu ogon, tak jak się wykręca mokrą ścierkę, a w końcu kłuto zaostrozonym kijem pod ogonem. Gdy i to nie pomagało, podpalało się pod ogonem kłęb gazety, a tego żaden wół nie wytrzymał i zrywał się do ucieczki. Sztuką było, by w tej samej chwili zmusić do pracy pozostałych pięć wołów. Gdy się to nie udawało, cały manewr szedł na marne.

KSIĄDZ TADEUSZ FEDOROWICZ.

Na wstępie muszę przeprosić Księdza Fedorowicza, jeżeli jakieś opisane przeze mnie zdarzenia były nieco odmienne, ale piszę to, co pamiętam i jak pamiętam, a moja pamięć po tylu latach mogła trochę przekształcić fakty. Dlatego też pozwoliłam sobie przesłać księdzu brudnopis tego o nim rozdziału i to, co dalej napiszę, otrzymało jego akceptację.

Niedługo po naszym przyjeździe do Georgijewki dowiedziałyśmy się chyba pocztą pantoflową, że nasz kuzyn ksiądz Tadeusz Fedorowicz, przygotował sobie walizczkę z najpotrzebniejszymi szatami kościelnymi, składanym kielichem i mnóstwem komunikantów, zgłosił się do transportu jako prawnik – pod innym nazwiskiem – i przyjęto go, nic nie podejrzewając, do jednego z pociągów.

Zesłańcy, do których go przyłączono, zostali wywiezieni na północ od Kazania i skierowani do pracy przy wyrębie lasów. W tym czasie musiał on bardzo starannie zachowywać swoje *incognito*, gdyż i tak podejrzewano go o bliższe kontakty z Panem Bogiem, co ówczesna władza uważała za poważne przewinienie. Po podpisaniu umowy między gen. Sikorskim a rządem ZSRR, w czasie formowania wojska polskiego, ksiądz Fedorowicz otrzymał glejtkę, zezwalającą mu na poruszanie się na obszarze całego Kazachstanu. Wtedy zaczął już jawną posługę duszpasterską, objeżdżając rzemiennym dyszlem większe skupiska Polaków.

W styczniu 1942 przyjechał też i do nas. W Wasylkówce – przysiółku Georgijewki, odprawił uroczystą mszę św. z udzieleniem I Komunii św. i innych sakramentów wszystkim tym, którzy go o to prosili. Jako dekorację ołtarza podczas tej mszy św. moja siostra zrobiła lilie z wiórów drewnianych. Kwiaty były pomalowane na biało, liście na zielono. Podobno bardzo ładnie wyglądało. Ja niestety nie mogłam uczestniczyć w tej mszy, ponieważ byłam daleko poza Georgijewką, na pracach kolchozowych. Ksiądz błogosławił również groby zmarłych Polaków, w tym i mego ojca, oraz odwiedzał liczne domy. Przyszedł też do nas, a był to okres, kiedy z jedzeniem było u nas bardzo trudno. Długo zastanawiałyśmy się, czym go poczęstujemy. Przypomniłyśmy sobie, że jako chłopak bardzo lubił kwaśne mleko, więc podałyśmy mu – jako przysmak – groch prażony na suchej patelni z kwaśnym mlekiem.

Z Georgijewki pojechał do miejscowości Kokpekty i Balszaja Bukoń, gdzie rozchorował się na zapalenie płuc. W czasie rekonwalescencji nauczył się robić na drutach i przez pewien czas w ten sposób pracował. Opiekowały się nim różne Polki; wśród nich zapamiętałam p. Pischnotową, której mąż

miał we Lwowie duży sklep z lampami. Gdy zaczęły się przetargi z paszportami (dowodami tożsamości), aresztowano też księdza Fedorowicza i poprowadzono wraz z grupą aresztantów przez Georgijewkę na stację kolejową. Dowiedziawszy się, gdzie mają oni nocować, posłaliśmy z moją matką na spotkanie z nim. Wspomnienie jak z koszmaru: brudni, zmęczeni ludzie, siedzący na gołej ziemi w izbie oświetlonej wyłącznie kopcitką. Do dziś mam to przed oczyma jako horror. Nazajutrz o 4 rano miało ich prowadzić dalej. Przed świtem wzięłam butelkę mleka i pled mojej matki i wyszłam daleko za wioskę na to spotkanie, o którym sądziłam, że będzie ostatnie.



miał we Lwowie duży sklep z lampami. Gdy zaczęły się przetargi z paszportami (dowodami tożsamości), aresztowano też księdza Fedorowicza i poprowadzono wraz z grupą aresztantów przez Georgijewkę na stację kolejową. Dowiedziawszy się, gdzie mają oni nocować, posłaliśmy z moją matką na spotkanie z nim. Wspomnienie jak z koszmaru: brudni, zmęczeni ludzie, siedzący na gołej ziemi w izbie oświetlonej wyłącznie kopcitką. Do dziś mam to przed oczyma jako horror. Nazajutrz o 4 rano miało ich prowadzić dalej. Przed świtem wzięłam butelkę mleka i pled mojej matki i wyszłam daleko za wioskę na to spotkanie, o którym sądziłam, że będzie ostatnie.

miał we Lwowie duży sklep z lampami. Gdy zaczęły się przetargi z paszportami (dowodami tożsamości), aresztowano też księdza Fedorowicza i poprowadzono wraz z grupą aresztantów przez Georgijewkę na stację kolejową. Dowiedziawszy się, gdzie mają oni nocować, posłaliśmy z moją matką na spotkanie z nim. Wspomnienie jak z koszmaru: brudni, zmęczeni ludzie, siedzący na gołej ziemi w izbie oświetlonej wyłącznie kopcitką. Do dziś mam to przed oczyma jako horror. Nazajutrz o 4 rano miało ich prowadzić dalej. Przed świtem wzięłam butelkę mleka i pled mojej matki i wyszłam daleko za wioskę na to spotkanie, o którym sądziłam, że będzie ostatnie.

miał we Lwowie duży sklep z lampami. Gdy zaczęły się przetargi z paszportami (dowodami tożsamości), aresztowano też księdza Fedorowicza i poprowadzono wraz z grupą aresztantów przez Georgijewkę na stację kolejową. Dowiedziawszy się, gdzie mają oni nocować, posłaliśmy z moją matką na spotkanie z nim. Wspomnienie jak z koszmaru: brudni, zmęczeni ludzie, siedzący na gołej ziemi w izbie oświetlonej wyłącznie kopcitką. Do dziś mam to przed oczyma jako horror. Nazajutrz o 4 rano miało ich prowadzić dalej. Przed świtem wzięłam butelkę mleka i pled mojej matki i wyszłam daleko za wioskę na to spotkanie, o którym sądziłam, że będzie ostatnie.

Strażnik, który konwojował aresztantów, pozwolił nam porozmawiać chwilę na drodze, ale o czym się mówi w takich okolicznościach?

Pan Bóg pozwolił, że spotkaliśmy się w Polsce i Ksiądz Tazio, jak go nazywaliśmy w rodzinie, udzielał nam (mnie i memu mężowi) sakramentu małżeństwa w Laskach, chrzcił we Wrocławiu naszą córeczkę Annę Katarzynę, i również w Laskach podał jej I Komunię św., a także dawał jej ślub z Tomaszem Kraińskim, dla którego też jest wujem i z którym łączy go jeszcze bliższe pokrewieństwo niż ze mną.

Przy spotkaniach z Kazachstańczykami organizowanymi we Wrocławiu Ksiądz opowiadał, że kiedyś w Bukoni spotkał dwoje polskich dzieci bawiących się w piasku. Zapytał:

– *W co się bawicie?*

– *My bawimy się w księdza.*

– *Jakże to?*

– *Ja robię pierogi, a on je zjada*

– *odpowiedziała dziewczynka.*

Taka to była zabawa w księdza.



Autorka u Ojca Św. Jana Pawła II

INNI ZESŁAŃCY

W czasie naszego pobytu w Georgijewce przywieziono tam, jako do miejsca zesłkowego, trzech profesorów uniwersytetu erezwańskiego. Starszy z nich nazywał się Okunian, trochę młodszy Nawokatikian, nazwiska trzeciego nie pamiętam. Nie wiem, jak było bezpośrednio po ich przyjeździe, ale gdy wróciłam do domu z *toczki*, byli już zaprzyjżnieni z moją matką. Jej ojciec Antym Nikorowicz był polskim Ormianinem. Obcowanie z jedynymi kulturalnymi ludźmi w swoim otoczeniu, z którymi mogła porozumieć się po francusku lub niemiecku, było dla niej dużą przyjemnością. Oni też chętnie z nami przedstawiali, a nawet jeden z nich usiłował nauczyć się mówić po polsku. Profesorowie ci

byli najpierw siedem lat w więzieniu, gdzie w czasie śledstw poddawano ich przemyślnym torturom. Na przykład: stanie w celi o pochylej podłodze, w lodowatej wodzie. W najniższym miejscu tej wody było prawie po kolana w najwyższym po kostki, ale utrzymanie się w tym najpłytszym miejscu było bardzo trudne. Drugą torturą było po prostu stanie. Profesor Nawokatikian, z którym stosunki były wręcz przyjacielskie, opowiadał, że stał raz trzy doby, a strażnicy zmieniali się co parę godzin. Po tych trzech dobach każda z jego nóg była równie gruba jak obwód tułowia, a może jeszcze bardziej spuchnięta. Tortury miały wymóc na nich przyznanie się

do występowania przeciw władzy sowieckiej, organizowania zbrojnego powstania i szpiegostwa. Profesor powiedział nam, że po tych „zabiegach” podpisał przyznanie się do wszystkich zarzuconych mu czynów, z wyjątkiem szpiegostwa. Po siedmiu latach więzienia skazano ich na 10 lat zsyłki. Nie wiem, jak do tego doszło, że oni wyjechali z Georgijewki jeszcze

przed nami. Potem długo korespondowaliśmy, nawet po powrocie do Polski.

Innymi zesłańcami byli Niemcy, od dawna zamieszkałi w Republice Maryjskiej. Tych posądzano o sprzyjanie rodakom w czasie działań wojennych – i wszystkich przesiedlono. Byli to bardzo pracowici ludzie. Najlepiej zapamiętałam jedną z Niemek o imieniu Karolina – do dziś widzę jej miłą i łagodną twarz. Pewnego dnia znaleziono w jej pośnaniu w szopie woreczek z około 2 kg pszenicy. Drżałam o nią wiedząc, że tym, którzy kradną oficjalnie workami, uchodzi to bezkarnie, ale co zrobią tej, która chciała ukraść 2 kg? Na szczęście oprócz wezwań do kancelarii kolchozowej, nie poniosła żadnych poważniejszych konsekwencji.

Następną partią zesłańców byli Cze-
czeńcy. Przepiękni ludzie, których za sprzy-
żanie Niemcom porywano z ulicy – bez
bagaży – rozdzielając przy tym rodziny. Było
to chyba na wiosnę 1944 roku. Ludzie ci
byli na tyle hardzi, że woleli umierać z głó-
du, niż pracować w kołchozie. W zimie przy
40-stopniowym mrozie widziało się ich
w letnich łachmanach, przez które prze-
świecało gołe ciało. W lepiankach, w któ-
rych ich umieszczono, nie było opału, więc
ginęli masowo z zimna i głodu. Okropne
było widzieć błyszczące z głodu oczy tych
ludzi i nie być w stanie im pomóc. Jedno-
razowe nakarmienie jednej osoby nie zmie-
niało sytuacji ogółu. Na początku, gdy coś
miejscowym zginęło, twierdzono z całym
przekonaniem, że to Polacy ukradli. Gdy
przyjechali Niemcy, mówiono: Polacy to
uczciwi ludzie, Niemcy to złodzieje, ale po
przybyciu Czeczeńców – niestety nie bez-
podstawnie – wszystkie kradzieże były na
nich zrzucone. A oni woleli ukraść, niż zhań-
bić się pracą. Trudno się było z nimi poroz-
umieć, gdyż nie wszyscy mówili po rosyj-
sku, a my po tylu latach władaliśmy biegle
tym językiem. Poza moją matką, która
wolała porozumiewać się z „Kazaczkami”
na migi, niż używać rosyjskiego.

Z Kazachami, jako pełnoprawnymi
mieszkańcami tych ziem, była zupełnie inna
sprawa. Od zamierzających czasów byli oni
narodem pasterskim, koczowniczym. Za
mieszkania służyły im skórzane *jurty* (okrą-
głe namioty), a w nich łóżka i okrągły, a ra-
czej ośmiokątny stolik wysokości około
30 cm, przeważnie ładnie rzeźbiony. Do-
okoła tego stolika popijali herbatę z czare-
czek (często drewnianych, lakierowanych
wewnątrz w przeróżne wzory), siedząc
w kucki. Wszystkie posiłki odbywały się
w tej pozycji, uważanej za wypoczynkową.
Mięso, przeważnie gotowane, przynosiła na
tacy kobieta, stawiając przed najstarszym
z rodu, który to mięso palcami dzielił i roz-
dawał *po uważaniu* lepsze lub gorsze ka-
wałki. Jeden ze starych Kazachów w roz-
mowie ze mną dziwił się, jak można jeść
mięso łyżką i nożem, bo przecież smak
mięsa ocenia się dotykiem, a to jeszcze
powiększa przyjemność jedzenia. Przypom-
niałam sobie wtedy, że i dla mnie jedze-
nie gruszki widelczykiem nie ma żadnego
uroku i dopiero gdy się ma pełne usta, a sok

gruszkowy kapie po brodzie, to jest to!
Żadnych krzesel ani taboretów w jurcie nie
było. Gdy zagoniono Kazachów do kołchoż-
nych ziemianek, urządzenie wnętrza pozos-
tało takie samo jak w jurtach.

Utrzymywali się z hodowli wielbłądów,
krów, kóz, a przede wszystkim owiec. Nato-
miast w ogóle nie uprawiali roli, z wyjątkiem
małych poletek, na których siali pszenicę
wyłącznie na kurmasz. Ten kurmasz cha-
rakterystycznym ruchem podrzucali do ust
i żuli. Oprócz pszenicy uprawiali też tytoń,
który drobnitko pokrojony wkładali z przodu
między zęby i dolną wargę.

W 1933 r. władza sowiecka upaństwo-
wiła ich stada, nie dając w zamian nic. Lu-
dzie, którzy pamiętali te czasy, twierdzili, że
jedna trzecia ludności kazachskiej wyginęła
wtedy z głodu. Człowiek szedł drogą, padał
i już nie żył. Po takich ciągach Kazachowie
potulnie wstępowali do kołchozów, przecho-
wując w sercach chęć zemsty. Aby zasymilo-
wać Kazachów, nadawano im rosyjskie
nazwiska, takie jak Orumbajew, Mejrembe-
kow, Bekbosynow itp.

Dziwny był ich stosunek do Polaków.
Przy wszelkich transakcjach handlowych
uważali za swój honorowy obowiązek tro-
chę oszukać, ale niedługo potem przycho-
dzili z jakimś prezentem: jajkiem, szklanką
ajranu (coś między jogurtem i kwaśnym
mlekiem) lub kilkoma *boursakami*, których
wyrób nie był dla nas najapetyczniejszy.

Ogólnie Kazachowie zapisali się w na-
szych odczuciach i naszej pamięci w spo-
sób sympatyczny.

Osoby z mojej najbliższej rodziny – cytowa-
ne we *Wspomnieniach*:

Mój ojciec – Wincenty Mączyński ur. 1869,
doktor praw, emerytowany st. radca Prokuratury
Generalnej we Lwowie.

Moja matka – Karolina z Nikorowiczów Mą-
czyńska ur. 1887.

Moja siostra – Maria (Maruszka) Mączyńska,
obecnie Malcowa, ur. 1909, absolwentka Akade-
mii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Ja – Anna (Hania) Mączyńska, obecnie Bez-
rąkowa, ur. 1920 r., po egzaminie dojrzałości i 1 ro-
ku Instytutu Gospodarczego Kształcenia Kobiet
w Snopkowie pod Lwowem.

*Powyższe opowiadania stanowią wybra-
ne części większej całości.*

PRAWDA O SZOSIE ZALESZCZYCKIEJ

Józef Juzwa

*Dokończenie
z poprzedniego numeru*

17 września! Niedziela. Straszny dzień. *Dies irae. Dies irae et calamitatis*¹. Jakże pamiętna data w historii naszego narodu.

Tego dnia przekroczyło granicę kilka zgrupowań wojskowych, w tym szkół lotniczych. Jak nam było wiadomo, miały się one udać do Konstancy w Rumunii po odbiór angielskich samolotów, transportowanych przez Morze Czarne. Przybyły też dwie eskadry samolotów Brygady Pościgowej, które w niedzielne południe przeleciały nad naszymi głowami, znikając za wysokim brzegiem rumuńskim. Niektórzy żołnierze, widząc rozbrajanych przez Rumunów kolegów, całowali na moście karabiny i wrzucali do Dniestru. Ranni ze szpitali wojskowych przy pomocy kolegów udawali się na brzeg rumuński, obawiając się niewoli sowieckiej.

Tymczasem w zaistniałej sytuacji zebrał się po południu tragicznego dnia na probostwie w Zaleszczykach Komitet Obywatelski, któremu przewodniczył kapitan Langman, wysłannik majora Mazurkiewicza (ps. „Zagłoba”) ze Stanisławowa, organizatora Tajnej Organizacji Wojskowej. Poinformował on zebranych o sytuacji wojskowej i zapoznał z podporucznikiem o pseudonimie „Szary”, skierowanym w celu zorgani-

zowania tajnej komórki TOW, kryptonim „Kawon” (Konspiracyjna Akcja w Obronie Narodu). Zadaniem „Kawon” miało być umożliwienie przerzutów do Rumunii żołnierzy i cywilów spod zbliżającej się okupacji sowieckiej^{2,3}. Po radzie z kpt. Langmanem starosta zaleszczycki Józef Krzyżanowski wraz z komisarzem policji Monetą mieli udać się do Rumunii celem nawiązania kontaktów z tamtejszymi władzami i uzgodnienia pomocy w przyjmowaniu Polaków. Wieczorem została zaprzysiężona na probostwie grupa konspiracyjna, składająca się z ośmiu uczniów liceum, dwóch kurierek i przewodników. Siedzibą „Kawon” zostało mieszkanie ks. Urbańskiego. Tam wydawał rozkazy i kierował akcją ppor. „Szary”, działając równocześnie z kilkoma podchorążymi w tajnej radiostacji. W nocy 10/11 października radiostacja została wykryta, a wojskowi aresztowani. Dalszą działalność prowadziliśmy dalej pod kierunkiem ks. Urbańskiego. Byłem jednym z członków tej grupy.

Wieczorem komisarzem miasta został dyrektor gimnazjum i liceum, Mieczysław Zawalkiewicz, ale na krótko, bo następnego dnia rano zainstalowały się władze sowieckie.

A co działo się w tym tragicznym dniu w Kutach? Moczulski na str. 467 podaje:

Tuż przed północą w niedzielę 17 września prezydent Ignacy Mościcki w towarzystwie ministra Becka, a za nimi pozostali członkowie rządu, opuścili terytorium Rzeczypospolitej... Ostatecznie 18 września przed świtem również Naczelný Wódz, marszałek Edward Śmigły Rydz przekroczył graniczny Czeremosz...

Wrzesień 1939, str. 264 (Biddle):

Prezydent Mościcki udał się do Kut, gdzie zwołał posiedzenie Rady Ministrów... pod wieczór, gdy rząd dowiedział się, że radziecka kolumna zmechanizowana dotarła do Śniatyna, podjęto decyzję wjazdu do Rumunii. Prezydent Mościcki w towarzystwie członków rządu wjechał na most łączący Kuty z Wyżnicą po stronie rumuńskiej...

Dniestr pod Zaleszczykami. Po lewej miasto, po prawej brzeg rumuński



Str. 268 (Zabiełto):

Gdy wjeżdżaliśmy do Czerniowiec... mijaliśmy kolumnę różnego typu wozów... to fala z Zaleszczyk spotkała się z falą z Kut.

Niezapomniany, straszny dzień 17 września rokrocznie przypomina Polakom haniebną napaść sowiecką na naszą Ojczyznę, napaść, którą złamane zostały postanowienia traktatu ryskiego, regulujące i ustalające wschodnie granice Rzeczypospolitej. Złamało również istniejący pomiędzy nami a Związkiem Sowieckim pakt o nieagresji z roku 1932. Dzień ten uznało społeczeństwo polskie za koniec istnienia Rzeczypospolitej i *de facto* IV rozbiór Polski. Postanowienia paktu Ribbentrop-Mołotow przyznające wschodniemu sąsiadowi granice na Bugu zostały przecież z niewielkimi zmianami zaakceptowane przez Sprzymierzonych, z którymi ramię w ramię walczyliśmy na wszystkich frontach II wojny światowej. Przelewaliśmy krew za *Waszą i naszą wolność*. Nie weszliśmy z Niemcami w żadne układy, tak jak uczyniły to np. Francja czy Norwegia, ale stworzyliśmy w kraju największą armię podziemną z wszystkich państw okupowanych. Krzywdząca decyzja jałtańska zezwoliła bez naszej zgody i bez naszego uczestnictwa na tej konferencji, na oderwanie od Macierzy niemal połowy terytorium oraz na bezprzykładne w historii narodów cywilizowanych wyprzedzenie kilku milionów ludności ze swoich domostw oraz pozostawienie wrogowi, który wbił nam nóż w plecy, ogromnego i przebogatego majątku narodowego. Główne ośrodki kultury polskiej na ziemiach wschodnich Lwów i Wilno, po przeprowadzeniu czystki etnicznej na całym wschodnim obszarze, przestały być polskie. W świadomości władz PRL tamte tereny uznano za niebyłe dla historii Polski, a młodzieży przysłoniono bielmem oczy, by nie dowiedziała się prawdy o zagrabionych terenach. Mówienie o Ziemiach Wschodnich przez długie lata stanowiło istne tabu. Tylko w niektórych domach odważni rodzice uczyli dzieci prawdy.

Z tej zasłony dymnej przedzierają się czasem dwa miasta, dwie metropolie, których polskość starano się w perfidny sposób wypaczyć. A przecież wystarczy przejść się po nich i zaglądnąć do historii. [...]

Oprócz tych metropolii pozostawionych poza mgłą graniczną na wschodzie, było jeszcze jedno małe miasteczko, które raz po raz pojawiało się w środkach przekazu i stało się celem ataków i nienawiści władz PRL. To **Z a l e s z c z y k i**. Cudownie położone w pętli wijącego się Dniestru, o których Melchior Wańkowicz napisał: *Życ, nie umierać w tych Zaleszczykach!* Czy można dziś odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właśnie to miasto stało się tak głośne w strefie zakazanej, przykrytej zasłoną dymną przed społeczeństwem polskim? Podczas kampanii wrześniowej cofające się wojsko polskie znalazło się nagle w potrzasku. 17 września odwrót na wschód stał się bezcelowy, a nawet niebezpieczny. Dlatego zwarte grupy przechodziły za granicę na Litwę, Łotwę, Słowację, Węgry i Rumunię. Naczelne władze państwowe przekroczyły granicę rumuńską w **K u t a c h**, przechodząc most na Czeremoszu. W Zaleszczykach nie przebywał ani rząd, ani naczelne władze wojskowe, ani prezydent Mościcki. Dlaczego więc władze PRL przypisały Zaleszczykom, czy *szosie zaleszczyckiej* symbol najwyższej hańby zdrady narodowej, ucieczki z pola bitwy itd., itd.? Dlaczego powielano w podręcznikach szkolnych, w piśmie naukowych i książkach, pokazywano w telewizji, zdjęcie szosy zaleszczyckiej



Wodospad w Czerwonogrodzie

– obrzydliwą fałszywkę, przedstawiającą rozbitą kolumnę niemiecką w wąwozie górskim, choć wojska niemieckie nie dotarły do Zaleszczyk w 1939 roku, zatrzymując się w okolicach Lwowa? Tym fałszywym zdjęciem posłużyło się poważne dzieło historyczne *Wojna obronna Polski, 1939 r.* (MON, 1979). Kto rzucił na Zaleszczyki kłatwę zdrady i hańby? Kto omotał piętnem niepopelnionej winy i nadał temu miastu rangę przestępstwa, jakiego nie było?

Kiedyś pokazano przedwojenne dożynki z korowodem dygnitarzy, zdążających szosą zaleszczycką; były to audycje *Od Picadora do Zaleszczyk*, nie mające nic wspólnego z tą miejscowością, były artykuły powtarzające ten slogan, rzucający cień na władze II Rzeczypospolitej i hańbiące wszystko, co z tamtą Rzeczypospolitą miało wspólnego. A gdy już zaczęły się zmiany po roku 1989, które dotarły do radia i telewizji, ukazał się z jakże symboliczną datą 17 września 1992 artykuł w „Nie”: *Zaleszczycką szosą 1992*, w którym autor zapamiętałe i uparcie wpałął czytelnikom: *...więc kopnęliśmy się na szosę zaleszczycką, którą to ukochani przez naród władcy z Wodzem Naczelnym w czołówce, byli uprzejmi oddać się z lekkim pośpiechem, walczące wojska i ludność zostawiając na pastwę...* A pod zdjęciem odbudowanego po wojnie mostu drogowego podpisano: *Trwały, solidny, gotowy do przyjęcia kolejnej ekipy uciekającej przez most w Zaleszczykach.*

W numerze 1/1992 „Wojskowego Przeglądu Historycznego” ukazał się artykuł *W sprawie szosy zaleszczyckiej*, który miał na celu wymazanie *białej plamy* z tego przekleństwa. Jak słusznie zauważył autor, dr Lipiński, WPH ma ograniczoną liczbę czytelników, a oczyszczenie Zaleszczyk z piętna hańby i zdrady wymaga przedstwienia szeroko w prasie, a przede wszystkim w podręcznikach szkolnych, by młodzież kształcona dotychczas na prawdach stalinowskich poznała prawdziwą historię wrześniowych dni. Jest sprawą nagłą szczególnie dziś, gdy nie tylko wymazuje się białe plamy ostatniej historii, nie tylko mówi się prawdę o Katyniu i innych bestialstwach reżimu komunistycznego, ale sprowadza się prochy najznakomitszych osobistości okresu między-

wojennego, które jeszcze niedawno szkolowane były i piętnowane były za to tylko, że zawsze działały na korzyść Polski. [...] Nadszedł czas, by nie oszukiwano społeczeństwa obrzydliwymi i fałszywymi informacjami, jak jeszcze przed paru laty w „Nie”, gdzie – cytuję: *I szosa ta sama, choć wyasfaltowana, i most stoi. Nowy most dokładnie w tym samym miejscu co stary. To tędy przechodzili żołnierze, oficerowie i oficjele. Tędy spieprzała II Rzeczpospolita.* Pomijając styl i słownictwo autora cytatu, chcę przypomnieć, że prawo międzynarodowe przewiduje opuszczenie przez legalne władze własnego kraju pod naporem obcych armii i kontynuowanie rządów na wychodźstwie. Z tego prawa skorzystał rząd polski, podobnie jak wiele rządów i głów koronowanych podczas II wojny światowej.

Szosa zaleszczycka, to po prostu jedna z wielu dróg łączących przed wojną Polskę z sąsiednim państwem. Nie ciąży na niej żadna skaza, dlatego s t a j e m w j e j o b r o n i e . Pomogła ona tysiącom znękanym obywateli i żołnierzom opuścić kraj i przeprowadzić ich do odradzającej się Armii Polskiej na zachodzie. W Zaleszczykach znaleźli pomoc również i ci, którzy w nielegalny już sposób chcieli przedostać się do Rumunii, spod okupacji sowieckiej. Pomogła im w tym zaleszczycka grupa Tajnej Organizacji Wojskowej „Kawon”. Nie tylko zakopiańscy kurierzy, nie tylko karpaccy i biali kurierzy, ale też i kurierzy z Zaleszczyk zasługują na odkrycie i pochwałę. Oni również działali dla sprawy, której na imię *Polska*.

Taka jest chlubna karta szosy zaleszczyckiej i taka o niej prawda.

¹ *Dzień gniewu. Dzień gniewu i klęski* (łac.).

² J. Juzwa, K. Zieliński, *Nieznany szlak kuriersko-przerzutowy w Zaleszczykach 1939/1940*. Archiwum Wschodnie.

³ J. Juzwa, *Droga wiodła przez Zaleszczyki*. „Semper Fidelis” 1/92.

Autor, p. dr J. Juzwa prosił nas listownie, by uzupełnić informację podaną w jego notce biograficznej (w CL 1/02, s.12), iż dla ks. Popiełuszki grał na organach nie w Warszawie, lecz w czasie pobytu Księdza w Bytomiu, 12 dni przed Jego męczenną śmiercią.

Maria Zawistowska

LWOWSKI HISTORYK PRAWA

Przemysław Dąbkowski 1877–1950

Minęło ponad pół wieku od śmierci wybitnego uczonego lwowskiego, profesora, który długo i owocnie pracował w dziedzinie historii i teorii prawa, a także zajmował się historią Słowian. Rozwój nauki polskiej wiele mu zawdzięcza.

Przemysław Dąbkowski urodził się we Lwowie, w rodzinie inżyniera kolejowego, uczestnika Powstania Styczniowego, więźnia warszawskiej Cytadeli. Po ukończeniu z odznaczeniem gimnazjum, Przemysław wstąpił na wydział prawa Uniwersytetu Lwowskiego. Miał wspaniałych nauczycieli, takich jak Oswald Balcer i Stanisław Kutrzeba. Wpływowi i historykowi, i znawców prawa zawdzięczał zapewne wybór kierunku badań naukowych, któremu został wierny do końca życia. Już na drugim roku studiów okazał się zdolnym naukowcem. Opublikował swoją pierwszą pracę badawczą, na którą zwrócili uwagę i wysoko ocenili ówczesni uczeni.

Po ukończeniu studiów i otrzymaniu stopnia doktorskiego, dla pogłębienia swojej wiedzy, wyjechał Dąbkowski za granicę i podjął dalsze studia na uniwersytetach berlińskim i paryskim. W latach 1899–1908 zbierał materiały do badań naukowych w archiwach Polski, Niemiec i Rosji.

W roku 1906 został docentem, a w 1910 profesorem w katedrze historii prawa i państwa Uniwersytetu Lwowskiego. Pracował tam do swojej śmierci.

Aby ogarnąć wszechstronną działalność naukową Profesora, trzeba wyodrębnić następujące kierunki: badawczy, pedagogiczny, wydawniczy, naukowo-organizacyjny. Niezwykle płodna była jego twórczość naukowa: był autorem ponad 300 prac z zakresu historii prawa narodów słowiańskich w wiekach XIV–XVII, a także z historii archiwistyki. Szerokie uznanie w świecie przyniosła Profesorowi dwutomowa praca, wydana w r. 1910/11: *Polskie prawo cywilne*. Była to pierwsza solidna (1365 stron!) monografia w tej dziedzinie, a wykorzystał

w niej materiały zbierane jeszcze w czasie studiów. Pracę tę, w której przedstawił rozwój polskiego prawa cywilnego od wieku XIV do XVII, uhonorowała Polska Akademia Umiejętności nagrodą naukową.

Wielka część badań profesora Dąbkowskiego odnosiła się do historii państwa i prawa ziem Polski wschodniej. Analizował tam społeczne i ekonomiczne stosunki, szczególnie na ziemiach południowo-wschodnich, a informacje czerpał z archiwaliów, takich jak: *Halickie księgi sądowe za czasów polskich*, *Kancelarskie i sądowe księgi za czasów polskich*, *Stosunki narodowościowe w ziemi sanockiej w XV w.*, *Stosunki ekonomiczne w ziemi halickiej* i wiele innych.

Krąg zainteresowań Profesora był nadzwyczaj szeroki. Badał historię litewskiego, białoruskiego, rosyjskiego, bułgarskiego i serbskiego prawa. Niestety nie ukończył opracowania *Historia państwa i prawa Czech*



i praca ta jeszcze dziś czeka na współautora, który by ją dokończył i opublikował.

Mniej był znany Dąbkowski jako znawca archiwów, ale i w tej dziedzinie nauki wiele dokonał. Dokładnie studiował i opisywał znalezione w archiwach dokumenty oraz księgi aktów prawnych. Wydał szereg szkiców z historii archiwów miejskich i ziemskich we Lwowie, a także książkę pt. *Katalog dawnych polskich sądowych aktów buskiego i bełzkiego powiatu* (1937) i inne.

Profesor – jak uważają badacze jego naukowej spuścizny – był jednym z najbardziej znanych historyków prawa. Był członkiem rzeczywistym PAU oraz członkiem korespondentem bułgarskiej i czeskiej Akademii Nauk. Otrzymał doktorat *honoris causa* uniwersytetu w Bratysławie, był członkiem państwowej rady archiwów Austrii (1910–28) i Polski (1920–39), członkiem korespondentem Francuskiego Towarzystwa Historii Państwa i Prawa w Paryżu i innych towarzystw naukowych.

Profesor Dąbkowski w ciągu 44 lat z powodzeniem łączył pracę naukową z pedagogiczną. Niejeden raz był dziekanem wydziału prawa, kierownikiem katedry teorii państwa i prawa. Jedyną przerwą w jego działalności pedagogicznej były lata okupacji niemieckiej. Odmówił współpracy z okupantem, ale to on pierwszy przyszedł odbudowywać wydział prawa po wojnie. W swoich notatkach zapisał: *...prawdopodobnie ja byłem pierwszy, który następnego dnia zjawiał się w ścianach uniwersytetu i odwiedziłem moją katedrę. Niestety znalazłem w niej tylko ruiny, gołe ściany, wybite okna, nie było żadnych mebli ani książek. Ale ja byłem szczęśliwy, że po trzech latach powróciłem do dawnego miejsca pracy. Z zapalem z pracownikami naszych katedr zabraliśmy się do odnowienia pracy w nich...*

Wielkość osobowości Profesora polegała na jednakowym traktowaniu studentów i kadry naukowej, nie wyróżniając, ani też nie deprecjonując nikogo. Biegła znajomość wielu języków ułatwiała mu kontakty ze studentami i pracownikami, za co go też wszyscy kochali i szanowali. Młodzieży pomagał nie tylko w pracach naukowych, ale i materialnie, o czym nieraz wspominali jego byli uczniowie.

Profesor Dąbkowski stworzył na uniwersytecie szkołę historii państwa i prawa, z której wyszli tak znakomici uczeni, jak J. Ger-

lach, W. Voisé, W. Hejnosz, W. Kulczycki, C. Hubert, J. Adamus, K. Koranyi, W. Osuchowski, S. Śreniowski, Z. Wachlowski i inni. Uczniowie Profesora, mimo że rozjechali się po świecie, pracując na uniwersytetach w Polsce, Francji, Niemczech, Austrii, nie zapomnieli o swoim Nauczycielu.

Wielkie znaczenie miała działalność wydawnicza P. Dąbkowskiego. To właśnie dzięki staraniom Profesora, jego współpracowników i uczniów w latach 20–30. XX wieku Lwów uważano za główny ośrodek historii prawa w Polsce międzywojennej. Profesor był twórcą *Pamiętnika historyczno-prawnego* (1925–1939), którego ukazało się 13 tomów. Utworzył wraz ze swoimi uczniami J. Adamusem i K. Koranym *Przewodnik historyczno-prawny*. W 1930 r. ukazało się 5 tomów, w których prace drukowano nie tylko w języku polskim, ale i innych słowiańskich językach. Redagował też naukowe pismo „Wschód” (13 tomów), „Sprawozdania Towarzystwa Naukowego we Lwowie” (60 zeszytów 1921–39). Te pisma, a w szczególności dwa pierwsze, miały wielki wpływ na rozwój badań historyczno-prawnych nie tylko u nas, ale i w całej Europie. Profesor był stałym współpracownikiem redakcji *Ruska Encyklopedia*, wydawanej w Petersburgu, i recenzował różne części tego dzieła.

Jak napisano w pośmiertnych wspomnieniach – *Profesor Dąbkowski, którego naukowy światopogląd formował się na przełomie XIX/XX wieku, nigdy nie był historykiem-marksistą. Nigdy nie zmienił swoich poglądów, nie przystosował się do nowej ideologii. Do końca życia pozostał p r a w d z i w y m u c z o n y m*, wiernym patriotą Lwowa, o czym świadczy fakt, że stąd nie wyjechał, gdy na mocy układu jałtańskiego oddano miasto Związkowi Sowieckiemu. Jest autorem kilku książek o Lwowie, gdzie każda ich stronica tchnie wielką miłością do ukochanego, rodzinnego miasta.

Opracowane przez siostrzenicę prof. P. Dąbkowskiego, Marię Zawistowską, pracownika Wydziału Prawa we Lwowie – na podstawie artykułu Zofii Grabowskiej, opublikowanego w „Halickiej Bramie” (pismo ukraińskie, wydawane we Lwowie, nr 17 z 1996 r.). Pani M. Zawistowska zmarła we Lwowie przed kilkoma miesiącami. Przygotowała do druku p. Teresa Wojciechowska w Krakowie.

SYLWETKI

ŁUCJA CHAREWICZOWA

W poprzednim numerze (CL 4/01) informowaliśmy o ukazaniu się biografii wybitnej historyczki lwowskiej, napisanej przez Jadwigę Suchmiał (WSP Częstochowa). Oto w skrócie – na podstawie tej książki – życie i dzieło Łucji Charewiczowej.

Łucja ze Strzeleckich urodziła się w 1897 r. w Cieszanowie (przed wojną województwo lwowskie, obecnie podkarpackie). Po ukończeniu szkół w Jarosławiu, Przemyślu i Lwowie (matura w 1918 r. w Gimnazjum im. Z. Strzałkowskiej) podjęła studia historyczne na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jana Kazimierza. Po roku wpisała się na UJ w Krakowie, niebawem jednak wróciła do Lwowa na UJK. Jej mistrzami byli profesorowie Jan Ptaśnik i Franciszek Bujak (o którym napisała książkę p. prof. Helena Madurowicz Urbańska, też omawianą w tym numerze). Po ukończeniu studiów zrobiła na UJK doktorat (1924) oraz habilitację.

Główne zainteresowania badawcze Ł. Charewiczowej dotyczyły m i a s t a we wszystkich jego historycznych aspektach, a w szczególności Lwowa. Wyrazem tego już we wczesnym okresie jej kariery naukowej była współpraca z Towarzystwem Miłośników Przeszłości Lwowa, które wydawało Bibliotekę Lwowską, potem zaś praca jako kustosz w Muzeum Historycznym miasta Lwowa. Pisała o handlu i gospodarce Lwowa, o cechach, o dziejach miast polskich i badaniach nad ich planami, o urbanizacji województw południowo-wschodnich, o stanie zdrowotnym miast, o cmentarzach, o zabrytkach ormiańskich we Lwowie, a także o historii miast Francji. Najpoważniejsze jej prace to przede wszystkim *Historiografia i miłośnictwo Lwowa* (1938), *Czarna kamienica i jej mieszkańcy* (1935), *Dzieje miasta Złoczowa* (1929).

Drugim wątkiem zainteresowań Charewiczowej był ruch kobiecy, w który zaangażowała się jeszcze w czasach studenckich. W czasie gdy studiowała i działała naukowo, była we Lwowie już cała plejada pań aktywnych zawodowo i naukowo – autorka biografii wymienia ich kilkadziesiąt w różnych dyscyplinach. Jako historyk poświęciła temu tematowi kilka prac. Była inicjatorką badań nad przeszłością kobiet, nad procesem przemian w pozycji społecznej kobiet.

Wybuch II wojny światowej zmienił sytuację Charewiczowej całkowicie. Została we Lwowie sama (mąż jako oficer zaginął, dzieci nie miała), wyjechała więc do rodziny osiadłej w Warszawie. Tam uczyła w szkołach i w tajnym nauczaniu akademickim. W lipcu 1943 r. została aresztowana przez Niemców i osadzona w Oświęcimiu. W obozie zaangażowała się w konspiracyjną działalność klubową, gdzie pięknie i żarliwie opowiadała o ukochanym przez siebie Lwowie. W grudniu tego samego roku zmarła z wycieńczenia.

W Cieszanowie odślonięto tablicę pamięci Łucji Charewiczowej. Nie ma tam jednak ani słowa o Lwowie, któremu poświęciła całe niemal życie naukowe i większość prac.

Barbara Barta

BRACIA ARTYŚCI

Przed prawie rokiem obiecaliśmy Czytelnikom przedstawienie sylwetki malarza Tadeusza Popiela, twórcy monumentalnej „Golgoty” – wielkich rozmiarów malowidła, które wystawiane corocznie do II wojny w Wielki Piątek i Wielką Sobotę w lwowskim kościele oo. Bernardynów, stanowiło tło dla Bożego Grobu. Obecnie, od wojny, pełni tę samą funkcję u Bernardynów w Krakowie – pokazaliśmy je w CL 3/01.

Przy okazji przedstawiamy również sylwetkę brata Tadeusza, rzeźbiarza Antoniego Popiela, który stworzył wiele wspaniałych dzieł we Lwowie.

Popielowie nie byli lwowianami z urodzenia, jednak z tym Miastem i Ziemią związali swoje życie i artystyczne dokonania.

TADEUSZ POPIEL

T. Popiel (1863–1913) urodzony w Szczucinie, do szkół uczęszczał w Brodach, studiował w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie. Swoje dzieła pozostawił w wielu miejscach Polski, a także we Włoszech. We Lwowie współpracował przy tworzeniu Panoramy Raclawickiej (spod jego pędzla wyszły partie pejzażu i postacie chłopów), a także innych dekoracji pawilonów lwowskiej Wystawy Krajowej w 1894 r. Kilka lat później odnawiał wnętrza kościoła Klarysek we Lwowie (przy pl. Cłowym, róg Łyczakowskiej), konserwując tam obrazy St. Stroińskiego (XVIII w.) oraz malując na ścianach obrazy historyczne. Wykonał też malowidła w Teatrze Wielkim. Malował freski w kościele św. Józefa i zaprojektował witraże w Katedrze lwowskiej. Od r. 1894 malował portrety królów polskich w pałacu Badenich w Koropcu.

Tadeusz Popiel brał żywy udział w życiu artystycznym, od 1895 r. należał do Komisji Znaczców lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Zmarł w Krakowie i spoczywa na Rakowicach.

ANTONI POPIEL

Rzeźbiarz A. Popiel (1865–1910) był młodszym bratem malarza Tadeusza, urodził się w Szczucinie i, podobnie jak jego brat, do szkół uczęszczał w Brodach (gdzie ich ojciec przez pewien czas pracował). Studiował także w Krakowie, potem w Wiedniu. Osiadł we Lwowie, gdzie został profesorem w katedrze rysunku i modelowania na Politechnice (po swoim teściu Leonardzie Marconim). We Lwowie stworzył szereg znaczących rzeźb i pomników, przede wszystkim pomnik A. Mickiewicza na pl. Mariackim (1904), Kornela Ujejskiego na ul. Akademickiej (obecnie w Szczecinie!), a także Józefa Korzeniowskiego w Brodach. Jego rzeźby zdobią we Lwowie Pałac Sprawiedliwości (przy ul. Batorego), fasadę Teatru Wielkiego, głównego dworca kolejowego.

Antoni Popiel zmarł w czasie kuracji w połwowskim Lubieniu i spoczął na Cmentarzu Łyczakowskim.

Maksymilian Jamnicki

Z TAMTEJ STRONY

W Stryju

Nie od dziś zauważamy dobry rozwój organizacji Polaków w Stryju. Ostatnio powstała tam – obok miejscowego oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej – szersza struktura pn. Kulturalno-oświatowe Centrum im. Kornela Makuszyńskiego. Prowadzą je p. prezes Tatiana Bojko jako dyrektor oraz p. Walentyna Bagińska, jako jej zastępczyni. Pani Tatiana poinformowała nas o strukturze tego polskiego Centrum, w którego skład wchodzi następujące jednostki:

- oddział stryjki TKPZL
- drużyna harcaska
- sobotnia szkoła młodzieżowa (14–17 lat)
- biblioteka im. K. Makuszyńskiego
- chór „Los”
- teatrzyk dziecięcy
- kółko taneczne
- „Klub Kobiet”
- kółko lekarzy
- sekcja badań nad *Polonią*.

Wyrażamy nadzieję, że działalność nowego Centrum będzie równie zadowalająca, jak jego przemyślana – zgodna z potrzebami i zainteresowaniami polskiego środowiska – struktura organizacyjna. Serdecznie tego życzymy Pani Prezes i wszystkim Stryjanom.



Tatiana Bojko

Wydarzenia

◆ **Federacja Organizacji Polskich nU.** ma już 10 lat! Zebranie założycielskie odbyło się 25 stycznia 1992 r. we Lwowie. Prezesem została wybrana wtedy p. Emilia Chmielowa ze Lwowa i funkcję tę pełni nieprzerwanie nadal. Główne biuro FOPnU mieści się w Kijowie. O niedawnych wyborach na III kadencję (w r. 1999, w Łucku) pisaliśmy w CL 1/2000.

◆ **Ks. Augustyn Mednis**, obecnie kapłan diecezji łuckiej, obchodził w styczniu swoje 70-lecie. Wierni wielu miejscowości dobrze pamiętają tego kapłana, Łotyusza, który przybył z Rygi na polecenie tamtejszego kardynała Vaivodsa na nasze zniewolone przez sowieckiego okupanta tereny i rozpoczął pracę duszpasterską w Samborze. Kontynuował ją w Szczercu i Chodorowie, obejmując swoją misją zarazem parafie w Stryju, Żydaczowie i Medenicach (k. Drohobyczka). Należał do tych księży, którzy jako pierwsi, jeszcze w warunkach komunistycznego ateizowania i wynaradawiania, przywracali umęczonym Polakom ich religijną i narodową godność.

Do tego samego rzędu kapłanów Łotyśzów, którzy wśród naszych rodaków stali się Polakami z ducha, należał **ks. Władysław Wanags**, wieloletni proboszcz w Gródku Podolskim na Ukrainie (za Zbruczem). Ks. Wanags, budowniczy kilkunastu kościołów w regionie płoskirowskim (*chmielnickim*), zmarł z końcem ub. roku. Pisaliśmy o nim i zamieściliśmy jego zdjęcie w CL 4/97.

◆ **Z ostatniej chwili** (przed zamknięciem numeru): w wyborach, które odbyły się w państwie ukraińskim w dniu 31 marca, przepadł Wasyk Kujbida, dotychczasowy *mer* Lwowa (a raczej *Lwiwa*, bo ze Lwowem wiąże się bardziej *p r e z y d e n t* miasta), osławiony *kawaler orderu św. Grzegorza*. Otrzymał 33% głosów, gdy jego konkurent 54%. Jest nim Lubomir Buniak, dyrektor dużego przedsiębiorstwa.

Min. Andrzej Przewoźnik ma nadzieję, że z nowym *merem*, mniej „ideologicznym”, uda się szybciej doprowadzić do otwarcia Cmentarza Obrońców Lwowa. Liczymy też na to, że za Kujbidą poleci jego szwagier, *cmentarny muzeolog*. Ale jak będzie naprawdę – zobaczymy niebawem.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

HALICZ

Położenie. Miasto powiatowe w woj. stanisławowskim, przy liniach kolejowych (Lwów–) Chodorów–Stanisławów i Stanisławów–Tarnopol. Leży przy ujściu rzeczki Łukiew do Dniestru. W okresie międzywojennym liczyło ok. 3500 mieszkańców. Prowadzono tu handel drewnem i bydłem. Miasto miało cegielnię, huty szkła, olejarnię i kamieniołomy.

Historia. Osada istniała już w IX–X w. Pierwsza wzmianka historyczna o grodzie Halicz pochodzi z 1113 r. i mówi o nim jako o miejscu handlu solą spławianą Dniestrem. W 1144 r. Halicz stał się stolicą księstwa, założonego przez ks. Władymirka Wołodarowicza. Niedługo potem, bo w 1188 r., księstwo halickie połączone zostało z włodzimierskim pod berłem ks. Romana Mściśławowicza. Halicz był wówczas jednym z najważniejszych ośrodków polityczno-kulturalnych i handlowych, leżących na szlaku prowadzącym z Kijowa do Ratyżbony. Około 1152 r. ustanowione zostało halickie biskupstwo prawosławne, które w XIV w. miało godność metropolii, a na przełomie XVII/XVIII w. przyjęło unię brzeską (stając się grecko-katolickim). W XII i XIII w. Halicz był przedmiotem rywalizacji politycznej i militarnej między Polską a Węgrami. Węgrzy zdołali tu osadzić królewicza Andrzeja, a później Kolomana, który przez pewien czas (do 1222 r.) nosił koronę książąt halickich. Po zniszczeniu Halicza przez Tatarów w 1240 r. i przez Litwinów, którzy



POLACY z POLAKAMI

MÓWI PROF. STELMACHOWSKI

Tygodnik „Nasza Polska” 50/01 (red. Kaja Bogomilska) przeprowadził wywiad z prof. Andrzejem Stelmachowskim, prezesem – ostatnio wybranym na kolejną kadencję – Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Oto interesujące nas fragmenty wypowiedzi Profesora:

[...] Wydaje mi się, że jeśli chodzi o Polonię zachodnią, udało się nam rzecz wielka. Chodzi o pozyskanie zaufania. [...] Inaczej jest na Wschodzie. Tam na pierwszy plan wysuwa się działalność pomocowa.

Mamy świadomość, że pomoc, którą dajemy, stanowi kroplę w morzu potrzeb. Niemniej jednak, jeżeli na Białorusi funkcjonuje 14 domów polskich, jeśli na Litwie mamy ciągle 123 szkoły polskie, to jest to wkład o charakterze stałym. W tej chwili zaczęliśmy ofensywę oświatową na Ukrainie, gdzie to szło bardzo opornie. [...] Jak dobrze pójdzie, to na Ukrainie 1 września przyszłego roku [2002] otworzymy trzy nowe szkoły: za Zbruczem, za dawną granicą – w Gródku Podolskim, w Strzelczyskach – to jest wiejska szkoła, i w pogranicznych Mościskach. Staramy się robić wszystko, co jest możliwe w danych warunkach. Organizujemy rozmaite kursy, opiekujemy się zespołami folklorystycznymi, wspieramy grupy charytatywne. [...]

[Polityka asymilacji] jeszcze istnieje, cho-

ciaż trzeba przyznać, że na Litwie wprowadzono autentyczną demokrację. To, że Polacy mają swoją reprezentację w parlamencie litewskim, to, że Polacy mają większość w dwóch rejonach w samorządzie terytorialnym, stwarza nową jakość. Na Białorusi do demokracji we współczesnym tego słowa znaczeniu, jest bardzo daleko. Gospodarka jest kontynuacją dawnego systemu gospodarki sterowanej, opartej o kołchozy, więc mimo że tam odsetek Polaków jest spory, warunki są trudne. Z radością muszę jednak powiedzieć, że Związek Polaków na Białorusi jest silny, liczył w najlepszym okresie 32 tysiące członków.

Na Ukrainie mamy daleko posuniętą przyjaźń i życzliwość na szczeblu rządowym. Na szczeblu lokalnym różnie to bywa. Generalnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że jest zupełnie dobrze na Ukrainie centralnej i wschodniej, i niedobrze – w części zachodniej, gdzie niestety polonizm zderza się z ukraińskim nacjonalizmem.

[...] Prześladowania to za duże słowo. Można mówić o drobnych złośliwościach. O budowę polskiej szkoły w Strzelczyskach staraliśmy się pięć lat... Gdy wreszcie udzielono tej zgody, zaczęły się inne problemy. Odrzucono projekt techniczny, bo nie przewidywał schronu przeciwoatomowego. W wiejskiej szkole! Znane są wszystkim kłopoty z renowacją Cmentarza Orląt w Lwowie. To są wszystko elementy sporu wywołanego przez koła nacjonalistyczne. To nie przeważa, nie jest wykładnią oficjalnej polityki władz, ale dla mieszkających tam Polaków jest bardzo uciążliwe.

KARTA POLAKA

Sprawa Karty Polaka, o której pisaliśmy wielokrotnie, staje się coraz bardziej paląca wobec zapowiedzianego – od 1 lipca 2003 r. – wprowadzenia wiz na teren RP dla obywateli państw za wschodnią granicą. Problemowi temu poświęcone są liczne narady, rozmowy, publikacje w mediach. W ostatniej dekadzie marca Telewizja Polska zorganizowała spotkanie z udziałem przedstawicieli władz RP oraz czołowych działaczy z tamtej strony granicy i Polonii. W spotkaniu wzięli udział: senatorzy T. Rzemyskow-



ski (SLD) i J. Sagatowska (AWS) – przewodniczący i wiceprzewodnicząca Senackiej Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą, posłowie P. Krzywicki (PiS) i Irena Senyszyn, pani Helena Miziniak (Wielka Brytania) – prezydent Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych, oraz panie Halina Romanowa (Rosja) – prezes Kongresu Polaków w Rosji i pani Emilia Chmielowa, prezes Federacji Organizacji Polskich nU.

Prawie wszyscy zebrani okazywali wielką troskę i zastanawiali się nad niezbędnymi rozwiązaniami w kwestii trudności, jakie powstaną dla Polaków z obszarów b. Związku Sowieckiego od chwili wprowadzenia wiz. Wyjątkiem była posłanka Senyszyn, która we wszystkich kwestiach – jak na to zwróciła uwagę p. Prezydent – była *na nie*.

Oto wypowiedź pani Prezes FOPnU, reprezentującej interesy Polaków z państwa ukraińskiego:

Być może, dla Polaków mieszkających w państwach należących do Unii Europejskiej i w państwach na innych kontynentach, sprawy Ustawy o Karcie Polaka i Ustawy o Obywatelstwie nie są na tyle istotne, jak dla Polaków mieszkających w państwach byłego ZSRR. Jeżeli ustawa o Karcie Polaka nie została wprowadzona w życie, powstaje pytanie: czy jest sens ją reanimować, czy też znaleźć inne konkretne rozwiązanie?

Absolutnie oczywiste jest, że nie można uniknąć odpowiedzialności za los tych Polaków, którzy pozostali i pozostaną w kraju swego zamieszkania – na Ukrainie. Należy im się z adopcji i ucywienienie, którego oczekują od wielu lat od swojej historycznej Ojczyzny. Wyrażonym zadośćuczynieniem na dzień dzisiejszy może stać się możliwość przywrócenia i uzyskania przez nich polskiego obywatelstwa, nie tracąc obywatelstwa kraju zamieszkania. Właśnie w tym kierunku powinny być skierowane wysiłki Rządu Polskiego w obecnej kadencji.

Należy zastanowić się, jak wpłynie na Polaków, zamieszkałych na Ukrainie, wprowadzenie wiz od 1 lipca przyszłego roku. Stać na nie będzie ludzi interesu i tych nielicznych, którzy będą mogli sobie na to pozwolić. Zdecydowana większość Polaków – to ludzie biedni, których tzw. „dochody” nie

kilkakrotnie te ziemie najeżdżali, ks. Lew Daniłowicz przeniósł w 1270 r. swoją stolicę do Lwowa, co pociągnęło za sobą upadek księstwa halickiego. Po przyłączeniu do Polski przez Kazimierza Wielkiego, Halicz stał się miastem królewskim, siedzibą starostwa grodowego i stolicą ziemi halickiej, utworzonej z trzech powiatów: halickiego, kołomyjskiego i trembowelskiego. W 1374 r. otrzymał miejskie prawo magdeburskie. W 1379 r. ponownie został na krótko wcielony do Węgier, by w 1387 r. ostatecznie złączyć się z Polską.

W związku z organizacją struktur kościelnych na tamtych terenach, w 1376 r. powstała metropolia rzymsko-katolicka, której stolicą początkowo był Halicz. Wśród metropolitów halickich wybijają się dwie postacie: bł. Jakub Strzebię (Strepa, 1391–1409), organizator życia religijnego i administracji kościelnej, oraz jego następcą, Mikołaj Trąba (1410–12), późniejszy prymas Polski. W 1412 r. stolicę metropolii przeniesiono do Lwowa. Król Władysław Jagiełło w 1427 r. erygował w Haliczu parafię rzym.kat. i ufundował pierwszy kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NMP.

Król Jagiełło dbał też o materialną pomyślność mieszczan halickich, nadając im liczne przywileje. Zamek halicki wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego dał w 1436 r. w dożywocie gospodarowi wołoskiemu, który zwrócił Polsce Pokucie, nadane jego ojcu przez króla Ludwika Węgierskiego. Oprócz zamku miasto miało jeszcze warownię, którą utrzymywało z dochodów własnych. W 1564 r. Sejm Rzeczypospolitej ustanowił Halicz miejscem sejmików szlacheckich, które odbywać się tu miały na tydzień przed sejmikami wiśnińskimi. W Haliczu także odbywały się dokonywane przez tamtejszego kasztelana przeglądy szlachty całej ziemi, która się tu stawała *na popis i okazowanie*.

Halicz ze swoim zamkiem był w XIV–XVIII w. fortecą o dużym znaczeniu obronnym. Rzeczpospolita dbała zawsze o jego fortyfikacje, łożyli na nie także tamtejsi mieszczanie. Gdy w 1627 r. starostwo halickie obejmował Stanisław Rewera Potocki, miasto miało jeszcze wał z trzech stron, a na nim pięć baszt i trzy bramy wjazdowe. Syn Rewery, Andrzej Potocki, który w 1640 r. drogą cesji ojca otrzymał starostwo, zlecił w 1659 r. Franciszkowi Corassinemu z Awinionu, oficerowi piechoty w wojsku koronnym, odrestaurowanie i ufortyfikowanie zamku. Wyłożone na ten cel sumy obliczono na ponad 42 tysiące zł. W rękach rodziny Potockich starostwo pozostawało do rozbiorów, z przerwą około r. 1765, kiedy to posiadał je Feliks Ksawery Branicki. Czysty roczny dochód ze starostwa obliczano wtedy na niemal 60 tysięcy zł. Ostatnim starostą halickim był Józef Makary Potocki, równoczesny starosta czorsztyński.

sięgają nawet progu minimum egzystencji. Czy stać na to będzie emerytów, których średnia emerytura wynosi ok. 17 USD, czy też osoby pracujące, których miesięczne zarobki w większości nie przewyższają 35 USD?

Nie ma wątpliwości, że będzie to kolejna faza odizolowania tych ludzi od Ojczyzny.

W imieniu Polaków mieszkających na Ukrainie zwracamy się do Rodaków, którzy z pewnością mają swoich bliskich lub podopiecznych na Ukrainie. Czy zostaniecie obojętni na fakt ograniczenia lub zerwania żywych kontaktów z rodzinami i rodakami mieszkającymi na Ukrainie, po fakcie wejścia Rzeczypospolitej Polskiej do Unii Europejskiej?

Będziemy wdzięczni za zaangażowanie się w rozwiązanie tego zbliżającego się problemu, oraz poruszenie opinii publicznej w Kraju. W niedalekiej przeszłości istniała możliwość łączenia rodzin, natomiast nadchodząca sytuacja temu najwyraźniej nie służy.

Z ramienia organizacji członkowskich Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie:

Emilia Chmielowa – prezes
Teresa Dutkiewicz – wiceprezes

A P E L

Dla polskiego zespołu artystycznego za wschodnią granicą poszukujemy łaskawego ofiarodawcy następujących urządzeń (mogą być używane, ale w dobrym stanie):

- magnetofon kasetowy i CD, dla sali
- aparatura do nagłaśniania kapeli
- videokamera

Ewentualne wiadomości prosimy kierować na adres:

**Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Płd. Wsch.
31-111 Kraków,
ul. Piłsudskiego 27 „Sokół”**

W Krakowie i dalej

ZŁOTE ODZNAKI

Na wniosek Oddziału Krakowskiego, Zarząd Główny TMLiKPW uhonorował Złotymi Odznakami Towarzystwa:

p. Edwarda Jałoszewskiego, twórcę i patrona rodzinnego zespołu artystycznego PRO-CONTRA, oraz jego wnuczki – członkinie tego zespołu: **Jadwigę Wrońską, Marię Pohorecką i Katarzynę Wrońską**, którym przekazał świadomość historycznej polskości Lwowa – za stałe uświetnianie imprez TMLiKPW w Krakowie;

p. Henryka Kolasę, inżyniera z Energoopolu, który pracując w latach 90. w Bohorodczanach, bezinteresownie zaprojektował i zorganizował – mobilizując również ogół pracowników placówki – wykonawstwo symbolicznego pomnika na zlikwidowanym cmentarzu w Stanisławowie oraz pomnika na miejscu kaźni w Czarym Lesie, a także przyczynił się do częściowej odbudowy i uporządkowania kościoła rzym.kat. w Stanisławowie;

p. Barbarę Kościak, kierowniczkę Klubu „Zaulek” w Krakowie – za nieustającą życzliwość dla polskiej kultury Lwowa – dawnej i dziś tworzonej w warunkach wygnania, za inicjowanie i organizowanie tradycyjnych już listopadowych imprez lwowskich. W Klubie „Zaulek” odbywają się raz na miesiąc spotkania członków Oddziału (drugie po spotkaniach w Kapitularku dominikańskim), również comiesięczne spotkania kół Stryjan, Tarnopolan i Zaleszczykowień oraz zebrania rady redakcyjnej „Cra-covia-Leopolis”;

p. Stanisława Firsta, gospodarza krakowskiego „Sokoła” – za niezmienną życzliwość dla Towarzystwa i pełną wyrozumiałość pomoc w działaniach zarządu Oddziału. Dzięki uprzejmości Zarządu PTG „Sokół”, krakowski TMLiKPW posiada w jego gmachu swoją bazę i korzysta z wielu nieodpłatnych udogodnień;

p. Michała Lasockiego, przewodniczącą ceła Tarnopolan przy krakowskim Oddziale TMLiKPW – za wieloletnie organizowanie pomocy charytatywnej i oświatowej dla odciętych od Macierzy Rodaków w Tarnopolu i Ziemi Tarnopolskiej, za przyczynianie się do podtrzymania zagrożonej tam polskości, za integrowanie środowiska tarnopolan w regionie małopolskim.

Komendę Hufca Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, za wielką życzliwość dla polskiej historii Lwowa i Małopolski Wschodniej oraz bohaterskiego zrywu niepodległościowego Orląt Lwowskich, wyrażającą się w stałym udziale Harcerzy i Pocztów Sztandarowych ZHR w uroczystościach organizowanych przez TMLiKPW w Krakowie, przede wszystkim pod komendą Druha Ryszarda Wcisły, a także w wycieczkach do Lwowa, utrwalających w młodych sercach i umysłach pamięć o tamtej odciętej od Macierzy umęczonej Ziemi.

PODZWONNE DLA „PRZEKROJU”

W styczniu 2002 roku zamknęła się 57-letnia epoka krakowskiego tygodnika, który przez kilka dziesięcioleci był najpopularniejszym polskim czasopismem. Ukazywał się od kwietnia 1945 roku. Jego przeniesienie do Warszawy oznacza praktycznie zagładę, bo już oficjalnie zapowiadana jest zmiana nawet szaty graficznej, nie mówiąc o zawartości i pewnym stylu.

„Przekrój” wychodził w Krakowie, wydaje się jednak, że było to pismo nie tylko krakowskie, raczej galicyjskie, małopolskie. W redakcji od samego początku pracowało także wielu lwowian, współtworzących jego *wizerunek*. Tygodnik często nawiązywał do tradycji wschodniomałopolskich. Publikował wielokrotnie artykuły o Lwowie, o jego historii, kulturze, obronach. Jednak niepowtarzalny styl „Przekroju” po śmierci Mariana Eilego coraz bardziej się rozmywał, ostało się tylko kilka fragmentów, z *Rozmaitościami* na czele.

A teraz *pro domo sua*: kształtując nasz kwartalnik (nie będąc przecież profesjonalistami), staliśmy się przenieść do niego nieco z *przekrojowego* stylu i atmosfery, zwłaszcza coś z owego sympatycznego kontaktu z czytelnikami – jakby kreowania rodziny, która wszystko rozumie i podobnie czuje. Czy nam się to udało?

Mówiąc o historii Halicza, nie można pominąć roli, jaką w życiu miasta od średniowiecza odgrywały klasztory. Najwcześniej, bo już podczas misji św. Jacka Odrowąża, przybyli tu dominikanie i w 1208 r. powstała tam ich placówka. W 1238 r. dominikanie otrzymali ufundowany dla nich klasztor z kościołem pw. św. Anny. Ponownej fundacji po zniszczeniach wojen krzyżackich dokonał Andrzej Potocki, który w 1667 r. kościół odbudował. Dominikanie przetrwali do I wojny światowej.

W 1238 r. Bolesław Wstydlivy sprowadził do Halicza pierwszych franciszkanów, a w 1367 r. przybyli ze Lwowa zakonnicy osiedli tam stałe, wyposażeni dzięki Kazimierzowi Wielkiemu w drewniany budynek klasztorny i kościół pw. św. Krzyża. Po ponownej fundacji przez Mikołaja Blunickiego w 1422 r. klasztor istniał bez przerwy do kasaty w 1787 r. Po kasacie budynek został przebudowany na ratusz. W 1596 r. wojewoda bełski Stanisław Włodek ufundował klasztor franciszkanom konwentualnym, zaś abp J.D. Solikowski przekazał im XIII-wieczny kościół św. Stanisława. Franciszkanie konw. opuścili Halicz dopiero po II wojnie światowej. Na pocz. XVIII w. istniała w Haliczu także misja jezuicka.

Król Stefan Batory zezwolił na osiedlanie się w Haliczu karaimów. Do 1939 r. znajdowało się tam jedno z największych ich skupisk na ziemiach polskich.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NMP, zbudowany na miejscu pierwszego, wystawionego w 1427 r., ufundowany przez okoliczną szlachtę, konsekrowany w 1785 r. Po II wojnie przebudowany na kino. Kościół św. Stanisława z XIII w. – pierwotnie cerkiew św. Pantelejmona, w latach istnienia metropolii halickiej pełnił funkcję katedry łacińskiej. Zachowany portal romański.

Ruiny zamku zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego z końcem XIV w., gruntownie odrestaurowanego w poł. XVII w., zdewastowanego w 1796 r. Ratusz przebudowany po 1787 r. z klasztoru franciszkańskiego.

Czasy obecne. W 1994 r. wspólnota parafialna dostała teren pod budowę nowego kościoła. Nowo wybudowany kościół nosi podwójne wezwanie: św. Hipolita i bł. Jakuba Strzemię. Obsługiwany jest przez księdza dojeżdżającego z Rohatyna.

SUKIEL

Rzeczka – lewy dopływ Świcy. Wypływa w pobliżu wsi Sukiel po wsch. stronie pasma górskiego, będącego odnogą głównego łańcucha wschodnich Bieszczadów (zob. CL 3/97), a które dzieli doliny Oporu i Świcy (obie rzeki zob. CL 2/2000).

Notatki

◆ Inna jeszcze uroczystość miała ostatnio miejsce w krakowskim kościele oo. Kapucynów – nieco wcześniej, niż opisana wyżej Msza św. dziękczynna i intencyjna. W lutym poświęcono tam tablicę upamiętniającą **o. Albina Janochę, kapucyna**, więźnia łagrow sowieckich, sybiraka, kapelana 8. Dywizji Piechoty armii gen. Andersa, a potem duchowego opiekuna byłych łagierników i zesłańców.

O. Albin dostał się do łagru w 1940 r., gdy po agresji sowieckiej prowadził działalność duszpasterską we Lwowie. W 1942 r. został zwolniony i wstąpił do armii polskiej, ale nie opuścił wraz z nią ZSRR. W 1943 trafił ponownie do łagru, a do Polski wrócił dopiero w 1955 r. Był tak zmieniony przeżyciami, że zrazu go nie rozpoznano i nie wpuszczono do klasztoru. Zmarł w ub. roku w Krakowie.

◆ W Święto Trzech Króli odbyła się uroczysta **Msza św. ormiańsko-katolicka** w nowo pozyskanym przez wyznawców tego obrządku kościele Bożego Miłosierdzia w Krakowie. W wypełnionej świątyni odprawił ją duszpasterz krakowskich Ormian (patrz CL 1/01 i rozmowa w CL w CL 3/01) ks. Tadeusz Zaleski-Isakowicz.

Liturgia była sprawowana w języku *grabar* z tłumaczeniem części na język polski. Celebrans wystąpił w oryginalnej szacie liturgicznej, która – wykonana według stare-

go wzoru – jest darem z Lichenia. Inne przedmioty liturgiczne zostały ofiarowane przez wiernych z Armenii, którą ks. Tadeusz odwiedził w ub. roku, w czasie wizyty Ojca Św. Jana Pawła II w tamtym kraju.

Dzień 6 stycznia jest dla Ormian potrójnym świętem: Bożego Narodzenia, Trzech Króli i pamiątką św. Grzegorza Oświeciciela. W tym też dniu tego roku nastąpiło zakończenie uroczystości 1700-lecia Kościoła Apostolskiego Armenii, najstarszego Kościoła całego chrześcijaństwa.

Liturgia ormiańska w Krakowie – jak wyjaśnił ks. Zaleski w swoim kazaniu – będzie łączyła wielowiekową tradycję kształtowaną przez ten Kościół we Lwowie, z uniwersalną tradycją Kościoła Apostolskiego Armenii. Msze św. będą odprawiane w kościółku BM w każdą pierwszą i trzecią niedzielę miesiąca o godz. 12 w południe.

◆ **Prof. Jerzy Janik**, znakomity fizyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Poznańskiego. Urodził się w 1927 r. we Lwowie, studiował na UJ. Fizyka nie jest jedynym tematem jego zainteresowań. Rozważania nad związkiem między nauką a religią doprowadziły Janika jeszcze w latach 50. do spotkania z ks. Karolem Wojtyłą. Wokół tych dwóch osób zgromadziło się grono intelektualistów, a ich początkowe nieformalne spotkania przekształciły się z czasem w seminaria naukowe. Po wyborze kardynała Wojtyły na papieża seminaria zostały przeniesione do Castel Gandolfo. Ich organizatorem jest zawsze prof. Janik, który układa program i starannie dobiera uczestników spośród fizyków, biologów, teologów, filozofów z całego świata. Seminaria odbywają się z udziałem Papieża co dwa lata, było ich już 11.

◆ Rocznice:

■ Przed sześćdziesięciu laty (luty 1942) rozkazem gen. W. Sikorskiego została sformowana w Szkocji I Dywizja Pancerna, wchodząca w skład Korpusu Wojska Polskiego. Jej dowódcą został gen. Stanisław Maczek (urodzony w 1892 r. w Szczercu pod Lwowem, zmarł 1994 w Szkocji).

■ Przed 30 laty (luty 1972) zmarł we Wrocławiu Hugo Steinhaus, wybitny matematyk *lwowskiej szkoły matematycznej*, profesor UJK (ur. 1887 w Jaśle).



Święcenie wody w czasie Mszy św. ormiańskiej

KULTURA NAUKA

DZIESIĘĆ LAT INWENTARYZACJI

Już od 10 lat, każdych wakacji, wyjeżdża z Krakowa ekipa naukowców i studentów starszych roczników z Instytutu Historii Sztuki UJ – na inwentaryzację kościołów rzymskokatolickich na odciętych granicą ziemiach południowo-wschodnich oraz na obszarze ziem ukraińskich, w ramach programu badawczego pn. *Materiały do Dziejów Sztuki Sakralnej na Ziemiach Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej*, realizowanego pod kierunkiem prof. Jana Ostrowskiego. Wydawnicze efekty tych wypraw, wzbogacone o obszerną dokumentację, omawiamy corocznie – właśnie w niniejszym numerze piszemy o świeżo wydanym tomie IX. Rozpoznanie świątyń na terenie Małopolski Wschodniej, a także na Ukrainie, zostało w zasadzie zakończone, obecnie kontynuowane jest opracowanie zebranych materiałów i wydawnictwo kolejnych tomów. Białą plamą pozostaje Wołyń, na który tamtejsza administracja ukraińska nie dopuściła krakowskich naukowców. Szczęśliwie lukę w pewnym stopniu wypełnia – ale pełnowartościowego opracowania inwentaryzacyjno-naukowego zastąpić nie może – piękny album *Świątynie na Wołyniu* ks. J. Wołczańskiego i J. Walczewskiego (który omawialiśmy w CL 2/01).

Trzeba tu dodać, że krakowskie środowisko TMLiKPW jest systematycznie – tradycyjnie w grudniu – informowane o przedmiocie i przebiegu letniej akcji. Tym, który to na spotkaniach w dominikańskim kapitułarzu od samego początku przedstawiał członkom Towarzystwa – najpierw w ekipie jako student, a od kilku lat samodzielnie, już jako doktorant – jest Rafał Quirini-Popławski. Oto jego niedługa, lecz ciekawa biografia oraz rodowód:

Urodził się w 1972 r. w Krakowie. W latach licealnych zajął II miejsce w Ogólnopolskiej Olimpiadzie Wiedzy o Sztuce, co pozwoliło mu na

Biegnie ku pln.wsch. wzdłuż tego pasma i równoległe do Świcy, do której wpada. Długość Sukielu wynosi ok. 40 km (nie licząc licznych meandrów), a nad nim leżą znane wsie Polanica i Bubliniszce (tu punkt wyjścia do atrakcyjnego zespołu skalnego), miasteczko Bolechów oraz wieś Sokółów, ten ostatni w widłach obu wymienionych rzek. (AC)

Uwaga: w CL 2/2000 podano mylnie, że Bolechów leży nad Świcą.

ŚNIATYN

Położenie. Miasto powiatowe w woj. stanisławowskim, położone nad Prutem, przy granicy rumuńskiej, oddalone 92 km od Stanisławowa i 231 km od Lwowa. Przechodzi tędy linia kolejowa (Lwów–Stanisławów–) Kołomyja–Czerniowce. W okresie międzywojennym liczyło ponad 10,5 tys. mieszkańców. Były tu tartaki, młyny, cegielnie, prowadzono handel ziemiopłodami. Parafie obu obrządków znajdowały się na miejscu.

Historia. Po podboju dokonany przez Włodzimierza Wielkiego i przyłączeniu tych ziem do Rusi, powstał tu gród, o który toczyły walki książęta ruscy. Włączony do Polski przez Kazimierza Wielkiego w 1340 r., stał się miastem królewskim. Dzięki położeniu na szlaku prowadzącym na południowy wschód, odgrywał Śniatyn znaczną rolę handlową. W 1415 r. gospodar Aleksander wraz z bojarami wołoskimi złożyli tutaj hołd Władysławowi Jagielle. W tym samym czasie król przyjmował tu posłów cesarza bizantyńskiego, przybyłych z prośbą o pomoc żywnościową dla Konstantynopola otoczonego przez Turków. Kazimierz Jagiellończyk w 1448 r. przeniósł miasto z prawa polskiego na magdeburskie.

Podczas napadu wołoskiego na Pokucie w 1513 r. Śniatyn został spalony, a niedługo potem spustoszony przez morowe powietrze. W marcu 1576 r. panowie polscy witali tutaj Stefana Batorego, przybywającego do Polski po obiorze na króla. Śniatyn był wówczas znów



podjęcie studiów na UJ bez egzaminów wstępnych w zakresie historii sztuki (1992–96). W czasie studiów był prezesem Koła Naukowego Studentów Historii Sztuki, organizował wyprawy naukowe do Turcji i Irlandii. W latach 1994–96 reprezentował UJ w międzynarodowej organizacji studentów najstarszych uniwersytetów europejskich MOSAIC. Swoje studia uzupełniał dzięki stypendiom w Wenecji i Oksfordzie. Jego praca magisterska dotyczyła rzeźby włoskiej, zaś praca doktorska (obecnie na ukończeniu) – związków rzeźby włoskiej z polską rzeźbą romańską.

Zainteresowania kresowe R. Quirini-Popławskiego są związane z jego korzeniami rodzinnymi, głównie ze strony matki (Quirini) – prapradziadek był komisarzem Straży Finansowej w Czortkowie i Rohatynie (pochowany w Bursztynie); pradziadek aptekarzem we Lwowie, był powstańcem styczniowym, a w czasie I wojny należał do lwowskiej Straży Obywatelskiej; dziadek Eugeniusz Quirini – późniejszy pułkownik – przyprzewodził na Oleandry pluton kleparowski, który sam wyszkolił, z II Brygadą Legionów przeszedł kampanię karpacką i wołyńską, później był dowódcą batalionu w 52. pp Strzelców Kresowych w Złoczowie. Brat dziadka, Artur, obrońca Lwowa w 1918 r., był sekretarzem i prezesem Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie, przewodnikiem wycieczek górskich. Stąd fascynacja Rafała Karpatami Wschodnimi i coroczne tam wyprawy w latach 1990–96. Matka, Danuta Quirini-Popławska, profesor historii na UJ, była przez lata aktywna w Komisji ds. Kontaktów ze Środowiskami Polonijnymi na Terenie b. ZSRR, w której działał również jej syn. Korzenie po stronie ojca, arch. Witolda Popławskiego, to Litwa i Polesie.



Rafał Quirini-Popławski

Rafał Quirini-Popławski wraz z gronem kolegów (Andrzej Betlej, Joanna Wolańska, Urszula Kozakowska) współorganizował i uczestniczył w akcji inwentaryzowania i dokumentowania kościołów rzymskokatolickich w Małopolsce Wschodniej i na Ukrainie. Brał udział we wszystkich dziesięciu wyprawach. Jest członkiem zespołu realizującego *Materiały*. Opublikował w nich dotąd 27 monografii kościołów oraz napisał szereg tekstów problemowych, związanych ze sztuką kresową.

Do młodych osób – dziś już dojrzałych naukowców – którzy wcześniej również prezentowali dla Towarzystwa wyniki wypraw, należeli wymienieni Andrzej Betlej (już doktor, obecnie przygotowujący się do habilitacji; tematem jego dysertacji była twórczość Pawła Giżyckiego, architekta polskiego baroku działającego na ziemiach wschodnich) oraz Joanna Wolańska (zajmująca się dziś malarzem J. Rosenem i jego polichromią w lwowskiej katedrze ormiańskiej). Serdecznie im za to wszystko – a przede wszystkim Panu Rafałowi – dziękujemy.

Andrzej Chlipalski

PROF. GRYGLEWSKI UHONOROWANY

W dniu 16 listopada 2001 w *Lwowskim Uniwersytecie Medycznym* uroczystość przeznano doktorat *honoris causa* profesorowi Ryszardowi Gryglewskiemu, kierownikowi Katedry Farmakologii Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uroczystość ta była wydarzeniem niezwykłym, tak ze względu na Osobę uhonorowanego (z pochodzenia jest *kresowianinem*), jak i na swą wielowątkową wymowę. Profesor, odkąd w wyniku rozpadu ZSRR powstały w miejsce dawnych republik *radzieckich* niepodległe państwa, świadomie i konsekwentnie realizuje ideę zbliżenia ich środowisk uniwersyteckich ze światem nauki polskiej, wykorzystując do budowania współpracy swoje wielokierunkowe kontakty i działania, swoje możliwości organizacyjne i swój autorytet naukowy uznawany na całym świecie. Dzięki inicjatywie i pomocy Profesora Gryglewskiego, jego koledzy z tamtejszych uniwersytetów od szeregu lat mają możli-

wość uczestniczenia w konferencjach i zjazdach naukowych, na których prezentowane są najnowsze osiągnięcia nauk medycznych w świecie, mogą publikować swoje prace w czasopiśmie o międzynarodowym zasięgu, a także uczestniczyć w ramach bezpośredniej wymiany w pracach prowadzonej przez Profesora Katedry.

Uroczystość, pomimo listopadowych chłódów, przebiegała w cieplej i ujmującej atmosferze, a odczucie serdeczności i otwarcia dominowało nie tylko w oficjalnych przemówieniach, ale także w bezpośrednich rozmowach Profesora i towarzyszących mu licznych współpracowników, w toku spotkania z gospodarzami po uroczystości. Może taka inicjatywa „porozumienia ponad podziałami” w dziedzinie współpracy uczonych w ściśle określonym obszarze działalności naukowej, jest w stanie przełamać ciągle istniejące opory. Specjalne znaczenie może też mieć fakt, że – po kilku słowach powitania w języku ukraińskim – doktorant zaproponował, iż swój wykład wygłosi nie po angielsku ani po rosyjsku, ale – za zezwoleniem audytorium – po polsku, co też uczynił i co zostało zaakceptowane. A więc dzięki Profesorowi Gryglewskiemu i dzięki uznaniu dla jego osobowości i postawy, w lwowskiej uczelni medycznej zabrzmiał polski język wykładowy. Pamiętajmy wszak, że w tym Uniwersytecie po polsku wykładali profesowie medycyny Wszechnicy Krakowskiej, którzy byli również profesorami Uniwersytetu Lwowskiego, tacy jak Ludwik Rydygier, Antoni Gluziński, Adolf Beck, Henryk Kadyi, Antoni Mars, Emanuel Machek czy Władysław Sieradzki. I także dzięki nim Uniwersytet Lwowski znalazł się w gronie znanych uczelni europejskich.

Maria Chechlińska
prac. naukowej Katedry Farmakologii CMUJ

PŁYTA W ŚWIRZU URATOWANA

Już parokrotnie pisaliśmy o perturbacjach, związanych z płytą nagrobną Gabriela Świrskiego z przełomu XVI/XVII w., która została wyrzucona z kościoła w Świrzu i skazana na zniszczenie. Sprawą zajął się prof. Andrzej Żaki, świrzanin, zamieszkały dziś

zamożnym miastem, słynącym z jarmarków, na które zjeżdżali kupcy węgierscy, wołoscy i Grecy, głównie po wosk, miód, konie i woły. W 1579 r. król zarządził, by kupcy przybywający z Turcji, Wołoszczyzny i Mołdawii zgłaszali swoje towary w śniatyńskiej komorze celnej. W 1589 r., w dzień targowy, Turcy napadli na miasto, podpaliли domy i wprowadzili wielu kupców. W 1598 r. król polecił ówczesnemu staroście, by od kupców przewożących przez Śniatyn gotówkę, pobierał po 6 gr od każdych 10 zł, z przeznaczeniem na budowę zamku. Równocześnie cło płacone przez kupców jadących z towarami na wschód, miało być obracane na poprawienie obronności miasta. Na początku XVII w. musiał Śniatyn ulec jakiemuś poważniejszemu zniszczeniu, skoro w 1613 r. król Zygmunt III uwolnił miasto na lat 8 od wszelkich podatków i danin. W 1618 r. król zezwolił Ormianom i Grekom na osiedlenie się w nowym mieście Śniatynie i na trudnienie się tam handlem i rzemiosłem. Ormianie dostali przy tym zgodę na budowę kościoła oraz na wybieranie spośród siebie starszych i na rządy się na wzór gmin ormiańskich we Lwowie i Kamieńcu.

Okolo 1642 r. starostą śniatyńskim został Piotr Potocki, który wykorzystując położenie Śniatyna na szlaku spędu bydła z Mołdawii w głąb Polski, zajął się na wielką skalę handlem wołami i konkurując tym z miejscowymi kupcami. Twarde rządy Potockiego doprowadziły do dramatycznych zajść w 1646 r. Mieszczanie odmówili płacenia podatku i podnieśli bunt przeciwko staroście, stłumiony przez jego dragonów. Władysław IV wydał do powstańców surowy uniwersał nakazujący uległość staroście, dopóki sąd królewski nie rozstrzygnie sporu pomiędzy stronami. Ostatecznie Potocki zawarł ugodę z mieszczanami, których za opłatą 1000 zł rocznie na utrzymanie zamku, uwolnił od obowiązków żołnierskich. W roku następnym, za pozwoleniem królewskim, wydzierżawił dobra starostwa Janowi Łęskiemu. Potocki w 1643 r. ufundował w Śniatynie kościół i klasztor dominikanów, który przetrwał do kasaty jężeńskiej w 1788 r.

Podczas wojen szwedzkich miasto znacznie ucierpiało z powodu najazdu Siedmiogrodzian. Z tego powodu Jan Kazimierz ponowił w 1662 r. mieszczanom śniatyńskim zwolnienie od wszelkich podatków i innych ciężarów. W 1663 r. luźni stratorzy znaleźli zamek zniszczony przez nieprzyjaciela i brak koniecznych reperacji oraz nakazali poprawę obronności miasta. Starostą śniatyńskim był wtedy Jan Karol Czartoryski. W 1673 r. oglądał Śniatyn Sobieskiego wraz z wojskiem, ciągnącego tędy pod Chocim.



w Szwajcarii, i przy pomocy kilku osób, w tym p. J. Zamojskiej, ks. J. Wołczańskiego oraz dra J. Smazy, poruszył niebo i ziemię, by doprowadzić do uratowania płyty, jej konserwacji i umieszczenia znowu w świrskim kościele.

Gabriel Świrski, syn Andrzeja, urodził się ok. r. 1500. Był fundatorem kościoła w Świrzu (1546–61), ponadto zaś pierwszym tłumaczem fragmentu poematu Wergiliusza *Georgica*, z łaciny na język polski. Spoczął wraz z żoną w podziemiach kościoła. Tam płytę nagrobną odkryto w 1996 r. i wmurowano w kościele w 2001 r. Na płycie widnieją herby *Saława* i *Leliwa*. Łacińska inskrypcja jest częściowo uszkodzona.

Trzeba dodać, że uznanie i podziękowanie należy się księdzu grecko-katolickiemu, który administruje obecnie kościołem w Świrzu, zabranym na cerkiew. Należy on do tej części kleru obrządku wschodniego, której postawa budzi pewne nadzieje na powrót kultury w tamte strony.

Aldona Duch

Kronika

◆ W listopadzie '01 (o czym donosimy z opóźnieniem – przepraszamy) czynna była w Klubie „Zaułek” **wystawa pt. Z Ziemi Lwowskiej**. Swoje obrazy wystawiali lwowianin Tadeusz Knaus (znany nam już z wielkiej wystawy *Obraz na obrazie...* w r. 2000) oraz krakowianin Władysław Szabelski. Ten drugi pokazał pary tematyczne lwowsko-krakowskie: Kopiec Unii Lubelskiej i Kopiec Kościuszki, zaułek placu Mariackiego w Krakowie i zaułek Ormiański we Lwowie – i takich zestawień wiele. Bardzo to było ciekawe. Dziękujemy!

◆ W styczniu w krakowskim Hotelu „Elektor” prezentował swoje malarstwo **Adam Blok**, lwowianin, którego także pamiętamy z tej samej wystawy w r. 2000 w krakowskim „Zaułku”.

◆ Również w styczniu w Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie czynna była wystawa fotograficzna Małgorzaty Ptaszek pt. **Huculszczyzna na co dzień i od święta**. Zdjęcia dotyczyły czasów dzisiejszych.

◆ W tym samym czasie w krakowskim Muzeum Archidiecezjalnym otwarto z inicjatywy ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego wystawę pt. **Pamiętki ormiańskie w Krakowie**. Zgromadzono na niej raczej pamiątki rodzinne niż dzieła sztuki, które były eksponowane przed dwoma laty na wielkiej wystawie w Muzeum Narodowym (patrz CL 1/2000).

◆ Również w styczniu odbył się w krakowskim Dworcu Białoprądnickim **wieczór autorski Jerzego Masióra**. W pięknej sklepionej piwnicy wystąpił nasz Doktor i Poeta (a także prezes i organizator zespołów artystycznych, kompozytor i rysownik – w jednej osobie) wraz ze swoim nowosądeckim zespołem. Piosenki śpiewały już niemal legendarne, choć tak młode: Ania Patykówna (teraz już się inaczej nazywa i ma roczną córeczkę!), Urszula Sołtys i Kinga Pancerz (która jeszcze grała na flecie). Dwa dramatyczne wiersze recytowała przejmująco aktorka Dorota Kaczmarczyk, na instrumencie klawiszowym grał Jan Celewicz.

Mimo oddalenia Dworku od miasta przyszło sporo ludzi, aplauz był ogromny. Dziękujemy Ci Jerzy, a za Twoim pośrednictwem całemu zespołowi.

◆ Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się o ciekawej imprezie, która odbyła się przed rokiem. Był nią **I Międzynarodowy Rajd Historycznych Pojazdów Militarnych** szlakiem 10 Brygady Kawalerii płk. Stanisława Maczka (późniejszego generała) z września 1939 r. Brygada ta, wobec przytłaczającej przewagi nacierającej armii niemieckiej, wycofała się wtedy przez wschodnie Karpaty na Węgry.

W maju '01 kolumna kilkudziesięciu pojazdów wojskowych (niektóre nawet sprzed I wojny światowej) przejechała przez dzisiejszą granicę i dojechała do Lwowa. Tam ustawiono je na Rynku, co wywołało zrozumiałe zainteresowanie mieszkańców. Ze Lwowa kolumna pojechała przez Stanisławów i Kołomyję na stronę zakarpacką.

◆ **Poznański chór „Affabre Concinui”** wystąpił w styczniu z koncertami kolęd we Lwowie i Samborze. O ile czymś normalnym było koncertowanie w lwowskiej Katedrze i samborskim kościele parafialnym, o tyle niemal sensacją był występ w grekokatolickiej cerkwi Przemienienia przy ul. Krakowskiej. Nie było bowiem dotąd zwyczaju, by w świątyni obrządku wschodniego urządzić jakiegokolwiek – nawet takie – występy.

Przy okazji przypomnijmy, że wspomniana cerkiew (po rusku *Preobrażenija*), to dawny kościół Trynitarzy – główna niegdyś placówka trynitarzka w Polsce (artykuł o tym, pt. *Trzy wcielenia lwowskiego kościoła*, opublikował A. Chlipalski w „Semper Fidelis” 2–3/91). Po I rozbiore w klasztorze został przez Austriaków umieszczony lwowski uniwersytet, a kościół stał się jego aulą i biblioteką. W czasie Wiosny Ludów w 1848 r. wszystko spłonęło, a kościół pozostał w pół-ruinie do końca wieku. W końcu na przełomie XIX/XX w. władze zaborcze oddały to grekokatolikom, którzy kościół odbudowali, a przy okazji zepsuli architektonicznie (brzydkie w kształcie i kolorze hełmy na wieżach i kopuła).

◆ W lutym była czynna w Krakowie wystawa malarstwa Ferdynanda Ruszczyca (1870–1936). Obrazy pochodziły z wielu muzeów w RP oraz **wypożyczone z Wilna i Lwowa**.

W latach 1752–88 Śniatyn był siedzibą biskupów bakońskich, przeniesioną tu przez arcybiskupa Hieronima Sierakowskiego z Bakowa na Wołoszczyźnie. W tym czasie starostwo śniatyńskie wciąż należało do intratnych. Lustracja z 1765 r. wykazała, że ówczesnemu staroście Piotrowi Potockiemu, wojewodzie poznańskiemu, przynosiło rocznie ponad 50 tysięcy zł czystego dochodu. Ostatnim starostą śniatyńskim był Michał Ronikier, cześnik litewski, który po rozbiorach przez długie lata pobierał jeszcze przyznaną mu przez cesarza Józefa II pensję na starostwie śniatyńskim.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NMP, murowany, konsekrowany w 1857 r. Przy kościele kaplica, w której również odprawiano nabożeństwa. Druga kaplica na cmentarzu.

Cerkiew parafialna grecko-katolicka pw. św. Mikołaja, murowana. Cerkiew filialna pw. Wniebowstąpienia Pańskiego, drewniana, konsekrowana w 1876 r.

Czasy obecne. Kościół parafialny zwrócony do kultu w 1990 r., w złym stanie technicznym. Książę dojeżdża z Zablótowa.

TŁUMACZ

Położenie. Miasteczko powiatowe w woj. stanisławowskim, w odległości 28 km na wsch. od Stanisławowa, na końcówce linii kolejowej (Stanisławów-) Pałahicze–Tłumacz. Leży nad rzeczką Tłumaczyk, prawobrzeżnym dopływem Dniestru. W okresie międzywojennym liczyło ok. 6000 mieszkańców, fabrykę wódek i likierów, gorzelnię i młyny.

Historia. Brak pewnych wiadomości o początkach Tłumacza, ale z pewnością istniał już w XIV w. i wchodził w skład dóbr królewskich, gdyż w 1386 r. Kazimierz Wielki erygował tu parafię rzym.kat. Prawa miejskie uzyskał w 1403 r. z nadania Władysława Jagiełły. W 1514 r. otrzymał od Zygmunta Starego przywilej na jarmark roczny. Miasto często padało ofiarą najazdów tatarskich. Stało się tak w 1621 r., kiedy to zostało całkowicie spalone, i w 1661 r., kiedy po przejściu wroga pozostało w nim zaledwie trzech mieszczan. Francuski podróżnik w latach 1670–72 wspomina Tłumacz jako *miasteczko z wałami z ziemi i palisadami na nich, ale wszystko w wałach się stanie*. W 1686 r. stanął tu obozem Jan III, przygotowując się do wyprawy włoskiej, i tu odbył przegląd wojsk, zanim wyruszył na Bukowinę. Od końca XVII w. przez całe następane stulecie starostami tłumackimi byli Potoccy h. Piława. W XVIII w. miasteczko podnosiło się z upadku. W 1765 r. było już 161 domów, kościół i dwie cerkwie. Po śmierci Jerzego Michała

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Otrzymaliśmy drugi monumentalny album poświęcony Cmentarzowi Orłąt – zapewne z okazji dawno zapowiedzianego jego otwarcia po odbudowie – niestety, nadal odkładanego. Album ma inny charakter niż tamten pierwszy, omawiany przez nas w CL S/01. Po pierwsze przedstawia dzieje – od chwili zakończenia Obrony – powstania nekropolii Lwowskich Dzieci w latach dwudziestych i wczesnych trzydziestych, a nie historię czasu II wojny, zniszczenia i współczesnej odbudowy (o czym głównie traktuje tamten pierwszy). Po drugie zaś stanowi oryginalne dzieło grafiki książkowej wysokiej klasy. Jego tytuł brzmi: **Cmentarz Obrońców Lwowa. Mortui sunt ut liberi vivamus**. Trzeba wymienić czworo autorów: redaktorkę **Lidię Smyczyńską**, konsultantów prof. **Tadeusza Łodzianę** i dra **Janusza Smazę** (obu znanych z naszych łamów) oraz autora opracowania graficznego **Leszka Hołdanowicza** (wyd. BIS PRESS, Warszawa 2000).

Wartością albumu jest sposób podejścia do materiału fotograficznego. Album jest czarno-biały, z przewagą czerni. Zdjęcia nie są upiększane – przeciwnie, potraktowano je surowo, pogłębiając czarno-białe kontrasty. Teksty są o s z c z ę d n e (i również graficznie potraktowane), zawierają jednak mnóstwo mało znanych lub zapomnianych

szczegółów. We wstępie przytoczono wypowiedzi szeregu działaczy i pisarzy. Na końcu albumu zamieszczono spis osób spoczywających na Orleńcej Nekropolii. Album ma format A4 i 180 stron. Z tych 3/4 to ilustracje, głównie zdjęcia, trochę rysunków z epoki, planików.

Oba albumy uzupełniają się doskonale. A przecież to przypadek, bo przygotowały je dwa niezależne zespoły wspaniałych ludzi i twórców.

📖 Mamy już dziewiąty, opasty tom (380 stron oraz ponad 450 ilustracji) dokumentu naprawdę bezcennego: **Kościóły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego** pod redakcją prof. **Jana Ostrowskiego** (wyd. Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2001). Tom obejmuje pas terenu od Lwowa na południe, aż po Karpaty. Przedstawiono 29 świątyń, w tym 3 w Stryju, różnej wartości i stanu zachowania. Przewagę mają niewielkie kościołki wiejskie lub małomiasteczkowe, w większości zmasakrowane przez sowieckich barbarzyńców. Tylko dwa z nich – w Stryju i w Szczercu – przetrwały II wojnę bez większego uszczerbku. Wiele innych nie istnieje...

Bardzo interesujące dla nas – poza głównym tematem – są zawarte na początku każdego opracowania kościoła opisy historyczne miejscowości, które, podobnie jak w książkach dra T. Kukiza (o czym pisaliśmy w CL 1/02), tworzą podwaliny przyszłego pełnego s ł o w n i k a geograficzno-historycznego Małopolski Wschodniej, w czym i nasz kwartalnik ma niejaki udział.

Wśród opracowanych miejscowości i kościołów widzimy przede wszystkim Stryj i Żydaczów, a także Kochawinę, Żurawno (miejsce urodzenia Mikołaja Reja), bliższe Lwowa m.in. Hodowicę i Nawarię, Szczercz i Siemianówkę, Rozdół (Lanckorońskich), a całkiem na południu Skole (dobrze nam znane z poprzedniego numeru CL), a w sercu gór – Felicental.

To ostatnie hasło przyciąga naszą uwagę jako ciekawostka. Znamy tę nazwę, wycieczka TMLiKPW z Krakowa przejeżdżała tamtędy w 2001 roku (obecnie oczywiście inaczej się nazywa). Domyślaliśmy, że była to kolonia austriacko-niemiecka z okresu zapędów germanizacyjnych Austrii w 1. poł.



wie XIX w. Teraz poznaliśmy szczegóły: wieś nazywała się dawniej Smorze i powstała w XVI w. na mocy przywileju królowej Bony. Właścicielami byli m.in. Wysoczańscy i Kropiwnicy. Po I rozbiórce przejął ją rząd austriacki, a w 1835 r. założono tu kolonie niemieckie Annaberg i Felizienthal, sprowadzając osadników z zachodnich Czech. Dla nich to zbudowano w 1861 r. drewniany kościółek. Niemcy żyli tam do II wojny światowej. Od 1989 r. kościół jest cerkwią prawosławną.

Na marginesie: jesteśmy pełni uznania dla twórców i wydawców serii *Materiały do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej*, nie możemy jednak zrozumieć, dlaczego stosuje się nazwę *województwo ruskie*, a nie np. *Małopolska Wschodnia*, równie historycznie uzasadnioną (i bardziej adekwatną do tematu dotychczasowych tomów, nie mówiąc o względach, których tu rozwijać nie ma potrzeby).

📖 Tę książkę przyjmujemy ze szczególną satysfakcją, ponieważ ucieleśnia ona nasze głębokie i często wyrażane sugestie, by dokumentować wzajemne związki Lwowa z innymi miastami polskimi, szczególnie uniwersyteckimi, ale nie tylko. I nie tylko w naszej powojennej epoce.

W Lublinie, pod redakcją (i zapewne za namową) prof. **Władysława Stażki**, preesa tamt. oddziału TMLiKPW, grono osób spisało ***Lwowsko-Kresowe korzenie wyższych uczelni Lublina*** (wyd. Tow. Miłośników Lwowa i Kresów Płd.Wsch., Lublin 2000). W mieście tym działają dziś, jak wiemy, dwa uniwersytety – KUL i UMCS, a ponadto Akademia Medyczna, Akademia Rolnicza i Politechnika. W książce redaktorzy zamieścili nie tylko artykuły i notki biograficzne powojennych pracowników naukowych, ale omówiono również szeroko *Wkład Uniwersytetu Jana Kazimierza w dzieło tworzenia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego* w latach międzywojennych. W sumie przedstawiono około 230 postaci (w większości ze zdjęciami) różnych specjalności i z różnych okresów XX wieku. Autorami biogramów są – poza samym prof. Stażką – Grażyna Karolewicz, Adam Chruszczewski, Krystyna Harasiemiuk, Andrzej Wróbel, Franciszek Pawłowski i Iwo Pollo.



Potockiego, w 1801 r. Austriacy przejęli dobra tłumackie na skarb państwa, a następnie w 1807 r. oddali je Dzieduszyckim jako częściowy ekwiwalent za Kosów i inne majątki.

Między 1818 a 1829 r. Tłumacz dostał się Henrykowi Dzieduszyckiemu, pionierowi przemysłu cukrowniczego w Galicji, który ok. 1840 r. zainstalował tam urządzenia do wyrobu cukru według stosowanej wówczas technologii, z suszonych buraków. W 1845 r. wydzierżawił cukrownię von Wertheimsteinowi, bankierowi wiedeńskiemu. Po śmierci Dzieduszyckiego majątek popadł w ruinę i w 1849 r. Wertheimstein nabył klucz tłumacki na licytacji. Pod jego zarządem cukrownia, do której wprowadził nowoczesną produkcję ze świeżych buraków, bardzo się rozwinęła i mogła dostarczać dziennie 1500 głów cukru. Obok cukrowni powstała w Tłumaczu fabryka maszyn i narzędzi rolniczych, gorzelnia przerabiająca melasę i młyn parowy, połączony z gorzelnią. W folwarkach tłumackich rozwinięto uprawę buraków cukrowych. Budowano drogi i mosty, osuszano moczary i zamieniano na łąki, podjęto eksploatację torfu. Cała okolica zaczęła podnosić się gospodarczo, jej mieszkańcy znajdowali pracę. W 1853 r. Wertheimstein, który z niewystarczającymi funduszami zaangażował się w działania zakrojone na tak szeroką skalę, zbankrutował. Utworzono wtedy „Towarzystwo Akcyjne dla Fabryki Cukru w Galicji”, które zarząd produkcji oddało Prusakowi, J. Bredtowi. Mimo wszelkich starań o uratowanie cukrowni tłumackiej, w 1876 r. doszło do jej likwidacji.

Zabytki. Park miejski, założony z początkiem XVIII w.

Czasy obecne. Kościół został wysadzony przez okupantów sowieckich w r. 1971/72. Nie ma w Tłumaczu Polaków, natomiast ostatnio do władz zgłosiła się 15-osobowa grupa, która chciałaby pozyskać kaplicę obrządku rzym.kat. na miejscowym cmentarzu.

Wśród uczonych, którzy opuszczając z konieczności Lwów, związali się na stałe z Lublinem, znajdujemy takie znakomite nazwiska jak słynny okulista Tadeusz Krwawicz, geograf i twórca słynnego Chóru Erjana Jan Ernst, chirurg Tadeusz Jacyna-Onyszkiewicz, fizyjatra Tadeusz Kielanowski, biochemiczka i autorka wspomnień Janina Opieńska-Blauth i wiele innych. Ale nie znaleźliśmy nazwisk o. Alberta Krapca, profesora i b. rektora KUL-u, ani prof. Andrzeja Nikodemowicza, kompozytora, który przed ponad 20 laty przeniósł się ze Lwowa do Lublina.


Niech lubelska książka będzie wzorem dla podobnych inicjatyw oddziałów TMLiKPW oraz środowisk uczelnianych. Kilka ośrodków ma się już czym pochwalić w tej dziedzinie, podobno coś powstaje w Poznaniu. Czekamy niecierpliwie!

Ale czy tylko chodzi o uczelnie i tylko o epokę powojenną? Ludzie ekspatriowani ze Lwowa i Ziemi Południowo-Wschodnich zajęli różne stanowiska w administracji, szkolnictwie, instytucjach, przemyśle, przedsiębiorstwach. Byli artyści, literaci, muzycy i inni, którzy odcisnęli swoje piętno na życiu gospodarczym i duchowym Lublina i Lubelszczyzny (nie zapominajmy, że nie tylko stolica się liczy!). I odwrotnie: Lublin we Lwowie. Nie zapomnijmy postaci wielkiego poety renesansu Sebastiana Klonowica, który swoje życie podzielił między Lwów i Lublin. Tak udane dzieło trzeba więc kontynuować!

Nasza Redakcja musi się wytłumaczyć z wielkiego opóźnienia publikacji powyższego tekstu. Został on napisany zaraz po otrzymaniu książki z Lublina – przed rokiem. I utonął w stosie materiałów, pomimo iż książkę tę powitaliśmy z wielkim aplauzem! Proszę nam wybaczyć – poprawimy się zaraz po otrzymaniu drugiego opracowania, do którego wyżej zachęcamy!

Miło nam, że wykorzystaliście herby z przygotowanej przez nas pocztówki (autorem graficznego opracowania herbów był nieżyjący już art. plastyk Bohdan Prądzyński). Przymierzamy się do wydania drugiej takiej kartki, bo dalsze herby zebraliśmy dzięki naszym Czytelnikom.


Również opóźnione jest (z tych samych co powyżej powodów) omówienie książki s. Marii Eny, Autorkę bardzo przepraszamy! W obu sprawach próbujemy się niniejszym zrehabilitować.

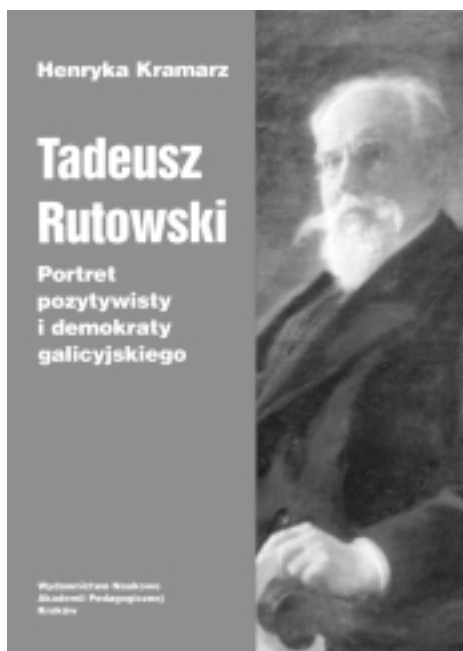
 **S. Maria Ena**, niepokalanka z Jazłowca, nadesłała nam opracowaną przez siebie książkę zatytułowaną **Gdzie miłość dojrzała do bohaterstwa**, a poświęconą życiu, cnotom i zasługom siostry Wandy Garczyńskiej, niepokalanki, urodzonej w roku 1891 we Lwowie i zmarłej w 1954 r. w Warszawie. Jakkolwiek najbardziej owocny okres życia s. Wandy był związany z Warszawą i Szymanowem (od 1933 aż do śmierci, z roczną przerwą na pracę w Wałbrzychu), to jednak los sprawił, że pierwszą i najdłuższą część tego życia spędziła we Lwowie i Jazłowcu i tam została ukształtowana do przyszłej służby Bogu i ludziom.

Wanda Garczyńska urodziła się w starej i niegdysz zamożnej rodzinie szlacheckiej, jednak wyśadzanej z siódła i osiadłej we Lwowie i Brzeżanach. Dziadek Wandy, Leon Syroczyński był rektorem Politechniki Lwowskiej, dwie ciotki niepokalankami w Jazłowcu.

Po latach szkolnych spędzonych u Niepokalanki w Niżniowie i Jazłowcu (matura w 1910 r.) Wanda Garczyńska podjęła pracę nauczycielki we Lwowie. Brała udział w Obronie Lwowa w 1918 r., a w wojnie bolszewickiej była pielęgniarką.

W 1926 r. mając lat 35, zdecydowała się wstąpić do zakonu. Ten dojrzały dla s. Wandy okres życia przebiegał najpierw we Lwowie, potem w Jazłowcu, Jarosławiu i najdłużej w Warszawie, w klasztorze przy ul. Kazimierzowskiej. Przed II wojną, w czasie jej trwania i w latach powojennych była nauczycielką i pełniła różne funkcje klasztorne. Ale głównym akcentem jej życia było dobro potrzebujących, szczególnie ujawniło się to w czasie wojny, kiedy – wykazując wielką odwagę fizyczną i moralną – aktywnie opiekowała się ludźmi w sytuacjach zagrożenia życiowych, wykazując wielką odwagę fizyczną i moralną. Uratowała wiele dzieci żydowskich i za to została odznaczona medalem „Sprawiedliwy wśród narodów świata”.

 Znakomicie wprowadzona w problematykę historii Lwowa – także dzięki wielokrotnym podróżom naukowym do bibliotek i archiwów pozostałych pod Wysokim Zamkiem – pani profesor **Henryka Kramarz** napisała biografię wielkiego prezydenta Lwowa: **Tadeusz Rutowski. Portret politywisty i demokracji galicyjskiego**. Nazwisko T. Rutowskiego wiąże się w pamięci



szerszego ogółu przede wszystkim z jego dzielną postawą w czasie I wojny światowej i deportacją do Rosji jako zakładnika w 1915 r. Nie jest to jednak jedyny powód do szacunku dla tej wybitnej i zasłużonej dla Lwowa postaci.

Tadeusz Rutowski przyszedł na świat w Tarnowie w 1852 r. – na rok bieżący przypada więc 150-lecie jego urodzin – w rodzinie ziemiańsko-inteligenckiej (był synem burmistrza Tarnowa). Ukończył studia prawnicze w Wiedniu, podjął pracę dziennikarską, a nawet wydawał własne pismo. Po kilku latach działalności w Krakowie przeniósł się w 1884 r. do Lwowa. Tu redagował pismo *Rocznik Statystyki Przemysłu i Handlu Krajowego*, angażując się w życie gospodarcze i społeczne. W 1887 r. został posłem do austriackiej Rady Państwa, a w dwa lata później do Sejmu Krajowego. W 1905 r. powołano go na stanowisko wiceprezydenta miasta Lwowa (pracował jako pierwszy zastępca kolejnych prezydentów Michała Michalskiego, Stanisława Ciuchcińskiego i Józefa Neumanna).

Na nowym stanowisku zajął się przede wszystkim tzw. regulacją miasta, a w dziele tym współpracował najbliżej z inż. Ignacym Drexlerem, wytyczając wspólnie kierunki rozwoju urbanistycz-


nego Lwowa. Zabiegał o tworzenie infrastruktury miejskiej oraz podnoszenie walorów estetycznych ulic i osiedli.

Interesując się sztuką i historią, angażował się w życie kulturalne miasta, zakładał towarzystwa literacko-artystyczne, urządzał wystawy. W 1897 r. założył Miejską Galerię Obrazów, spowodował zakupy dla niej dzieł sztuki, w tym wielkich nazwisk zagranicznych i krajowych z różnych epok. Dalej założył Muzeum Narodowe im. Króla Jana III, zakupując w tym celu w 1908 r. tzw. Kamienicę Królewską przy Rynku (od Lubomirskich). Zabiegał o wybudowanie Pałacu Sztuki, co jednak nie doszło do skutku.

Najbardziej jednak znanym powodem do chwały Rutowskiego była jego godna postawa w czasie okupacji Lwowa przez Rosjan w 1915 r. Po rozsypaniu władz galicyjskich uznano go – jedyne go z elity, który w mieście świadomie pozostał – za prezydenta miasta. Wykazał wtedy wielką energię i takt w różnych formach ochrony i wspierania bytu i zdrowia ludności.

Gdy Rosjanie wycofali się ze Lwowa, zabrali zakładników, w tym prezydenta Rutowskiego. W Rosji spędził dwa lata, wykazując tam ogromną aktywność patriotyczną na rzecz polskich Legionów. Powrócił entuzjastycznie witany. W czasie jego nieobecności przemianowano ul. Teatralną, gdzie mieszkał, na Rutowskiego. Niestety po roku dalszego zarządzania miastem, u progu niepodległości, Tadeusz Rutowski zmarł w marcu 1918 r.

Był człowiekiem wielkiego prestiżu i autorytetu moralnego, znakomitym organizatorem we wszystkich przejawach życia miasta i jego ludności. Był wybitnym lwowianinem i Polakiem.

 Kraina, którą (od XVI wielu) nazywamy Małopolską Wschodnią, a którą kiedyś określano jako Ziemię Czerwieńską, w pewnych okresach zaś jako Ruś Czerwoną (czy Halicką), potem województwo ruskie (niby jako spadek po owej Rusi) – była we wczesnym średniowieczu obszarem słabo zaludnionym, jeśli przykładać miarę terenów ją otaczających po stronie zachodniej, albo – za górami – południowej. Ludność autochtoniczną, przynajmniej w zachodniej części tego obszaru, mniej więcej po rzekę Stryj, stanowili we wczesnym średniowieczu

(wczesnym – w rozumieniu tej części Europy, a nie Europy w ogóle) zachodniosłowiańscy Lędzianie, współtworzący naród polski, były to jednak peryferie ich osadnictwa. Nic dziwnego więc, że na ziemię tę napływała ludność z różnych stron i z różnych powodów.

Można to, upraszczając, sprowadzić do trzech kierunków:

1) wschodniosłowiańscy Rusini, uchodzący przed Tatarami, którzy w pewnym okresie całkowicie podporządkowali sobie Ruś Kijowską i liczne skłócone między sobą księstwa, jakie tę Ruś tworzyły;

2) zachodniosłowiańscy Polacy, dla których kraj lędziański był ziemią swoją, a polska tam obecność była niezbędna dla obrony kraju przed najazdami ze wschodu (właśnie owych Tatarów, którzy – jak dobrze pamiętamy – w 1241 r. doszli aż pod Legnicę);

3) zakarpaccy Wołosi – w istocie mieszana ludność z południowych Karpat: Wołosi (wraz z Mołdawianami tworzący w przyszłości naród rumuński) oraz Węgrzy z Siedmiogrodu.

Oprócz wymienionych przybywali tu też Niemcy, penetrujący wszelkie kierunki w Europie i wnoszący wiele w zakresie cywilizacji zachodnioeuropejskiej, Żydzi, Ormianie – kupcy i rzemieślnicy, opanowujący szlak handlowy z Bliskiego Wschodu, a także inni, którzy w naszej historii odegrali mniej istotną rolę.

Spośród wymienionych nacji najmniej wiemy o Wołochach, chociaż z podstawowych faktów zdajemy sobie sprawę: zasiedlili oni puste do tamtego czasu północne Karpaty i ich podnóża, w poszukiwaniu nowych obszarów do wypasu bydła. Ich potomkami, choć już nie czystej krwi, są Huculi, Bojkowie i Łemkowie.

O imigracji wołoskiej i ich organizacji na nowym terenie napisał książkę **Grzegorz Jawor** pt. **Osady prawa wołoskiego i ich mieszkańcy na Rusi Czerwonej w późnym średniowieczu** (Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2000). W pracy tej pokazano zasięg imigracji wołoskiej, nie ograniczającej się do obszarów górskich. Pasterze wskazali niejako drogę – potem, do XVI w., napłynęła szeroka fala ludności rolniczej i rzemieślniczej, która zorganizowała własne osady i rządziła się swoimi prawami.

Brzemienny dla naszej historii był jednak fakt, iż ludność ta wyznawała prawosła-




Zasięg średniowiecznego osadnictwa wołoskiego na Ziemi Czerwieńskiej

wie, podobnie jak wcześniej przybywający tu Rusini. Jest więc logiczne, że Wołosi, odcięci od swojego dawnego kraju i społeczności swego pochodzenia, zaczęli się łączyć z ludnością prawosławną – ruską, bo od Polaków oddzielała ich religia, tradycyjny obyczaj, pismo (Rumunia dopiero w 2. połowie XIX w. przeszła na pismo łacińskie). Z czasem nastąpiła więc *rutenizacja* Wołochów, ale i oni dali swój wkład w kulturę tego obszaru. Przytoczmy, co na ten temat pisze autor książki:

[...] Również analiza porównawcza poszczególnych elementów kultury ludowej zarówno materialnej, jak i duchowej (zwłaszcza muzyki i instrumentów muzycznych, tańca, magii, oraz zdobnictwa i górskiego budownictwa – zarówno świeckiego, jak sakralnego), popularna zwłaszcza w okresie międzywojennym wśród przedstawicieli nauki rumuńskiej, utwierdziła ich w przekonaniu, iż jest to wynik dawnych migracji. Do podobnych wniosków doszli też R. Reinfuss i Z. Stieber podkreślając, że wspólnych cech, jakie łączą mieszkańców Karpat w dziedzinie kultury, nie można wyjaśnić bez uwzględnienia omawianych migracji. Zdaniem tych autorów wkład ten był niewspółmiernie duży

w porównaniu z liczebnością emigrantów. Dość często, zarówno w historiografii polskiej, jak też czeskiej i słowackiej, wyrażane jest przekonanie o bałkańskich lub siedmiogrodzkich wzorcach organizacji górskiego wypasu owiec w północnych Karpatach. Podobieństw doszukuje się też czasem w sposobie wykonywania konkretnych przedmiotów i organizacji produkcji rzemieślniczej, w przypadku zawodów uznawanych w literaturze przedmiotu jako typowo wołoskie. [...] (w naszym kwartalniku pisaliśmy o tym parokrotnie – patrz np. nr 3/97, 3/01). Jedyne górna, bogatsza warstwa Wołochów (podobnie jak Rusinów) dołączyła do wyżej ówczasie postawionej ludności polskiej, głównie szlachty. To przecież oni przynieśli do Polski herb „Sas”, którym pieczętowała się później duża część miejscowego ziemiaństwa w Małopolsce Wschodniej, z Dzieluszyckimi na czele.

G. Jawor rozwiewa szereg mitów, głównie nie-polskiej proveniencji. Przykładowo: znany historyk ukraiński M. Hruszewski (przełom XIX/XX w.) częste zatargi polsko-mołdawskie na Pokuciu interpretował woluntarystycznie jako antypolski ukraiński ruch narodowy w Halickiem, co nie znajduje oczywiście żadnego pokrycia w źródłach.

 W wieku XIX Lwów zyskał bardzo wiele. Stając się stolicą kraju – miasta jednego z kilkunastu większych w Polsce, które co prawda już w ubiegłych wiekach systematycznie wzrastało, a w dwóch ostatnich stuleciach przeskoczyło była, zdegradowaną stolicę Rzeczypospolitej – rozwinął się w metropolię. Największy rozwój Lwowa nastąpił w okresie autonomii galicyjskiej, czyli od lat 60., to jednak w owych wcześniejszych kilkudziesięciu latach postęp był niemały. Nie mamy tu na myśli jedynie rozwoju urbanistycznego, ale przede wszystkim tworzenie się kultury nowoczesnego, stołecznego miasta.

Przypomnijmy niektóre ważne progi rozwoju: 1817 – narodziny Ossolineum, 1842 – otwarcie teatru *Skarbkowskiego*, 1844 – powstanie szkoły technicznej, która z czasem rozwinęła się w Politechnikę, 1841 – podjęcie zasklepienia pierwszych odcinków Pełtwi, co poza efektem sanitarnym zaowocowało powstaniem reprezentacyjnych arterii miasta. I tak dalej.

Powstanie tych inwestycji idzie w parze z rozwojem kultury duchowej. Uniwersytet jest co praw-

da jeszcze zniemczony, ale wielka biblioteka i wielki teatr są polskie. W mieście tworzy się warstwa inteligencji o coraz szerszym *spectrum* pochodzeniowym i zawodowym, a obok intelektualistów miejscowych, pojawiają się liczni przybysze – przykładem dziedzina muzyki: uczeń Chopina Karol Mikuli lub syn wielkiego Amadeusza – Franciszek X.W. Mozart. Rozwija się prasa, powstają wydawnictwa książkowe.

Tak się jednak w Polsce składało, że w miastach mieliśmy niedostatek mieszczaństwa i inteligencji. Do tej drugiej wchodziło trochę zubożałej szlachty – poprzez swoich wykształconych przedstawicieli, jednak mieszczaństwo (przede wszystkim kupiectwo, ale i drobni urzędnicy), obok niewielkiego odsetka całkiem zdeklasowanej szlachty, to w przeważającej mierze nie Polacy z pochodzenia: miejscowi Żydzi i Ormianie (choć trudno ich stawiać w jednym rzędzie) lub napływowi Niemcy, Czesi, nawet Francuzi. Wszyscy polszczyli się szybko, w drugim pokoleniu byli przeważnie Polakami (i patriotami, uczestnikami naszych powstań).

Szczególnym zawodem, na pograniczu kupiectwa i inteligencji, było księgarstwo. Szczególność ta odnosiła się również do pochodzenia: tu, jak i w sferze urzędniczej, element napływowy mieszał się ze szlacheckim.

Klasyycznym przykładem tej właśnie sfery była rodzina księgarska W i l d ó w, której znakomity znawca tamtej właśnie epoki i Lwowa **Zbigniew Sudolski** poświęcił książkę pt. **Walka z życiem. Korespondencja lwowskiej rodziny Wildów** (Wydawnictwo „Ancher”, Warszawa 2001). Sudolskiego znamy jako autora książki *Jeremi* o Kornelu Ujejskim, którego postać i w tej książce przeżywa się nader często. Epokę i nastrój książki oddaje doskonale dobrana ilustracja na okładce: litografia z początku XIX w. (a raczej jej zgrabnie spreparowane fragmenty, co można sprawdzić, porównując z ilustracją nr 3).

Karol Wild założył w 1796 r. trzecią we Lwowie księgarnię (wcześniej byli już Piller i Pfaff), a w 1811 pierwszą wypożyczalnię – obie mieściły się przy ul. Krakowskiej. W latach 1816–19 wydawał czasopismo „Pamiętnik Lwowski”, przekształcone następnie w „Pszczołę Polską”, a potem jeszcze

„Pamiętnik Galicyjski”, jednak wszystkie upadły z braku prenumeratorów. Wydał własnym nakładem kilka książek, był dostawcą nowości do Ossolineum.

Kontynuatorami firmy byli syn Ludwik, zięć Edward Winiarz (który potem miał własną znaną firmę), a wreszcie młodszy syn Karol Kazimierz, który uczynił z firmy Wildów jedną z przodujących w Galicji. Uruchomił działy antykwarski i nutowy oraz map i obrazów, wydawał „Dziennik Literacki” i inne pisma. Wydawał książki nie byle jakie, lecz wybitnych autorów, jak Szajnocha, Ujejski, Szujski, Łoziński i wielu innych.

Żoną Karola Wilda II była Leonia z Maciejowskich, córka lwowskiego lekarza i Francuzki. Cechowały ją uroda i wrażliwość, talent towarzyski i muzyczny, toteż w jej salonie zbierała się elita kulturalna miasta – literaci, uczeni, muzycy. Leonia miała niestety nieuleczalną w tamtej epoce gruźlicę, toteż dalsze lata jej życia zdominowały wyjazdy dla ratowania zdrowia – głównie do Meranu* (gdzie zresztą zmarła w 1878 r. w wieku 44 lat).

Wymianie listów między Karolem i Leonią Wildami oraz ich korespondencji z innymi osobami poświęcona jest omawiana tu książka. Jest to znakomita kopalnia wiedzy o Lwowie pierwszych trzech ćwierci XIX wieku, o ludziach tamtej epoki, ich problemach, obyczajach, interesach, a także – poezji, która

wyrażała szczególne uczucia między Leonią Wildową a Kornelem Ujejskim.

* Uzdrawisko Meran (Merano), ówczesnie w austriackim południowym Tyrolu, obecnie we Włoszech. Tak się złożyło, że nazwa Meranu padała w poprzednim numerze CL, w artykułach o Zaleszczykach, zwanych niegdyś *polским Meranem*.

📖 W Bibliotece „Cracovia-Leopolis”, po *Listach ze Lwowa* K. Makuszyńskiego i *Zadwórze – Polskie Termopile* S.S. Niciei, pojawiła się nowa pozycja: **Tadeusza Kamińskiego *Tajemnica Czarnego Lasu*** (Kraków 2001), jako trzeci tomik tego zasłużonego już wydawnictwa. Przez stanisławowian została przyjęta z radością i wzruszeniem, gdyż jest to opracowanie od dawna oczekiwane i szczególnie ważne.

W oparciu o dokumentację znawcy tematu, Adama Rubaszewskiego, T. Kamiński daje nam prawdę o eksterminacji polskiej inteligencji w Stanisławowie w czasie niemieckiej okupacji 1941–44. We wstępie autor krótko przedstawia zarys historii miasta, jego dzieje w czasie *międzywojnia*, a dalej obu okupacji, sowieckiej i hitlerowskiej. Jako młody jeszcze chłopiec był świadkiem stosunków panujących po wkroczeniu wojsk sowieckich i działań NKWD w Stanisławowie, podaje cały szereg danych, ilustrujących tragiczną scenerię wywozu Polaków na *niehumanitarną ziemię* oraz cierpienia wsi polskich w czasie „krwawych żniw” ukraińskich organizacji OUN i UPA.

Książka jest jednak poświęcona głównie tragedii mordu nauczycieli i innych przedstawicieli polskiej inteligencji w sierpniu 1941 r. – dramatu, który nigdy nie został rozliczony do końca (z niewiadomych przyczyn...), wyciszony w PRL. Autor przytacza szereg szczegółów tych strasznych dni, wplatając równocześnie dane, odnoszące się do głównych sprawców masakry: braci Mauerów.

Bardzo ważnym walorem opracowania jest załączona na końcu książki lista ofiar (ok. 140 nazwisk). (MJ)

📖 Życiorys **Stanisława Klimpla** wyznacza kilka zacnych miejscowości: miejsce urodzenia – Krościenko (to podbieszczadz-

Leonia i Karol Wildowie wg współczesnego portretu



kie, a nie pienińskie), Chyrów (konwikt jezuicki), Lwów (gimnazjum i lata dorosłe), Dobromil (pierwsze lata samodzielności), a w końcu Katowice i Warszawa (też zająca?). Tamte dawne dokumentował kolejnymi książkami: *Skąd nasz ród*, *Jak przeżyłem trzy okupacje* oraz serii: *W dolinie Strwiąża* (dotyczy okolicy, w której autor się urodził, dziś po polskiej stronie jałtańskiej granicy), *W dolinie Wyrwy* oraz *W dolinie Pełtwi*.

W dolinie Wyrwy (wyd. Instytut Lwowski, Warszawa 2001) to wspomnienie z okresu pierwszej okupacji sowieckiej, spędzonej w Dobromilu. Autor snuje opowieść niemal dzień po dniu, opisuje codzienne sprawy, pracę na poczcie, sąsiadów i współpracowników – w tym Rosjan przybyłych z odległych stron. I tu dla nas rzecz zaskakująca, niespotykana w żadnych innych wspomnieniach tamtego czasu: autor traktuje tych przybyszów – swoich kolegów w pracy, przełożonych, przedstawicieli władzy, a także rodziny wszystkich wymienionych, jako część normalnego krajobrazu. Traktuje ich poważnie i podobnie poważnie traktuje tryb pracy w swoim urzędzie, wynikające tam problemy – jakby nigdy nic. Szczęśliwie Stalina nie zalicza do tej, jakby akceptowanej rzeczywistości. To prawda, że wśród napływowych Rosjan i innych nacji radzieckich bywali ludzie zwykli, życzliwi, kulturalni – a biedni, którzy nigdy nie zaznali normalnego życia i często tak samo cierpieli, jak my wtedy. Jednak nic nie zmienia faktu, że ówczesna sytuacja była okupacją, a napływowi Rosjanie – okupantami.

W dolinie Pełtwi (wyd. UKiP J&D Gębka, Gliwice 2001) to wspomnienie 20 lat spędzonych pod Wysokim Zamkiem (1927–46), w których mieści się 2-letni epizod dobromilski, opisany w tomie wyżej wspomnianym. Autor mieszkał najpierw z rodziną, potem już z żoną i dziećmi w paru miejscach Lwowa, o dość dużym rozrzucie: na Zamarstynowie i na Bogdanówce (za rogatką Gródecką), w blokach na Stryjskiej, przy ul. Ukośnej (znowu blisko Gródeckiej rogatki), a na koniec przy ul. Jakuba Strzemię (przy parku Stryjskim).

Lwowskie wspomnienia Stanisława Klimpla mają jakby dwie części: *historyczno-chronologiczną*, związaną z biegiem lat i miejscami zamieszkania wyżej wyliczo-

nymi, oraz *problemową* (szkoła i studia prawnicze, praca, wojsko, sport, a wreszcie wojna).

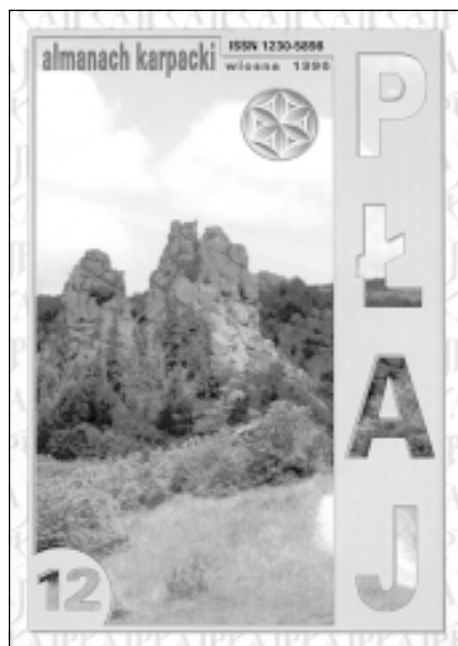
Obie książki Klimpla nie cechują się szczególnymi wartościami literackimi ani pogłębioną refleksją. Są jakby opowiadaniem dla rodziny, przyjaciół, kolegów. Dotyczą jednak t a m t y c h stron, wydarzeń i ludzi, i dlatego ciekawe dla nas wszystkich. Ich zaletą jest opis życia, sytuacji, obyczaju. Jest nieco dobrych informacji geograficzno-krajoznawczych (czego nigdy za wiele), a przede wszystkim ta właśnie, przewijająca się przez strony książek ogromna masa ludzi z różnych miejsc, środowisk i pokoleń. Dla naszej redakcji – kiedy zabraliśmy się do *indeksu wschodnich Małopolan* – wartość nieoceniona!

Maria Jordan (MJ), Marek Wenecki

Jest co czytać (28)

PLAJ ZNACZY ŚCIEŻKA

Kontynuując omawianie również czasopism ogólnych i specjalistycznych, które dla Ziemi Wschodnich rezerwują na swych łamach stałe miejsce (w CL S/01 i 4/01



pisaliśmy o Biuletynie Instytutu Pamięci Narodowej i „Spotkaniach z Zabytkami”), przedstawiamy kolejne pismo, w którym – nie bez powodu – szczególną część Ziemi Wschodnich traktuje się bodaj najszerzej. Pismem tym jest półrocznik „**Almanach Karpacki PŁAJ**”, o którym wspominaliśmy już w CL 4 /98, wydawany od 1986 r. w Warszawie. Zacytowaliśmy wtedy założenie programowe Redakcji co do przedmiotu zainteresowania tego pisma. Jest nim – powtórzmy – *świat gór w przestrzeni i czasie*, a na tym płaju można odnaleźć *oprócz śladów kierpców i racic, także ślady podkutych butów pierwszych turystów czy rzuconych tu przez kolejne wojny żołnierzy*. Wschodnie Karpaty pasują do tych słów jak ulał.

Wcześniej omawialiśmy numery 3, 4, 8 i 10, teraz mamy kilka następnych – niestety nie wszystkie, bo pismo rozchodzi się szybko, choć nie jest najtańsze – obecnie kosztuje 16 zł.

Tematyka jest niezwykle różnorodna i dotyczy zagadnień przyrodniczych, turystycznych, historycznych, artystycznych, a także współczesnych. Naszych krakowskich Czytelników może – z racji niedawnej wycieczki – zainteresować nr 18, niemal w całości poświęcony Skolszczyźnie (8 artykułów), a także w nrze 12 artykuł o skalnych atrakcjach tej okolicy – Uryczu, Bubniszczu, Rozhurczu. O dawnej turystyce letniej i zimowej pisała Zofia Tyska, która wraz z mężem prowadziła znane schronisko na Maryszewskiej (oboje zostali zamordowani przez Ukraińców), co przypomniano w nrze 12. O wycieczkach współczesnych pisze Tadeusz Petrowicz w nrach 14 i 19 (kiedyś i u nas był jego tekst i wiersz).

O kulturze huculskiej i bojkowskiej czytamy w nrze 13 (St. Vincenz) i 16, a o kolonizacji józeffińskiej (koniec XVIII w.) m.in. w rejonie Dobromiła, Sambora, Drohobycza, Stryja, Doliny i Katusza – w nrze 19. O ochronie przyrody w Czarnohorze dawniej i dziś – w nrach 15 i 18. Wodospady i jeziora w Karpatach Wschodnich opisano w nrze 16, a o *darabach* na Czeremoszu dwa artykuły w nrze 15.

Na temat Legionów znajdujemy dwa artykuły w nrze 12, o ochronie granicy w 16. W tym ostatnim także o rozwoju kolei. O obozach polskiego harcerstwa w tamtych górach, od czasów Andrzeja i Olgi Małkow-

skich po czasy dzisiejsze, można przeczytać w nrze 15.

Nr 14 zawiera aż trzy artykuły traktujące o możliwościach odbudowy naszego obserwatorium na Popie Iwanie. O farze w Drohobyczu pisze Tadeusz Trajdos w nrze 13, zaś w 15 znajdujemy dwa felietony K. Makuszyńskiego o Stryju.

Wymienione tematy wschodniokarpackie nie wyczerpują oczywiście zawartości „Płaju”, choć stanowią większość. Poza tym pisze się o Karpatach w dzisiejszych granicach RP (najwięcej o Beskidzie Niskim i Bieszczadach – słusznie, bo czy można wiecznie pisać o Tatrach, Pieninach i Babiej Górze?). Sporo materiału znajdujemy o Spisz i Orawie poza granicami RP, o Bukowinie i Karpatach rumuńskich, o Zakarpaciu i Siedmiogrodzie.

Pismo może więc zainteresować nie tylko miłośników turystyki górskiej i ludzi gór oraz miłośników Ziemi Wschodnich. Każdy znajdzie w nim coś dla siebie.

Kazimierz Selda

Wertując wydawnictwa

➔ Już w parę tygodni po pamiętnej, ubiegłorocznej wizycie Ojca Świętego **odbyła się w Przemyślu wystawa i ukazał się album fotograficzny** pt. *Papież Jan Paweł II we Lwowie. Czerwiec 2001*, a wszystko dzięki Muzeum Narodowemu Ziemi Przemyskiej, któremu od niedawna dyrekturuje pan Mariusz Olbromski. Autorami fotografii są członkowie B&W Group (co tłumaczy się *Black and White*, czyli czarno-białe, bo tylko takie zdjęcia są przez grupę uznawane). Jest ich siedmioro: dwóch Polaków z Przemyśla, dwoje Słowaków oraz dwóch Ukraińców i Rosjanin, żyjący we Lwowie. Tym ostatnim jest Aleksy Jutin, *nadworny* fotograf lwowskiego Polskiego Teatru, którego znamy z wystawy w Krakowie, opisaną w CL 2/01.

Zdjęcia dokumentują te *dwa szalone dni* we Lwowie, kiedy normalne życie zatrzymało się, a Lwów ogarnęła gorączka w napięciu dotąd nieznanym. Suma eksponowanych fotogramów dobrze oddaje nastrój tamtych 48 godzin. A nam najbardziej podobały się zdjęcia Aleksego. Album do dostania w Przemyślu.

Naszym zdaniem

... skąd ich ród

Środowiska *liberalno-postępowe* coraz szerzej propagują w Polsce przekonanie, że współczesny człowiek „oświecony” nie przywiązuje żadnej wagi do tego, gdzie się urodził, gdzie wyrósł, w jakim kraju mieszka i jakim posługuje się językiem. Krótko mówiąc: nie czuje związku z własnym narodem, z własnym, rodzimym terytorium, z ziemią, która go wydała i ukształtowała. Lansuje się portret człowieka obecnej doby jako bezpaństwowca, który nie interesuje się zupełnie czy m s t a k i m jak własny naród. To przekonanie określone środowiska liberalne starają się wmówić rzeszom naszych współziomków, a zwłaszcza młodzieży.

Już średnie pokolenie – nie mówiąc o starszym – dobrze pamięta, jak to sowioci usiłovali przez całe dziesięciolecie stworzyć pojęcie *narodowości radzieckiej*, obejmującej wszystkich mieszkańców ZSRR. Nie udało się, bo udać się nie mogło. Podobne fiasko poniosą dzisiejsi propagatorzy *narodowości europejskiej*. Ten, kto posiada elementarną wiedzę na temat historii poszczególnych narodów – i kto myśli w sposób samodzielny – wie, dlaczego jest to niemożliwe. Oburza jednak prymitywne kłamstwo mówiące, że przynależność narodowa, państwowa, że umiłowanie rodzimego języka są współczesnemu mieszkańcowi Europy i świata zupełnie obojętne. Niniejszy felieton, przytaczając prawdziwe zdarzenia, chce zaprzeczyć propagandzie antynarodowej i fałszywym twierdzeniom liberalnych *myślicieli* i *intelektualistów*. Są to zdarzenia z czasów schyłkowej komuny. Przekonany jestem, że nic się nie zmieniło dzisiaj w patriotycznym myśleniu zniewolonych wówczas ludzi. Odzyskana niepodległość, choćby formalna, wzmocniła jeszcze ich narodowe odczucia. Podane przykłady mają pewne odniesienia także do naszych Kresów Wschodnich.

Swego czasu znalazłem się wraz z zaprzyjaźnionym teatrem w Rumunii – w Oradei. Na bankiecie po przedstawieniu poznałem miejscową recenzentkę teatralną. W trakcie rozmowy oświadczyła, że jest Węgierką, i opowiedziała mi o swoich perypetiach związanych z pracą zawodową. Jako rusycystka z wykształcenia uczy tego języka w wiejskiej szkole podstawowej, odległej od Oradei o... 50 kilometrów. Gdzieś bliżej nie było dla niej miejsca – nie jest przecież Rumunką, tylko przedstawicielką węgierskiej mniejszości narodowej. Codziennie dojeżdża pociągiem do pracy i z powrotem po 50 km. Szczególnej wymowy dodawał jej opowieści fakt, że Oradea leży na historycznie czysto węgierskim terytorium Siedmiogrodu, tuż za dzisiejszą granicą Węgier.

Poruszony jej wyznaniem pytam – w najlepszej wierze – dlaczego uparła się, by mieszkać w Rumunii, dlaczego nie wyjedzie na stałe na Węgry? Milczy chwilę, patrzy wymownie i nagle wybucha: – *Tu jest węgierska ziemia! Niech pan powie swoim rodakom mieszkającym we Lwowie, żeby wyjechali do Polski, żeby uciekli, opuścili rodzinną ziemię, zdradzili ją!* Przyznam, że zrobiło mi się okropnie głupio.

Drugie zdarzenie (istniał jeszcze Związek Sowiecki), opowiedziane mi przez zaprzyjaźnionego, dużo młodszego kolegę. Nosi on nazwisko o brzmieniu typowym dla ziemi wileńskiej, może też nowogródzkiej, będące zresztą pochodną nazwy konkretnej miejscowości. Kiedy skończył studia, ojciec postanowił pokazać synowi, skąd się wywodzą. Udali się więc na Wileńszczyznę. W Wilnie mój kolega, bardzo jeszcze naiwny, chciał koniecznie zademonstrować swą bliskość etniczną i narodową. Zagadnął wówczas w sklepie młodą ekspedientkę: – *Gawaritie po polski? Na swoje pytanie otrzymał spokojną odpowiedź: – Nie, proszę pana, ja mówię po polsku.*

Obrazek trzeci: jestem w Tallinie, przywiózł mnie tutaj z Moskwy sowiecki kolega redaktor. Nasz gospodarz, miejscowy dziennikarz, rodowity Estończyk, proponuje wieczorne wyjście do teatru na spektakl klasyki światowej (Szekspir?, nie pamiętam). Przedstawienie w Narodowym Teatrze Dramatycznym. Rozumuję logicznie: chodzi o *narodny teatr*. Głośno potwierdzam swoje rozumowanie: – *Rzecz będzie grana po rosyjsku?* Estoński kolega spogląda na mnie dziwnie i powiada bardzo złą ruszczyznę: – *To jest teatr narodowy, a więc estoński, a nie rosyjski. A jutro pokażę ci „pole śpiewacze”, gdzie na Święto Pieśni – narodowej, estońskiej – przyjeżdża każdorazowo 250 tysięcy ludzi. Jest nas niewiele, musimy starannie pielęgnować własną kulturę muzyczną i śpiewaczą.*

Szybko obliczam w myślach: Estonia ma dziś (1977) około miliona 400 tysięcy mieszkańców [licząc z niemowlętami i starcami – przyp. red.]. A więc zjawia się tutaj na raz ponad jedna szóstka narodu!

Ireneusz Kasprzysiak

Postscriptum:

Od pięćdziesięciu lat mieszkam w Krakowie. Znam to miasto niemal na pamięć. Zwłaszcza to dawniejsze, które tu zastałem w 1951 r. Znam dobrze bliższe i dalsze okolice, przede wszystkim na południe od Krakowa, w stronę Tatr. A jednak każdego roku jadę na wypoczynek na swoją *ścianę wschodnią*. Na dzisiejsze kresy, skąd pochodzę. Dlaczego tak robię? Rozumieją to doskonale ci wszyscy, którzy postępują podobnie jak ja – jeśli oczywiście posiadają własne miejsce na ziemi... (IK)



Z prasy dowiedzieliśmy się, że jeszcze wcześniej, bo kilka dni po wizycie Papieża we Lwowie, ukazał się inny album: *Trwajcie w jedności*. Znalazło się tam 200 zdjęć autorstwa Waldemara Sosnowskiego. Tej pozycji nie widzieliśmy, nie mamy o niej bliższych informacji. Może ktoś z Czytelników widział ten album?

➔ **O księdzu Pawle Heintschu** słyszeliśmy już dawno, niestety nie było dotąd okazji zetknąć się z jego twórczością bezpośrednio. Nadarzyła się wreszcie okazja dzięki p. Marii Sajdak, zamieszkałej k. Gorlic – jej ciekawy list cytowaliśmy w CL 3/01, a dwa wiersze (wraz z notką biograficzną) Księdza drukujemy w tym numerze. Przepraszamy za opóźnienie.

Pani Maria przysłała nam wspomnienia ks. Heintscha pt. *Wilki, owce i pasterze* (wyd. Towarzystwo Miłośników Miasta Warki i Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego, Warka 2000) oraz tomik *Sto wierszy* (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999).

W pierwszym Książdz opowiada o swoim lwowskim dzieciństwie i latach młodzieńczych. Pochodzi z rodziny lekarskiej, zaprzyjaźnionej z rodzinami innych poetów: Herbertami i Baczyńskimi. To środowisko oraz historia i kultura Lwowa, a także udział w konspiracji wojennej ukształtowały jego osobowość, która wraz z poetyckim talentem legły u podstaw jego subtelnej twórczości poetyckiej. Warto zaznaczyć, że wysoko cenili tę twórczość prof. Juliusz Kleiner, a tendencyjnie nieprzychylną (!) opinię mieli... Józefa Hennelowa i Wojciech Żukrowski (co uważać należy oczywiście za najwyższą pochwałę dla Poety).

Książki można zamawiać u Autora pod adresem: ks. Paweł Heintsch, Dom Księży Emerytów, 05-400 Otwock, ul. Geislera 18/8.

➔ W ciągu ostatnich czterech lat ukazały się trzy tomiki wierszy Marzanny Fiałkowskiej-Pyzowskiej, z zawodu aktorki. Utwory autorki zyskały bardzo szybko uznanie za niezwyklej umiejętność powiązania konstrukcji swych utworów z rodzajem przesłania i refleksji, które chce wyrazić. Motywem, który niezwykle silnie wybija się w utworach poetki, są nękające obrazy z dzieciństwa, związane z wojną. M. Fiałkowska-Pyzowska urodziła się we Lwowie i z tamtych stron zapewne pochodzi wojenne koszmary. Uczyła się po wojnie w Kielcach, w 1959 r. ukończyła Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie i przez prawie 30 lat grała w krakowskich teatrach. Choroba przerwała jej intensywny kontakt ze sceną. Tytuły tomików: *Karetą nocy* (1996), *Wszystko przysypał dąb* (1997), *Twarze uczuć* (1999). Oto wiersz z tego ostatniego, zatytułowany *Mamo*:

Mamo
urodziłaś mnie
po raz drugi
w przydrożnym
rowie nakrywając
ciałem
jękiem katiusz
krzykiem armat
dziś
załęknionym spojrzeniem
gubionymi przedmiotami
mylonymi dniami
rozpływasz się
ja nic więcej
już
przepraszam
Mamo

➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” (28/02) – jako ilustrację artykułu Michała Rożka, poświęconego śmierci i pogrzebowi króla Jana III – pokazano stronę tytułową wydania sprzed 120 lat *Hymnu Jubileuszowego [...] ułożonego z powodu obchodu 200 letniej rocznicy odsieczy Wiednia 12 września 1883*. Stronę zdobi rysunek Juliusza Kossaka, pod nim zaś umieszczono nazwiska lwowskich autorów dzieła: **Muzyka Karola Mikulego, Słowa Władysława Be-**



MUZYZKA KAROLA MIKULEGO
SŁOWA WŁADYSŁAWA BELEY

zy. I jeszcze dopisek małymi literkami: *Z lit. A. Przyszłaka przedt. Tow. przem. Lwów.*

W przyszłym (2003) roku przypadnie 320 rocznica Odsieczy Wiedeńskiej i 270 rocznica przeniesienia zwłok króla z Warszawy na Wawel (1733). A gdyby tak Chór „Organum” na tę okazję zechciał wykonać ów utwór lwowskich twórców? Może przy okazji udałoby się go zaśpiewać na dziedzińcu Kamienicy Królewskiej przy lwowskim Rynku?

Z taką *propozycją nie do odrzucenia* zwracamy się do Profesora Bogusława Grzybka!

➔ W tej samej gazecie nr 18/02 wyczytaliśmy, że w 1928 r. odbyły się w K r a k o w i e obchody 10-lecia **ogłoszenia niepodległości przez Ukrainę** (czyli w roku 1918). W obchodach wzięli udział przedstawiciele... władz miejskich oraz konsulowie Niemiec i Czechosłowacji. Darujmy sobie komentarz.

➔ Całkiem dla nas nieoczekiwanie w nowym tygodniku „Newsweek Polska” (polska wersja pisma amerykańskiego) ukazują się artykuły **poświęcone Lwowowi i Małopolsce Wschodniej**. Ich autorem jest Andrzej Tomasz Solecki – jak wyjaśniono – geolog z Uniwersytetu Wrocławskiego, którego *hobby* jest historia, a jak wynika z tematyki artykułów – właśnie tamtych ziem.

W nrze 13/01 przeczytaliśmy (*Od bolszewików do King Konga*) o lotnikach amerykańskich, którzy w 1920 r. walczyli o polski Lwów. Byli pilotami w eskadrze im. T. Kościuszki. Jeden z nich, Merian C. Cooper stał się po latach twórcą słynnego niegdyś filmu

King Kong. Ci, którzy zginęli, spoczęli na Cmentarzu Orłąt.

W nrze 6/02 (*Galicyskie początki rewolucji*) autor przypomniał, że u podstaw rewolucji techniczno-kulturowej, którą spowodowało odkrycie zastosowania ropy naftowej, leżał wynalazek Ignacego Łukasiewicza, dokonany we Lwowie, a okolice Drohobycza stały się pierwszym na świecie zagłębieniem wydobywania ropy. Pierwsze użycie lampy naftowej do oświetlenia miało miejsce w 1853 r. w aptece Mikolascha we Lwowie, a pierwszym, oświetlonym w ten sposób budynkiem był w tym samym roku lwowski Szpital Powszechny. Pierwszą lampę skonstruował we Lwowie blacharz Adam Bratkowski – pokazaliśmy ją w CL 1/02.

➔ Dość szeroko relacjonujemy, lub bodaj notujemy, wiadomości i artykuły prasowe, ale dotąd nie omawialiśmy **audycji radiowych lub programów TV**, poświęconych n a s z e m u tematowi. A szkoda, bo w ciągu lat było ich wiele. Najwyższy czas, by także media audiowizualne wprowadziły do tej rubryki (choć jej tytułu zmieniać nie będziemy). Czytelników prosimy o informowanie nas o widzianych lub słyszanych programach, bo sami nie jesteśmy w stanie wszystkiego (ani nawet części) złapać.

22 lutego rano w II programie Tadeusz Łomnicki, nieżyjący już aktor (pan Wołodajowski!), opowiadał o swoim życiu i ze wzruszeniem wspominał własną *małą ojczyznę*. Urodził się w Podhajcach, gdzie mieszkali jego rodzice, matka była lwowianką. Na ekranie pokazano sporo starych zdjęć ze Lwowa i Podhajec.

26 lutego widzieliśmy film o Marianie Hemarze, nakręcony w Anglii z okazji obchodu w Londynie zeszłorocznego stulecia urodzin Poety. Na ekranie telewizora zobaczyliśmy cały *polski Londyn* z prezydentem Kaczorowskim na czele i cały *londyński Lwów* – na czele z paniami Władą Majewską, Renatą Bogdańską-Anders i Ireną Delmar. Ale przede wszystkim było wiele zdjęć ze Lwowa i piosenek Hemara o Lwowie.

7 marca TV „Polonia” urządziła spotkanie dyskusyjne na temat studiów młodzieży polskiej ze Wschodu w RP. Udział wzięli przedstawiciele Ministerstwa Edukacji i profesorowie uniwersytetów, a także młodzież z państw za obecną wschodnią granicą. Punktem wyjścia dyskusji była obserwacja, iż większość absolwentów, którzy

otrzymali stypendia na studia w Polsce, w większości nie wraca już do państw swego zamieszkania, oddalając założony na wstępie cel: podniesienie standardu społecznego polskich mniejszości narodowych. Dlatego dojrzeła koncepcja zmiany systemu stypendialnego: RP będzie – poprzez „Wspólnotę Polską” i różne fundacje – udzielać stypendiów na studia w miejscu urodzenia. Miałyby to (niezależnie od stron ujemnych) szereg pozytywów: po pierwsze – pozwoli na zwiększenie liczby stypendiów, po drugie – rozszerzy wachlarz specjalności zawodowych, po trzecie – nie wyizoluje młodych ludzi z ich środowiska, po czwarte – pozwoli uniknąć trudności z uznaniem polskich dyplomów w tamtych państwach i ułatwi otrzymanie pracy, a wreszcie po piąte – da realną nadzieję na odbudowę polskiej inteligencji w tamtych państwach. Mówiono również o możliwości powstawania filii polskich uczelni w niektórych ośrodkach za wschodnią granicą.

➔ Uniwersytet Jagielloński wydaje interesujący i efektowny periodyk (kwartalnik?) „Alma Mater”. Wpadł nam w ręce nr 32/lato 2001, w którym **znaleźliśmy ciekawę *leopolitana***. Najważniejsze to artykuł *Przybliżanie Lwowa*: A. Cieślak i D. Grodowska-Kulińska relacjonują swoje poszukiwania dokumentów historii Uniwersytetu Lwowskiego w lwowskich archiwach i bibliotekach. Powodem jest podjęty w Archiwum UJ – kierowanym przez prof. J. Michalewicz – zamiar opracowania dokumentacji dziejów tej 340-letniej uczelni (dokument powołujący akademię we Lwowie podpisał król Jan Kazimierz w lutym 1661 r. Był to trzeci uniwersytet polski, po krakowskim i wileńskim Stefana Batorego). Z uznaniem i satysfakcją witamy inicjatywę ba-

dawczą kolejnej krakowskiej instytucji naukowej, dotyczącą historii i kultury Lwowa.

W artykule P. Hordyńskiego Ekslibris Polski Międzywojennej wymieniono dwóch lwowskich twórców tych drobnych form graficznych: Rudolfa Męckiego (1887–1942) i Ludwika Tyrowicza (1901–80). Tego pierwszego ekslibris biblioteki zamku w Pomorzanach (Potockich, k. Przemysłań) pokazujemy obok.

Warto przypomnieć, że postać R. Męckiego była eksponowana na wystawie czterech czołowych bibliofilów lwowskich XX wieku (obok F. Biesiadeckiego, A. Semkowicza i M. Opalka), zorganizowanej wspólnie przez krakowski oddział TMLiKPW oraz Bibliotekę Jagiellońską w 1994 r.

Ostatnie, to właściwie nie *leopolitanum*, lecz *stanislawovianum*. W rozmowie R. Pagacz-Moczarskiej z Tadeuszem E. Witkiewiczem, niedawno zmarłym Wielkim Mistrzem Rycerskiego Zakonu Bibliofilskiego, dowiadujemy się, że pierwsze kino na ziemiach polskich powstało w Stanisławowie w r. 1907 i funkcjonowało do wybuchu II wojny światowej. Prowadził je inżynier Leon Harasiewicz. Miało 200 miejsc, cieszyło się dużą frekwencją, filmy były jeszcze nieme.

➔ W „Rzeczypospolitej” 58/01 przeczytaliśmy, że najwybitniejszą polską kolekcjonerką w XIX w. była nie księżna Izabella Czarotorska (swoje zbiory z puławskiej Świątyni Sybilli udostępniła publiczności dokładnie 200 lat temu, w 1801 r.), lecz... **Gabriela Zapolska we Lwowie**. Przebywając w Paryżu pod koniec XIX w. zebrała obrazy van Gogha, Gauguina, Pissarra, Seurata i innych wybitnych malarzy, uznawanych w tamtej epoce za nowoczesnych. Następnie przywiozła je do Lwowa i wystawiła. W Krakowie pokazała je w 1911 r. Niestety musiała swój zbiór sprzedać, gdy popadła w tarapaty (nie tylko finansowe – jej upadek przedstawiła nam Nina Repetowska przed paru laty w „Zaułku”, a także na gościnnych występach we Lwowie – patrz CL 3/98).

➔ Występująca w krakowskim Teatrze Nowości w styczniu 1919 r. słynna amerykańska gwiazda filmowa polskiego pochodzenia **Pola Negri** (1896–1987) przekazała część swego wynagrodzenia na pomoc dla Lwowa, znękanego wtedy walkami z Ukraińcami (o czym przypominał „Dziennik Polski” 13/02).

Jarosław Marczuk



Listy do redakcji



Otrzymaliśmy następujący list od ks. biskupa Stanisława Padewskiego, rezydującego we Lwowie:

Szanowny Panie Redaktorze,
Przekazano mi Nr 3/2001 „Cracovia-Leopolis”, gdzie sam Pan Naczelny podsumował moje poczynania na Ukrainie jako „niegodne i niesprawiedliwe”.

Proszę wybaczyć, że są na blankiecie naklejki z jubileuszowego roku, ale świadomie wybieram te kartki, żeby dogodzić Pańskiemu dobremu smakowi, gdy chodzi o łacinę, o którą także Pan się dopomina.

[Przepraszamy za wtręt – nasza aluzja była chyba dość czytelna. Z trojga złego łacina bardziej stosowna.]

[...] Nie będę się ustosunkowywał do poszczególnych wypowiedzi i pouczeń mentorskich Pana Redaktora, ale skoro występuje Pan w todzie „magistra elegantiarum” [?], to chciałoby się powiedzieć: więcej taktu, Mistrzu! bo to, co Pan ujął w szare ramy jest niegodziwe i niesprawiedliwe.

Dał Pan też przykład osobliwej stylistyki i kultury choćby w takim sformułowaniu: „Ksiądz biskup może go (Kościół, SP) uszczęśliwić swoim biskupstwem – jak na Redaktora Naczelnego bądź co bądź kwartalnika, a nie „Echa Krakowa” [?] – niesmaczne.

[Proponujemy rzecz rozpatrywać w kontekście, a nie w oderwaniu.]

Ale nie o tym chcę pisać. Na s. 26 jest zamieszczony artykuł autora N.N. (?!?) „Kościół a język ojczysty” na kanwie jakiegoś listu ze Lwowa, a właściwie z Zbrucza, nie wiecie, kto jest autorem tego listu.

[Odpowiadamy: nie wiemy, podobnie jak nie wiedziały redakcje „Dziennika Kijowskiego” i „Myśli Polskiej”, które również ten tekst wydrukowały. Ale cieszymy się, że list „poszedł w Polskę”.]

Pozwalam sobie załączyć podobny tekst autora z Zbrucza, gdyż treść jest podobna, a chodzi mi o to, żeby Wasz Zespół Redakcyjny był nieco lepiej zorientowany w tutejszych realiach.

Moja odpowiedź na wystąpienie Autora z Zbrucza była wysłana do redakcji „Myśli Polskiej”, ale list polecony wrócił z powrotem do Lwowa, nie wiem dlaczego nie został przyjęty, czyżby nam odmawiano prawa do obrony?

Wyślijcież kiedyś ekipę na kilka miesięcy na Ukrainę, niech poczują „smak” tutejszego życia i paradoksów. Jestem tu już 14 lat i wszystkich niuansów nie rozgrzyłem, a Wy z za miedzy wszystko wiecie?!

[Cóż, my to znamy nie tylko z za miedzy. Znamy dobrze sytuację po obu stronach Zbrucza. Jeździmy tam i przyjmujemy ludzi stamtąd. Rozmawiamy z działaczami i zwykłymi ludźmi. Relacje nie są budujące, a list Ks. Biskupa i załączniki raczej utwierdzają nas w ponurym nastroju.]

I logiki nie ma w niektórych Waszych zarzutach. Lwów jest milionowym miastem, ma kilka parafii rzymskokatolickich. Nie ma ani jednej mszy św. w języku ukraińskim, choć są Ukraińcy rzymskokatolicy i dopominają się o to. Chciałoby się za Panem użyć oceny: niegodne to i niesprawiedliwe.

[Ale tylko o we Lwowie, bo tam środowisko polskie jest silne i zdeterminowane. Nie jesteśmy pewni, czy z tymi „dopominającymi się” Ukraińcami to nie mitologia, mamy inne głosy. Proszę wybaczyć.]

Wszystkie insynuacje pod moim adresem, jakie drogą szeptaną i drukowaną są rozpowszechniane, uzasadniają moją prośbę o zamieszczenie w Waszym kwartalniku artykułu Stanisława Kosteckiego i moją odpowiedź: *Kościół w Ukrainie krzywo postrzegany z Gródka Podolskiego* – gdyż tam wyjaśniam pewne nabołałe sprawy. Będzie to z Waszej strony: godne i sprawiedliwe.

[Z przedrukowania tych tekstów zrezygnowaliśmy – wyjaśnienie na s. 12. A swoją drogą nie jesteśmy pewni, czy ich odbiór byłby zgodny z zamierzeniami Ks. Biskupa. Zamieszczamy natomiast dwa inne teksty.]

A tak na marginesie dodam, że Episkopat Polski nie miesza się do wewnętrznych spraw Kościoła na Ukrainie, świadom, że biskupi tutaj wiedzą, jakie środki ewangelizacji stosować, by były skuteczne.

[Czy odrzucanie języka polskiego należy do środków ewangelizacji? Jako katolicy mieliśmy i mamy lepsze wyobrażenia o ewangelizacji.]

Zdarzały się natomiast przykre dziennikarskie „niewypały” [?] i interwencje Przewodniczącego Episkopatu Kardynała Mariana Jaworskiego były bardzo ostre. [Nie komentujemy]

[...] z poważaniem i życzeniem także dla Was: więcej taktu!

Bardzo dziękujemy.

Pochlebne dla nas słowa znalazły się w liście napisanym z Warszawy przez p. prof. Annę M. Komornicką do naszej

redakcyjnej koleżanki, p. Barbary Czałczyńskiej (cytuujemy je za zgodą Pani Profesor):

[...] przy okazji tego listu chcę Pani i całej Redakcji wyrazić mój podziw dla wielu zalet, które CL posiada. Bez sztucznej emfazy – kocham Was za niezwykłą obiektywność przy przytaczaniu tekstów już dziś historycznych – z okresu międzywojennego i całego PRL-u oraz przy komentowaniu ich. Nie ma słodzeń, upiększeń, zamazywania drastycznych momentów. Zło jest nazwane złem, a dobro – dobrem. Jesteście unikalni w czujnym przestrzeganiu realiów i szczegółów – tak jeśli chodzi o sprawy merytoryczne (nieuzasadnione krytyki lub aprobowanie spraw karygodnych), jak i nazewnictwo, poprawność polszczyzny, wyśmiewanie idiotycznych anachronizmów, które bujnie kwitną wśród ps[eu]do-historyków od 7 boleści! – macie 100% racji! Pisząc po polsku o przedwojennych kresowych miejscowościach – zbrodnią językową jest podawanie ich w zruszczonej formie.

Pamiętam gdy w pełni socjalistycznej PRL'ki, wyrabiając sobie paszport, wypisałam w ankiecie: miejsce urodzenia = Lwów, kraj = Polska, sadystyczny chamidron z UB kazał mi wpisać ZSRR. Tłumaczyłam, że gdy się rodziłam to była Polska, nawet próbowałam się podmasłać mu: „wpiszemy Polska (obecnie ZSRR)”. Usłyszałam w odpowiedzi: „wy będziecie dyktować funkcjonariuszowi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jak pisać w paszporcie!”. Ze łzami (wściekłości) w oczach zareplikowałam: „to dlaczego nie pisać Lwiv, i najlepiej cyrylicą!” – Podobna sprawa powtórzyła się przy dowodzie osobistym.

Cenię Waszą Redakcję za odwagę przekonania, za mądry patriotyzm, bez szowinizmu czy zacietrzewienia – i za cięte, dowcipne uwagi wobec autorów artykułów czy książek, którzy [...] bardziej lub mniej rozmyślnie przeinaczają fakty. Ocalacie i zachowujecie polskość naszego Podola, którą *per fas et nefas* tyle lat starano się oczerniać lub wykazywać – że nie istniała. I robicie to bardzo niebanalnie i wszechstronnie – sylwetki uczonych lwowskich, wspomnienia wojenne i powojenne kresowiaków, poezja, historia miejscowości – bezcenna „szara kolumna” w każdym numerze. Ileż wzruszenia budzą te nazwy,

tak dawno niewidziane – głośno powtarzam ich dźwięk. I oczywiście wydarzenia współczesne, ludzie i towarzystwa – którzy tyle mają zasług w utrzymaniu polskiego języka, szkoły, w urzędowaniu rocznic na tej rdzennie polskiej ziemi. [...]

Bardzo dziękujemy Pani Profesor.

Pisze do nas z Bytomia p. dr Józef Juzwa, zaleszczykowiec, którego dwie części artykułu o Szosie Zaleszczyckiej wydrukowaliśmy w poprzednim i niniejszym numerze:

[...] Nie mam wielu zeszytów kwartalnika „Cracovia-Leopolis”, ale w nr. 4/2000 relacja z jednego ze zjazdów *Rodziny Zaleszczyckiej* była mojego pióra. Tam też dowiedziałem się, że Jadwiga z Łobzowa – na której *Polakach* wychowałem się od dziecka, jest moją najbliższą „sąsiadką” z Tłustego w pow. zaleszczyckim. Moja mama czytała nam, dzieciom, *Trylogię, Pana Tadeusza i Polaków* [...]

Wstyd się przyznać, ale my dotąd „Polaków” nie czytaliśmy! Trzeba będzie to gdzieś pozyczyć.

A taki oto „polemiczny” list nadszedł ze Lwowa w związku z naszą odpowiedzią w CL 4/01 na list pani Jadwigi Jamróz:

Panie Andrzeju! Nie zna Pan faktów, a udaje Pan sędziego. Pani Jadwiga Jamrózówna ma rację, a nie Pan. W kaplicy Jabłonowskich nigdy nie było konfesjonału bp. Kiernickiego. Stał tam czasowo konfesjonał z kaplicy św. Józefa. A konfesjonał bp. Kiernickiego stoi jak stał przy kaplicy Złotej – Najśw. Sakramentu. To tam wieszano stulę, portret i dawano kwiaty. Niech więc Pan lepiej popyta się, zanim napisze inne głupstwo. Więcej skromności!

Maria... (nazwisko nieczytelne, kartka częściowo oberwana. Ze zdenerwowania?)

No cóż, mocno powiedziane. Mimo to dobrze pamiętamy ów konfesjonał z portretem, stulą i kwiatami, stojący d ł u g o na przeciw pomnika abpa Bilczewskiego.

Czekamy na dalsze listy. Z pozdrowieniami

Redakcja

W następnym numerze:

O inżynierach – profesorach, dyrektorach, architektach ❖ O panoramie plastycznej Lwowa ❖ Pociągami do Wiednia ❖ Lwów i Jarosław ❖ Wiadomości

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS
został wydany przy pomocy finansowej

Wydziału Edukacji i Kultury Urzędu Miasta Krakowa

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

ERRATA

Przedziwny błąd wkradł się do notki biograficznej p. dr. Janusza Kamockiego, autora artykułu o ceramice huculskiej w CL 1/02 (s. 27): jako Jego drugie imię podaliśmy: *Eugeniusz*, co nie ma żadnego związku z rzeczywistością. Powinno być: **Janusz Maria Kamocki**. Pan dr Kamocki traktując to z humorem zauważył, że niepotrzebne były tylko dwie pierwsze litery tego imienia: *eu*! Bardzo przepraszamy, Panie Doktorze!

Drugi dotkliwy błąd pojawił się w artykule o *Zaleszczyckich baronach* w tym samym numerze na s. 13, wiersz 18 od dołu: ojciec Augusta (Turnaua) to oczywiście Józef **Turnau**, a nie *Brunicki*. Tak zresztą wynika z kontekstu, tylko nazwisko zostało mylnie dopisane przy przepisywaniu na komputerze. Autorkę artykułu panią prof. Elżbietę Turnau bardzo przepraszamy.

I trzeci na s. 43: w *Notatkach*, wiersz 14 od dołu: gubernator Lwowa domaga się oczywiście realizacji polecenia **prezydenta Kuczmy**, a nie *Kujbidy*. Ten drugi („mer”) jest właśnie przeciwny.

Już dawno nie było tylu *byków*! Wyrozumiałych Czytelników też prosimy o wybaczenie. Poprawimy się (do następnego razu)!

PROŚBA

Poszukuje się III tomu pt. „LISTY PASTERSKIE I MOWY OKOLICZNOŚCIOWE” Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego (wydane we Lwowie ok. r. 1908–1910).

Ewentualną wiadomość prosimy kierować na nasz adres:
Towarzystwo Miłośników Lwowa i KP-W, 31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Na I stronie okładki: „Panorama Drohobycza”, akwarela Feliksa Lachowicza.
Z lewej gotycki kościół parafialny

Czasopismo Oddziału Krakowskiego

Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-WschodnichP

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościak, Janusz M. Paluch
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta Walczewska

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Informacje o prenumeracie: Romana Machowska, tel. (12) 637-13-21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413-35-00, 294-15-28, e-mail: fall@inetia.pl

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Słowo od Redakcji DOKUMENTOWAĆ HISTORIĘ	II	Sylwetki Barbara Barta ŁUCJA CHAREWICZOWA	37
Felieton Barbara Czańczyńska FELIETON W KOLORZE ZIELENI	1	Maksymilian Jamnicki BRACIA ARTYŚCI	37
Marta Walczewska ZAKOŃCZENIE I POCZĄTEK	2	Z tamtej strony W STRYJU WYDARZENIA	38 39
Naszym zdaniem Stanisław Sochaniewicz NA ZAMÓWIENIE	5	Słownik geograficzno- -historyczny Maria Taszycka HALICZ ♦ SUKIEL ♦ ŚNIATYN ♦ TĘMACZ	39
ks. Marian Skowrya ŚWIADKOWIE WIARY	6	Polacy z Polakami MÓWI PROFESOR STELMACHOWSKI KARTA POLAKA	40 40
APEL POLSKICH ORMIAN	11	W Krakowie i dalej ZŁOTE ODZNAKI PODZWONNE DLA PRZEKROJU NOTATKI	42 43 44
SPRAWY JĘZYKA CIĄG DALSZY	12	Kultura ♦ Nauka Andrzej Chlipalski DZIESIĘĆ LAT INWENTARYZACJI	45
Tadeusz Machl Jan Pociąg MUZYK UTALENTOWANY	16	Maria Chechlińska PROF. GRYGLEWSKI UHONOROWANY Aldona Duch PŁYTA W ŚWIRZU URATOWANA KRONIKA	46 47 48
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z ZYGMUNTEM KOLENDĄ	20	Książki ♦ Czasopisma Maria Jordan, Marek Wenecki NOWE KSIĄŻKI Kazimierz Selda PŁAJ ZNACZY ŚCIEŻKA Jarosław Marczuk WERTUJĄC WYDAWNICTWA	46 50 57 58
Poezja Ks. Paweł Heintsch RODZINNEMU MIASTU TYLKO DLA LWOWIAKÓW	25	Naszym zdaniem Ireneusz Kasprzysiak SKĄD ICH RÓD	59
Proza Anna Mączyńska-Bezrąkowa WSPOMNIENIA Z KAZACHSTANU	26	Listy	63
Józef Juzwa PRAWDA O SZOSIE ZALESZCZYCKIEJ (2)	32		
Maria Zawistowska LWOWSKI HISTORYK PRAWA	35		